



ZAPOMNIAŁAM,
ŻE CIĘ KOCHAM

Gabrielle Zevin
autorka *Gdzie Indziej*

Zevin Gabrielle

Zapomniałam, że Cię Kocham

Gdyby Naomi wybrała reszkę, wygrałaby w rzucie monetą. Nie musiałaby wracać po aparat do redakcji książki pamiątkowej, nie spadłaby ze schodów i nie uderzyłaby o nie głową. Nie obudziłaby się w karetce z amnezją i z pewnością pamiętałaby swojego chłopaka, Ace'a. Może nawet pamiętałaby, z jakiego powodu się w nim zakochała. Rozumiałaby, dlaczego jej najlepszy przyjaciel Will uparcie nazywa ją „Szefową”. Wiedziałyby o nowej rodzinie mamy i o narzeczonej taty. Gdyby Naomi wybrała reszkę, może nigdy nie poznałaby Jamesa, chłopaka o wątpliwej przeszłości i niepewnej przyszłości, który już przy pierwszym spotkaniu miał ochotę ją pocałować. A ona może nie chciałaby odwzajemnić jego pocałunku.

Jednak Naomi wybrała orła...



Moja opowieść jest przede wszystkim o miłości.

Będzie w niej mowa o zbiegach okoliczności, przyciąganiu i urazach głowy — jak to w większości miłosnych historii.

Wszystko zaczęło się od rzutu monetą.

Postawiłam na orła, a wypadła reszka.

Gdyby ułożyło się po mojemu, może tej historii wcale by nie było. Co najwyżej rozdział lub może tylko zdanie w książce, której właściwy temat jeszcze nie został określony. Może ten rozdział zawierałby w sobie ślad miłosnego wątku, a może nie.

Czasami dziewczyna musi przegrać.

Byłam

Gdyby sprawy ułożyły się inaczej, nosiłabym imię Natalija lub Natasza, miałabym rosyjski akcent i spierzchnięte przez cały rok usta. Może nawet byłabym dzieckiem ulicy, gotowym oddać właściwie wszystko za parę niebieskich dżinsów. Jednak nie jestem Nataliją ani Nataszą, ponieważ w wieku sześciu miesięcy zostałam przewieziona z Kratowa w Okręgu Moskiewskim do Brooklynu w stanie Nowy Jork. Nie pamiętam tej podróży, tak jak nie pamiętam mieszkania w Rosji. O swoim sieroctwie wiem tylko tyle, ile powiedzieli mi rodzice, a ich wiedza na ten temat była raczej szczątkowa: miałam około tygodnia, gdy znaleziono mnie w walizce po maszynie do pisania, pozostawionej w drugiej od końca ławce w budynku Wschodniego Kościoła Ortodoksyjnego. Czy ta walizka stanowiła wskazówkę do zawodu, który wykonywał mój biologiczny ojciec? Czy to, że zostawiono mnie w kościele, oznaczało, że moja matka była pobożna? Ponieważ wiedziałam, że nigdy nie uzyskam odpowiedzi na te pytania, postanowiłam nie spekulować. Poza tym nie cierpię opowieści o sierotach. Wszystkie sieroty są takie same, mimo to większość książek jest poświęcona właśnie im. Po przeczytaniu kolejnej człowiek zaczyna myśleć, że na świecie żyją same sieroty.

Nie potrafię sobie przypomnieć czasów, kiedy nie wiedziałam, że mnie adoptowano. Nigdy nie doświadczyłam dramatycznej rozmowy,

rozpoczynającej się od słów: „Kochanie, musimy ci o czymś powiedzieć”. Moja adopcja była po prostu jednym z oczywistych faktów, tak jak to, że mam ciemne włosy i jestem jedynaczką. Wiedziałam, że jestem adoptowana, jeszcze zanim tak naprawdę zrozumiałam, co to znaczy. Zrozumienie zagadnienia adopcji wymagało przynajmniej podstawowego rozumienia zagadnienia seksu, a o nim nie miałam bladego pojęcia aż do trzeciej klasy. Wtedy to Gina Papadakis przyniosła do szkoły egzemplarz *Radości z seksu*, należący do jej rodziców. Książka, która i tak nosiła już wyraźne ślady częstego kartkowania, przechodziła podczas przerwy obiadowej z rąk do rąk, ukazując oczom moich przerażonych kolegów nagą prawdę, że ich rodzice robili *to*, żeby zrobić *ich*. Ja tymczasem czułam się doskonale, byłam nawet odrobinę z siebie dumna. Może i zostałam adoptowana, ale przynajmniej moi rodzice nie posunęli się do czegoś tak niskiego tylko po to, żebym pojawiła się na tym świecie.

Pewnie zastanawiacie się, dlaczego nie zrobili tego w tradycyjny sposób. Przez jakiś czas próbowali, ale bez skutku. Po około roku mama i tata zdecydowali, że zamiast inwestować miliardy dolarów w leczenie niepłodności, które wcale nie dawało gwarancji powodzenia, lepiej przeznaczyć te pieniądze na pomoc biednej sierotce, takiej jak ja. Właśnie dlatego nie czytacie teraz inspirującej historii osieroconej Nataliji z Kratowa.

Prawdę mówiąc, rzadko myślę o tych wszystkich sprawach. Opowiadam wam o nich teraz, ponieważ w pewnym sensie byłam wymarzoną kandydatką na ofiarę amnezji. Od zawsze musiałam wypełniać jakieś luki w swoim życiorysie.

Jednak nie uprzedzajmy faktów.

Kiedy mój najlepszy przyjaciel Will, którego wtedy zupełnie nie pamiętałam, usłyszał o moim wypadku, napisał do mnie list. (Nie znalazłam go od razu, ponieważ wsunął go do opakowania z płytą, na której specjalnie dla mnie nagrał składankę piosenek). Odziedziczył poobijaną maszynę do pisania po swoim prawujku Desmondzie, który podobno był korespondentem wojennym, chociaż Will nie bardzo wiedział, o którą wojnę mogło chodzić. Na klawiszu z symbolem powrotu do początku linii znajdowało się wgniecenie, które, zdaniem Willa, mogła

zostawić zbłąkana kula z czasów wojny. W każdym razie Will lubił pisać na tej maszynie, nawet wtedy, gdy o wiele łatwiej było wysłać komuś e-mail lub po prostu zadzwonić. Nie miał nic przeciwko technologii, po prostu doceniał przedmioty, o których inni ludzie dawno zapomnieli.

Powinam was uprzedzić, że relacja, którą za chwilę przeczytacie, choć stanowi jedyny zapis wydarzeń prowadzących do mojego wypadku, tak naprawdę nie oddaje charakteru Willa. Tak formalny, sztywny czy wręcz nudny styl jest do niego zupełnie niepodobny. Lepiej charakteryzują Willa sporządzone przez niego przypisy, ale pewnie mało kto zada sobie trud ich przeczytania. Ja w każdym razie tego nie zrobiłam. Miałam wtedy bardzo podobny stosunek do przypisów jak do historii o sierotach.

Szefowo:

Pierwszą rzeczą, jaką powinnaś o mnie wiedzieć, jest to, że wszystko pamiętam, a drugą, że jestem prawdopodobnie najuczciwszą osobą na świecie. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie możesz ufać każdemu, kto twierdzi, że jest uczciwy, i wiedząc o tym, normalnie nie powiedziałbym tak o sobie. Mówię o tym teraz, ponieważ czuję, że jednak powinnaś wiedzieć.

Chciałbym Ci się na coś przydać, więc przygotowałem opis przebiegu wydarzeń, które doprowadziły do Twojego wypadku. Możliwe, że nie uznasz go za pomocny, ale oto on:

18:36 Naomi Porter i William Landsman, szefowie redakcji księgi pamiątkowej Szkoły Średniej im. Thoma Purdue, laureatki międzynarodowych nagród¹, opuszczają biuro *Phoenix*².

18:45 Porter i Landsman docierają na szkolny parking. Porter orientuje się, że zostawili w biurze aparat.

18:46 Wybucho dyskusja³, kto powinien wrócić do biura po aparat. Landsman sugeruje rozstrzygnięcie sporu za pomocą rzutu monetą⁴, na co Porter się zgadza. Landsman mówi, że wypadnie orzeł, ale Porter przekonuje go⁵, że to ona powinna obstawić orła. Landsman ustępuje, jak zwykle. Landsman rzuca monetą i Porter przegrywa.

18:53 Landsman jedzie do domu; Porter wraca do *Phoenix*.

19:02⁶ (w przybliżeniu) Porter dociera do

1 Wyróżnienie przyznane przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Prasy Szkolnej.

2 Choć zwykli śmiertelnicy rozpoczynają rok szkolny dopiero po Dniu Pracy, dla piłkarzy, członków orkiestry i dla nas zaczyna się on już w sierpniu. Podobnie jak dla obserwatorów ptaków. Następnego ranka mieliśmy sfotografować pierwsze spotkanie Klubu Obserwatorów Ptaków im. Toma Purdue.

3 Często dyskutujemy na różne tematy. Niektórzy mogliby to nazwać kłótnią.

4 Nasuwa mi to na myśl serię interesujących pytań filozoficznych, nad którymi w dalszym ciągu się zastanawiam, ale nie jestem gotów, żeby o nich teraz dyskutować.

5 Inaczej „wyklóca się”.

6 Niestety od tego momentu muszę polegać na relacji innych osób, takich jak Twój tata i ten łobuz James.

1Wyróżnienie przyznane przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Prasy Szkolnej.

2Choć zwykli śmiertelnicy rozpoczynają rok szkolny dopiero po Dniu Pracy, dla piłkarzy, członków orkiestry i dla nas zaczyna się on już w sierpniu. Podobnie jak dla obserwatorów ptaków. Następnego ranka mieliśmy sfotografować pierwsze spotkanie Klubu Obserwatorów Ptaków im. Toma Purdue.

3Często dyskutujemy na różne tematy. Niektórzy mogliby to nazwać kłótnią.

4Nasuwa mi to na myśl serię interesujących pytań filozoficznych, nad którymi w dalszym ciągu się zastanawiam, ale nie jestem gotów, żeby o nich teraz dyskutować.

5Inaczej „wyklóca się”.

6Niestety od tego momentu muszę polegać na

biura *Phoenix* i zabiera stamtąd aparat.

19:05 (w przybliżeniu) Porter spada ze schodów prowadzących do szkoły. Uderza głową o najniższy stopień, ale jakimś cudem nie upuszcza aparatu⁷. Zostaje znaleziona przez niejakiego Jamesa Larkyna⁸.

Jak już mówiłem, jestem gotów odpowiedzieć na wszystkie pytania, które mogą Ci przyjść do głowy.

Pozostaję Twoim wiernym sługą. William B.⁹ Landsman

PS Przepraszam za „m”. Jak pewnie zdążyłaś się zorientować, to coś, co przypomina trójząb, tak naprawdę jest literą „i”. Moja maszyna do pisania ma taki feler, że czasem, gdy wciskam klawisz z literą „i”, wstawia oprócz niej „u”.

7. Był to Oneiric 8000 G Pro, który dopiero co zakupiliśmy za 3599 dolarów i 99 centów plus koszty wysyłki, wydając wszystkie pieniądze zarobione podczas ubiegłorocznej akcji pakowania prezentów. Cała redakcja *Phoenix* jest Ci za to bardzo wdzięczna.

8. Nie mam pojęcia, co tam robił tamtego dnia.

9. Pewnie zapomniałaś także o tym, że litera „B” jest inicjałem imienia Blake, chociaż William Blake jest prawdopodobnie najmniej lubianym przeze mnie poetą i tylko w połowie uważam go za artystę. Kobieta odpowiedzialna za to imię, czyli moja matka, to także Twoja nauczycielka angielskiego, czyli pani Landsman.

relacji innych osób, takich jak Twój tata i ten
łobuz James.

⁹Pewnie zapomniałaś także o tym, że litera „B” jest inicjałem imienia Blake, chociaż William Blake jest prawdopodobnie najmniej lubianym przeze mnie poetą i tylko w połowie uważam go za artystę. Kobieta odpowiedzialna za to imię, czyli moja matka, to także Twoja nauczycielka angielskiego, czyli pani Landsman.

Oczywiście nie pamiętałam żadnej z tych rzeczy. Ani rzutu monetą, ani zostawionego w biurze aparatu. A już na pewno nie pamiętałam mo-

Oczywiście nie pamiętałam żadnej z tych rzeczy. Ani rzutu monetą, ani zostawionego w biurze aparatu. A już na pewno nie pamiętałam mojego najlepszego przyjaciela, uczciwego Williama Blakea Landsmana.

Pierwszym, co zdołałam sobie przypomnieć, był „niejaki” James Larkin, chociaż wtedy nie znałam nawet jego imienia. Zresztą jego samego tak naprawdę też nie pamiętałam. Gdy mnie znalazł, musiałam mieć zamknięte oczy, więc pamiętam tylko jego głos. Pewnie pomyślał, że śpię, a przynajmniej przebywam w stanie pół-snu. Tak jak wtedy, gdy słyszysz dźwięk budzika, ale udaje ci się go przez chwilę ignorować. Słyszysz muzykę w radiu i szum wody pod prysznicem, czujesz zapach kawy i tostów. Wiesz, że się obudzisz, pytanie tylko, kiedy i kto - lub co - ostatecznie pchnie cię w nowy dzień.

Głos był niski i opanowany. Taki głos zawsze kojarzył mi się z uczciwością, chociaż jestem przekonana, że po świecie chodzi mnóstwo kłamczuchów o niskich głosach, którzy tylko czekają, by wywinąć jakiś numer komuś takiemu jak ja. Chociaż byłam półprzytomna, zaufałam swoim przeczuciom i postanowiłam uwierzyć w każde słowo wypowiedziane przez Jamesa: „Proszę pana, nazywam się James Larkin. Niestety nie ma tu nikogo z rodziny tej dziewczyny, ale jestem jej chłopakiem i pojedę z wami karetką”. Nie słyszałam, by ktokolwiek mu się sprzeciwił. Jego ton nie zostawiał miejsca na dyskusję.

Ktoś wziął mnie za rękę i otworzyłam oczy. To był James. Wiedziałałam to, chociaż nie znałam jego twarzy.

- Cześć - powiedział łagodnie. - Witaj z powrotem.

Nie zastanawiałam się nad tym, gdzie byłam, że trzeba mnie witać „z powrotem”. Nie zadałam sobie też pytania, dlaczego znajduję się w karetce z chłopcem, którego podobno byłam dziewczyną, lecz którego zupełnie nie rozpoznawałam.

Wiem, że to idiotyczne, ale spróbowałam się uśmiechnąć. Moja próba była jednak zbyt krótka, więc wątpię, żeby James to zauważył.

Nagle pojawił się ból. Był to ten rodzaj bólu, którego nie sposób z niczym porównać i który nie pozwala się na niczym skupić. Jego epicentrum znajdowało się nad moim lewym okiem, ale fale bólu przeszywające resztę głowy były jeszcze bardziej uciążliwe. Miałam wrażenie, że

mój mózg nie mieści się w czaszce. Myślałam, że zaraz zwymiotuję, ale tego nie zrobiłam.

James, jakby czytając w moich myślach, zapytał:

- Czy ktoś mógłby jej dać leki przeciwbólowe? Sanitariusz poświecił mi latarką w oko.

- Najpierw musi ją obejrzeć lekarz, może nawet zrobią jej tomografię komputerową. Ale to fantastycznie, że tak szybko odzyskała przytomność. Jeszcze tylko pięć minut, Naomi, dobrze?

- Pięć minut *do czego?* — zapytałam, starając się, by mój głos zabrzmiał spokojnie. Do Bożego Narodzenia? Do momentu, aż moja głowa eksploduje?

- Przepraszam. Do momentu aż dojedziemy do szpitala - odparł sanitariusz.

Ból głowy był tak silny, że miałam ochotę się rozplakać. I pewnie bym to zrobiła, gdybym nie doszła do wniosku, że wtedy poczuję się jeszcze gorzej.

- Jest pan pewien, że nie można jej podać żadnych leków?! -krzyknął James.

- Spróbuj zająć czymś jej uwagę. Opowiedz dowcip czy coś w tym rodzaju. Już prawie jesteśmy na miejscu - rozległa się irytująca, bezużyteczna odpowiedź.

- Nie sądzę, by dowcip tu pomógł - odparł James.

- Śmiech jest najlepszym lekarstwem - oznajmił sanitariusz.

Jeśli jego zdaniem był to żart, to niestety nie pomógł. Ból głowy był wciąż nie do wytrzymania.

- To kompletna, piramidalna bzdura... - James pochylił się bliżej mojej twarzy. Pachniał dymem i świeżo upranymi prześcieradłami, pozostawionymi na słońcu do wyschnięcia. - ...ale czy mimo wszystko chciałabyś usłyszeć dowcip, Naomi? — zapytał.

Kiwnęłam głową, chociaż gdybym miała wybór, zdecydowanie wolałabym coś przeciwbólowego.

- Cóż, właściwie przypomina mi się tylko jeden, i to nie najlepszy. A już na pewno nie na tyle dobry, by mógł uśmierzyć ból. Przychodzi facet do psychiatry i mówi: „Moja żona oszalała. Wydaje jej się, że jest kurczakiem”. Na co lekarz: „W takim razie proszę ją do mnie przyprowadzić”. A facet odpowiada...

Kiedy James zbliżał się do puenty, fala przeszywającego bólu przelała się przez moją głowę. Wbiłam paznokcie w dłoń Jamesa, przecinając skórę i raniąc go do krwi. Nie mogłam mówić, więc spróbowałam przekazać mu przeprosiny spojrzeniem.

- Nie martw się - powiedział James. - Jakoś to zniosę. - I puścił do mnie oko.

Na izbie przyjęć lekarka z przekrwionymi oczami zapytała Jamesa, jak długo byłam nieprzytomna, na co on bez wahania odpowiedział, że dwadzieścia jeden minut. Wiedział dokładnie. Był świadkiem wypadku.

- Przed wejściem do szkoły imienia Toma Purdue znajdują się schody. W jednej sekundzie Naomi po nich schodziła, a w drugiej szybowwała w moim kierunku głową w dół, jak meteoryt.

- Czy powinno mnie niepokoić, że tego nie pamiętam? - zapytałam.

- Ani trochę - odparła lekarka. - To całkowicie normalne, że przez jakiś czas nie pamięta się okoliczności wypadku. - Poświeciła mi w oczy maleńką latarką, a ja się skrzywiłam.

W jakimś momencie, choć nie potrafię dokładnie stwierdzić kiedy, dołączyła do nas inna lekarka wraz z pielęgniarzem. Nie pamiętam wielu szczegółów ich wyglądu. Przypominali plamę pasteli rozmytą bielą kitli, niczym kredowe bazgroły na chodniku, rozmywane deszczem.

Lekarka powiedziała, że musi zadać mi kilka ogólnych pytań, nie-dotyczących wypadku.

- Jak brzmi twoje pełne imię i nazwisko?

- Naomi Paige Porter.

- Gdzie mieszkasz?

- W Tarrytown, stan Nowy Jork.

- Dobrze, Naomi, bardzo dobrze. Który mamy rok?

- Dwa tysiące... Dwutysięczny... chyba.

Już kiedy to mówiłam, wiedziałam, że nie mam racji. Gdyby był rok dwutysięczny, miałabym dwanaście lat, a byłam pewna, że tak nie jest.

Nie czułam się jak dwunastolatka. Czułam się... Nie potrafiłam podać dokładnego wieku, ale po prostu wiedziałam, że jestem starsza. Muszę mieć siedemnaście, może osiemnaście lat. Nie miałam ciała dwunastolatki. Ani umysłu. No i był jeszcze James, którego widziałam teraz w pełnej krasie - wyglądał na siedemnaście lat, albo i więcej. - Ja czułam się tak, jakbym miała tyle samo lat co on. Przeniosłam wzrok z lekarki na pielęgniarka: oboje mieli pokerowe twarze.

Jedna z lekarek powiedziała:

- W porządku, to na razie nam wystarczy. Postaraj się nie martwić.
- Oczywiście jak na zawołanie po tych słowach zaczęłam się martwić.

Zdecydowałam, że najlepszą rzeczą, jaką mogę w tej chwili zrobić, będzie powrót do domu i kojący sen. Spróbowałam usiąść na swoim łóżku na kółkach, ale moja głowa zaczęła pulsować jeszcze mocniej.

- Hej, Naomi, dokąd to się wybierasz? - zapytał pielęgniarka, po czym z pomocą Jamesa delikatnie przywrócił mnie do pozycji horyzontalnej.

Lekarka powtórzyła:

- Postaraj się nie martwić.

Jej koleżanka powtórzyła po niej z troską:

- Naprawdę nie powinnaś się martwić.

Następnie obie skierowały się przez salę przyjęć do innego pacjenta. Gdy odchodziły, słyszałam tylko wyrywkowe, niepokojące szepty: „łagodne uszkodzenie mózgu”, „specjalista”, „tomografia komputerowa”, „możliwa amnezja regresywna”. Niestety mam tendencję do radzenia sobie z problemami w taki sposób, że w ogóle sobie z nimi nie radzę, więc zamiast zażądać, by ktoś natychmiast mi wyjaśnił, co jest ze mną nie w porządku, podsłuchiwałam tak długo, aż

szepty ucichły. A później postanowiłam skoncentrować się na tym, co bardziej namacalne.

James zawsze powtarzał, jaki jest brzydki, ale myślę, że musiał wiedzieć, że to nieprawda. Może był trochę za chudy, ale czy to ważne? Przypuszczalnie dlatego, że nie mogłam sobie przypomnieć nic innego, czułam, że muszę rejestrować każdy, nawet najdrobniejszy szczegół dotyczący Jamesa. Jego postrzępiona biała koszula była rozpięta, widziałam więc, że ma pod nią naprawdę stary koncertowy podkoszulek, wypłowiwały do tego stopnia, że nie można było już odczytać nazwy kapeli. Znad paska džinsów wystawały bokserki, na tyle że mogłam dostrzec ich deseń: ciemnozieloną kratkę. Palce Jamesa były długie i chude, tak jak reszta jego ciała, a na kilku widniały ślady czarnego tuszu. Włosy miał wilgotne od potu, przez co wydawały się jeszcze ciemniejsze. Zauważyłam na jego szyi pojedynczy skórzany rzemyk, na którym wisiała srebrna obrączka. Czy dostał ją ode mnie? Na lekko postawionym kołnierzyku dostrzegłam ślady krwi.

— Masz krew na kołnierzyku — powiedziałam.

— Cóż... jest twoja. - Roześmiał się.

Ją też spróbowałam się roześmiać, ale mój mózg zaczął boleśnie pulsować.

— W karetce... — Z jakiegoś powodu określenie „w karetce” mnie krępowało, musiałam więc zastąpić je innym. — W samochodzie powiedziałeś, że jesteś moim chłopakiem.

— Hm, nie wiedziałem, że to słyszysz. — Uśmiechał się zabawnie i potrząsnął kilka razy głową, jakby rozmawiał sam ze sobą. Puścił moją dłoń i oparł rękę o materac łóżka. — Nie — powiedział. — Wspomniałem tylko, że jesteś moją dziewczyną, żeby pozwolili mi jechać z tobą karetką. Nie chciałem cię zostawiać samej.

Ta wiadomość mnie rozczarowała, delikatnie mówiąc.

Jest taki żart o ludziach cierpiących na amnezję, który zawsze przypomina mi tamto spotkanie z Jamesem. Właściwie to nie jest żart, tylko napis na koszulce, którą nosili albo ludzie cierpiący na amnezję, albo osoby wyjątkowo sentymentalne, albo wreszcie ci, którzy mieli problemy nie tylko z pamięcią, ale też z niską samooceną lub po prostu z kiepskim gustem. Wyobraźcie sobie naprawdę tanią, wykonaną w

pięćdziesięciu procentach z poliestru koszulkę z białym przodem i czerwonymi rękawami. A teraz dodajcie do niej napis: „Cześć, mam amnezję. Czy my się znamy?”

- Powiedzieć ci coś śmiesznego? — zapytałam. — Pierwszą rzeczą, jaką o tobie pomyślałam, było to, że w twoim głosie słychać uczciwość. A teraz okazuje się, że mnie oszukałeś.

- Nie. Nie ciebie, tylko jakiegoś pajaca w kitlu — poprawił mnie. — Gdybym wtedy myślał trzeźwo, powiedziałbym, że jesteś moją siostrą. Nikt by tego nie zakwestionował.

- Poza mną. Nie mam rodzeństwa. - Próbowałam żartować, ale tak naprawdę wolałabym być jego udawaną dziewczyną niż siostrą. — Czy przynajmniej jesteśmy przyjaciółmi?

- Nie, Naomi - odparł James z tym samym półuśmiechem. - Nie mogę tak o nas powiedzieć.

- Dlaczego nie? - Znów zawód. James sprawiał wrażenie osoby, z którą miło byłoby się przyjaźnić.

- Może powinniśmy nimi zostać — powiedział tylko.

Ta odpowiedź była jednocześnie satysfakcjonująca i rozczarowująca, więc postanowiłam zadać inne pytanie.

- Co sobie myślałeś przedtem, kiedy kręciłeś głową?

- Pytasz mnie o to na poważnie?

- Musisz mi odpowiedzieć. Wiesz, że mogę umrzeć.

- Nie sądziłem, że z ciebie taka manipulanka. Zamknęłam oczy i udawałam, że straciłam przytomność.

- Och, niech ci będzie, ale to zagranie poniżej pasa - powiedział, śmiejąc się z rezygnacją. - Zastanawiałem się, czy mogę pozwolić ci nadal myśleć, że jestem twoim chłopakiem. A później doszedłem do wniosku, że to byłoby złe i nieuczciwe — nawet nie wiesz, który mamy rok, na litość boską! Dobrego związku nie buduje się na kłamstwach i całym tym syfie. Poza tym, no cóż, zastanawiałem się, czy to byłoby złe, gdybym cię pocałował — nie w usta, może w czoło lub dłoń — kie-

dy miałem okazję, kiedy jeszcze myślałaś, że jesteś moją dziewczyną. I doszedłem do wniosku, że to byłoby bardzo, bardzo złe i pewnie czuliśmy się z tym później niezręcznie. Poza tym taka dziewczyna jak ty prawdopodobnie ma już chłopaka...

— Naprawdę tak myślisz? - przerwałam mu. James kiwnął głową.

— Jasne, że tak. Guzik mnie on obchodzi, ale nie chciałem cię narazić na szwank... ani wykorzystać. Doszedłem do wniosku, że gdybym miał cię kiedyś pocałować, chciałbym to zrobić tylko za twoim przyzwoleniem. Chciałbym...

I właśnie wtedy w izbie przyjęć zjawił się mój tata. James stał pochylony nad moim łóżkiem na kółkach, ale wyprostował się jak żołnierz, żeby uścisnąć dłoń ojca.

— Sir — powiedział. — Nazywam się James Larkin. Chodzę do szkoły z pańską córką. — Ale tata, chcąc jak najszybciej dotrzeć do mnie, minął Jamesa, który zastygł z wiszącą w powietrzu dłonią. Dostrzegłam na niej cztery rany klute, pozostawione przez moje paznokcie, kiedy zbyt mocno ją ścisnęłam.

Wtedy też powróciły lekarzki - razem z pielęgniarem, specjalistą i sanitariuszem, który skierował moje łóżko w stronę wyjścia z izby przyjęć, nie informując nawet, dokąd mnie zabiera. Czułam, że naprawdę muszę wymiotować, ale nie chciałam, żeby James oglądał mnie w takim stanie. Bałam się, że zniknie niepostrzeżenie, do czego, o czym niebawem miałam się przekonać, wykazywał wielki talent.

Leżałam już w swojej sali, a tata bez przerwy wypytywał mnie, czy dobrze się czuję. Wykazując się zdumiewającą cierpliwością, raz za razem odpowiadałam, że wszystko ze mną w porządku, chociaż sama nie miałam pojęcia, czy mówię prawdę. Przy piątym, a może szóstym pytaniu nie wytrzymałam.

— Gdzie jest mama? — Ona radziła sobie w takich sytuacjach lepiej niż ojciec.

- W mieście - odparł zdawkowo tata. Bez przerwy krążył po pokoju, co chwilę wyglądając na korytarz. - Chryste, czy ktoś nam w końcu pomoże?

- Pracuje? - Nie dawałam za wygraną. Mama była fotografem i czasami wyjeżdżała służbowo do Nowego Jorku.

- Pracuje? - powtórzył tata. Wyglądał na korytarz, wyciągając szyję jak żółw ze swojej skorupy, ale na moje pytanie odwrócił się i spojrzał na mnie. - Ona... ona... Naomi, czy ty próbujesz mnie przestraszyć?

- A ty mnie wkreć? - Znając mojego tatę, był to mało prawdopodobny scenariusz.

- *Wkreć cię?*

Pomyślałam, że nie spodobało mu się moje słownictwo, chociaż zwykle nie przejmował się takimi drobiazgami. Zawsze powtarzał, że słowa to tylko słowa i należy unikać jedynie tych, które mogą kogoś zranić lub są pozbawione znaczenia. Doszłam do wniosku, że najwidoczniej ta stresująca sytuacja daje mu się we znaki, więc poprawiłam się:

- Przepraszam. *Oszukać* mnie. Wszystko jedno.

- A ty próbujesz *mnie* wkreć? - zapytał tata.

- Więc tobie wolno używać tego słowa, a mnie nie? To nie fair -zaprotestowałam, zbita z tropu.

- Guzik mnie obchodzi, jakiego użyłaś słowa, Naomi. Ale odpowiedz mi, czy właśnie to próbujesz teraz zrobić?

- Nie wkrećcam cię, tato! Po prostu chcę wiedzieć, gdzie jest mama.

- W NY. - Zabrzmiało to tak, jakby mówił w zwolnionym tempie. Eeeeeeeen. Łaaaaaaaj. — W Nowym...

- .. Jorku. Tak, tato, rozumiem, co do mnie mówisz. Ale dlaczego mama jest w Nowym Jorku?

- Bo tam mieszka. Od naszego rozvodu. Nie mogłaś o tym zapomnieć. Wygląda na to, że jednak mogłam.

Wszyscy zawsze powtarzają mi, jak bardzo przypominam moją mamę. Wydaje się to niedorzeczne, bo jest ona w połowie Szkotką,

a w połowie Japonką. Tym, co niewątpliwie nas łączy, są jasnobłękitne oczy. Nikt nigdy nie mówi, że przypominam tatę, w którego żyłach płynie rosyjska krew. W pewnej części jest Francuzem, a w całości - Żydem, chociaż niezbyt religijnym. Rzeczywistość nie jest jednak taka ciekawa - moja mama tak naprawdę jest zwykłą dziewczyną z Kalifornii, a tata urodził się w Waszyngtonie. Poznali się w college'u w Nowym Jorku, gdzie mieszkaliśmy aż do moich jedenastych urodzin. Wielbiciele podróży i książek podróżniczych mogli słyszeć o moich rodzicach. Napisali serię pamiętników ze swoich wypraw, zatytułowaną *Wędrujący Porterowie*. Opisywali wyprawy do takich miejsc jak Maroko czy Toskania. Mama robiła zdjęcia, a tata pisał teksty, czasami uzupełniane przez mamę o przypisy typu: *W fabryce sera edamskiego Naomi zwymiotowała do ogromnego drewniaka* lub: *Naomi szczególnie zasmakował sznycel*. Jeśli chodzi o mój osobisty wkład w literaturę podróżniczą rodziców, to byłam bohaterką serii z wydania na wydanie coraz bardziej krępujących zdjęć umieszczanych na skrzydełku tylnej okładki, tuż nad zdaniem: „Kiedy nie wędrują, Cassandra Miles-Porter i Grant Porter mieszkają w Nowym Jorku razem ze swoją córką Naomi”.

Kiedy tata oznajmił, że się rozwiedli, właśnie to było moje pierwsze wspomnienie - książki wędrujących Porterów i zdjęcia na skrzydełku okładki, przedstawiające mnie jako dziecko. W zdumiewający sposób nie czułam, że ten rozwód dotyczy mnie - Naomi Porter, a już na pewno nie Naomi Porter tu i teraz, leżącej na szpitalnym łóżku. To przydarzyło się tamtej małej dziewczynce z okładek książek. To jej, a nie sobie, w tej chwili współczułam.

— Czy to się wydarzyło niedawno? - zapytałam.

— Czy *co* się wydarzyło?

— Rozwód.

— Minęły dwa lata i jedenaście miesięcy, ale jesteśmy w separacji od blisko czterech lat - wyjaśnił tata. Coś w jego głosie mówiło mi, że potrafiłby określić dokładną liczbę dni. Może nawet minut i sekund. Tata już taki był. — Lekarze powiedzieli, że nie byłaś pewna, który mamy rok, ale... Myślisz, że te zaburzenia pamięci to wynik tego samego problemu?

Nie odpowiedziałam. Po raz pierwszy dopuściłam do siebie myśl, że zapomniałam *wszystko*, co wydarzyło się w ciągu ostatnich czterech lat.

Spróbowałam przywołać ostatnią rzecz, którą pamiętałam. Okazało się, że jest to niesamowicie trudne zadanie, ponieważ nasz umysł bezustannie tworzy nowe wspomnienia. To, co przyszło mi do głowy, było zupełnie bezużyteczne: widok mojej krwi na kołnierzyku koszuli Jamesa.

Postanowiłam zadać mojemu mózgowi bardziej konkretne pytanie. Spróbowałam przywołać ostatnie wspomnienie dotyczące mojej matki. Do głowy przyszły mi *Znaki czasów*, czyli wystawa jej zdjęć w Galerii Brooklyńskiej. Przyjechała ostatniego dnia szóstej klasy, żeby zrobić dla mnie specjalny pokaz, nim na wernisaż dotrze reszta gości. Wystawa składała się ze zdjęć różnorodnych znaków z całego świata: znaków ulicznych, drogowych, szyldów restauracyjnych, symboli okręgów miejskich, kin, łazienek, oznaczeń, które zostały przez kogoś zamalowane, ale w dalszym ciągu było widać, co przedstawiały, tablic napisanych odręcznie przez bezdomnych lub autostopowiczów, i tym podobnych. Mama wyznawała teorię, że znaki i symbole stosowane przez ludzi mówią wszystko i o nich, i o cywilizacji jako takiej. Jedno z jej ulubionych zdjęć przedstawiało pokryty rdzą znak, ustawiony przed domem w jakiejś zabitej deskami dziurze. Na tablicy widniał napis: **ŻADNYCH PSÓW, CZARNUCHÓW I MEKSYKANÓW**. Mama powiedziała, że ten znak zakomunikował jej, iż powinna „jak najszybciej zrobić zdjęcie i wziąć nogi za pas”. Większość jej eksponatów nie była jednak aż tak ciekawa. Kiedy wychodziłyśmy z galerii, powiedziałam mamie, że jestem z niej dumna. Rodzice zawsze mi to mówili, kiedy przychodzili do szkoły na dzień otwarty lub gdy oglądali mnie na scenie. Mama odpowiedziała, że też jest z siebie dumna. Zapamiętałam uśmiech na jej twarzy, zanim się rozplakała.

- Czy mama jest już w drodze? - zapytałam tatę.
- Nie sądziłem, że będziesz chciała ją zobaczyć.

Odparłam, że przecież jest moją matką, więc oczywiście chcę ją zobaczyć.

— Chodzi o to, że... — Tata odchrząknął niepewnie. — Zadzwoń do niej, ale ponieważ od dłuższego czasu ze sobą nie rozmawiacie, jej przyjazd nie wydawał mi się dobrym pomysłem. — Zmarszczył brwi, a ja zauważyłam, że ma na głowie mniej włosów, niż powinien mieć. — Chcesz, żebym zadzwonił do niej raz jeszcze?

Chciałam. Tęskniłam za nią w najbardziej prymitywny sposób, ale nie chciałam zachowywać się jak dziecko lub jak nie ja, cokolwiek to teraz oznaczało. I o co chodziło z tym, że mama i ja ze sobą nie rozmawiamy? Wydawało mi się to nieprawdopodobne, a w moim obecnym stanie tym bardziej nie miałam najmniejszych szans, by to zrozumieć. Potrzebowałam czasu, żeby wszystko sobie przemyśleć.

Powiedziałam tacie, że nie musi dzwonić do mamy, a jego zmarszczone czoło odrobinę się wygładziło.

- Tak właśnie myślałem - odparł tylko.

Mniej więcej minutę później tata klasnął w dłonie i wyciągnął z tylnej kieszeni notes i ołówek. Zawsze je przy sobie nosił, na wypadek gdyby wpadł mu do głowy jakiś pomysł.

— Powinnaś zrobić listę wszystkich rzeczy, których nie pamiętasz — powiedział, wyciągając w moją stronę ołówek.

Chociaż mój tata pisze książki głównie dla pieniędzy, tak naprawdę najbardziej lubi sporządzać listy: zakupów, przeczytanych książek, ludzi, na których się gniewa. Gdyby płacono mu za pisanie list, zamiast książek, byłby pewnie o wiele szczęśliwszym człowiekiem. Powiedziałam mu to kiedyś, na co roześmiał się i odparł: „A jak ci się wydaje, czym jest spis treści? Książka to nic więcej, jak bardzo szczegółowa i dopracowana lista”.

Mój ojciec należy do osób, którym wydaje się, że można osiągnąć każdy cel, uleczyć wszystkie bolączki współczesnego świata, jeśli tylko spíše się je na kartce i ponumeruje. Być może jest to dziedziczne, bo ja z całą pewnością taka nie jestem.

- Co ty na to? - Tata w dalszym ciągu wyciągał w moją stronę ołówek.

- Skoro nie pamiętam tych rzeczy, to jak mam je umieścić na liście? - zapytałam. To była najbardziej absurdalna propozycja, jaką usłyszałam

tego wypełnionego absurdami dnia. Równie idiotyczna jak zapytanie osoby, która właśnie zgubiła klucze, o to, gdzie widziała je po raz ostatni.

- No tak, masz rację. - Tata postukał się ołówkiem w głowę. - Widzę, że twój mózg w dalszym ciągu pracuje sprawniej niż mózg twojego staruszka. Może umówmy się tak: za każdym razem, gdy usłyszysz o czymś, czego nie pamiętasz, powiesz mi o tym, a ja wpiszę tę rzecz na listę?

Wzruszyłam ramionami. Przynajmniej będzie miał jakieś zajęcie.

- Rzeczy, o których zapomniała Naomi - powiedział, zapisując na kartce tytuł listy. - Numer jeden: rozwód mój i Cass. - Pokazał mi kartkę. - Widzisz, kiedy tylko to słowo znalazło się na papierze, od razu wydaje się mniej straszne, prawda?

Nieprawda.

- Numer dwa - kontynuował. - Wszystko, co wydarzyło się od rozwodu mojego i Cass. Czyli od roku dwa tysiące pierwszego, prawda?

- Nie wiem. - Rozumiałam, że tata próbuje mi pomóc, ale jego zachowanie naprawdę zaczynało działać mi na nerwy.

- Numer dziesięć: twój chłopak, jak przypuszczam?

- Więc mam chłopaka? - Pomyślałam o tym, co powiedział James. Tata spojrział na mnie.

- Ma na imię Ace. Nie wrócił jeszcze z obozu tenisowego. - Zanotował kolejny punkt.

Tym sposobem dotarliśmy do punktu dziewiętnastego („Kurs prawa jazdy? Nie. Prowadzenie samochodu? Może”), kiedy do sali weszła pielęgniarka, żeby zabrać mnie na pierwsze z badań. Poczułam ulgę na myśl, że nie usłyszę dwudziestej pozycji.

Spędziłam w szpitalu jeszcze trzy noce. Sabat najprzeróżniejszych pielęgniarek budził mnie średnio co trzy godziny, świecąc mi latarką w oczy. Tak właśnie postępują z pacjentami po urazie głowy: tobie zależy wyłącznie na tym, żeby się przespać, a one robią wszystko, by

do tego nie dopuścić. Kiedy nie próbowałam spać, byłam poddawana nudnym badaniom, ignorowałam nieustanne uzupełnianie listy przez mojego tatę i zastanawiałam się, czy James Larkin przyjdzie mnie odwiedzić.

Jednak nie przyszedł.

Moim pierwszym gościem, poza tatą, był William Landsman. Godziny odwiedzin zaczynały się w piątki o jedenastej, a Will zjawił się już o dziesiątej pięćdziesiąt cztery. Tata wyszedł z pokoju, żeby wykonać kilka telefonów, więc w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mi wyjaśnić, kim jest nastolatek w kasztanowej bonzurce.

- Ładny chwyt, Szefowo! - powiedział Will, wchodząc do mojej sali.

Zapytałam go, co ma na myśli, a on wyjaśnił, że uratowałam aparat, którym robiliśmy zdjęcia do naszej szkolnej księgi pamiątkowej.

- Nie ma na nim nawet zadrapania. Takie poświęcenie naprawdę przekraczało zakres twoich obowiązków - dodał.

Choć jego wątpliwy gust w kwestii ubioru mógł wskazywać inaczej, Will nie był słabeuszem ani grymaśnikiem. Kiedy zapytałam go o bon-żurkę, powiedział, że traktuje ją ironicznie, „żeby rozbawić siebie samego w obliczu codziennej monotonii szkolnych mundurków”. Był dobrze zbudowany, tego samego wzrostu co ja (metr siedemdziesiąt), ale wyglądał postawnie. Miał faliste włosy kasztanowego koloru i ciemnoniebieskie oczy o odcieniu szafiru lub lazuru - o głębszej barwie niż moje. Jego rzęsy były bardzo długie i wyglądały tak, jakby je starannie wytuszczał, chociaż oczywiście tego nie zrobił. Tamtego dnia miał delikatne cienie pod oczami i zaróżowione policzki. Podejrzewam, że jego głośnie i buńczuczne zachowanie wynikało z tego, że chciał zamaskować swoją troskę o mnie. W każdym razie z miejsca go polubiłam. Czułam się w jego towarzystwie dobrze i komfortowo, jak w ulubionych dzinsach. Obecność Jamesa, przez cały czas trwania naszej krótkiej znajomości, działała na mnie w dokładnie odwrotny sposób.

- Czy to ty jesteś Ace? - zapytałam, przypominając sobie informację taty o tym, że mam chłopaka.

Will zdjął okulary w czarnych prostokątnych oprawkach i wytarł je o spodnie. Jak miałam się dowiedzieć później, był to gest, który wykonywał

mimowolnie zawsze wtedy, gdy czuł się skrępowany, jakby zamazany obraz rzeczywistości mógł go w jakiś sposób oddzielić od niezręcznej sytuacji, w której się znalazł.

- Nie, z całą pewnością nim nie jestem - powiedział. — Ace jest o jakieś piętnaście centymetrów wyższy ode mnie. A poza tym to twój chłopak. - Sekundę później w oczach Willa pojawił się złośliwy błysk. — Okej, to, co sobie pomyślałem, jest strasznie złe. Chcę, żebyś przyjęła do wiadomości, że to, co zaraz powiem, jest naprawdę okropnie złe, jeszcze zanim te słowa padną z moich ust.

- W porządku. Jest złe — powiedziałam.

- Strasznie...

- Strasznie złe.

- W porządku. - Will skinął głową. - Czuję się o wiele lepiej, wiedząc, że jego też nie pamiętasz. A swoją drogą, twój facet musi być bęcwałem, skoro jeszcze się tu nie zjawił.

- Bęcwałem? — Kto jeszcze używał tego słowa?

- Głupkiem. Bez urazy.

- Wyjdź stąd natychmiast — powiedziałam z udawaną powagą. — Posunąłeś się za daleko, obrażając Acea... Jak on się właściwie nazywa?

- Zuckerman.

- Właśnie. Acea Zuckermana. Tak, jestem naprawdę rozwścieczona tym, że obrażasz mojego chłopaka, którego zupełnie nie pamiętam.

- Jeśli się zjawi, możesz się na mnie wściekać, wtedy cofnę każde słowo. Zresztą godziny odwiedzin zaczęły się dopiero minutę temu, więc pewnie jeszcze do ciebie przyjdzie.

- Tata powiedział, że wyjechał na obóz tenisowy.

- Gdyby chodziło o moją dziewczynę, wróciłbym nawet stamtąd.

- A kto jest twoją dziewczyną? - zapytałam.

- Nie mam dziewczyny. Mówiłem czysto hipotetycznie. - Will zachichotał, a później wyciągnął do mnie rękę. - Chyba przydałaby się

nam porządna prezentacja. Nazywam się William Landsman i jestem szefem redakcji *Phoenix*. Tak się składa, że ty jesteś jej drugą szefową. Twój tata uprzedzał, że mogłaś sporo zapomnieć, ale nie spodziewałem się, że nie pamiętasz także mnie.

- Naprawdę tak trudno cię zapomnieć?

- Szczerze mówiąc, tak. - Kiwnął głową z przekonaniem.

- Na dodatek jesteś skromny... - Nie musiałam pamiętać Willa, żeby dokładnie wiedzieć, jak mu dociąć.

- Jestem też twoim najlepszym przyjacielem, jeśli jeszcze się nie zorientowałaś. — Will znowu zaczął czyścić okulary.

- Naprawdę? Mój najlepszy przyjaciel nosi bonzurkę? - Pokiwałam głową. - To bardzo ciekawe.

- Założyłem ją dla żartu. A poważnie, możesz mnie zapytać, o co tylko chcesz. Bóg mi świadkiem, Szefowo, wiem o tobie wszystko.

Spojrzałam Willowi w oczy i intuicyjnie postanowiłam mu zaufać.

- Jak wygląda moja twarz? - Odkąd założyli mi na czole szwy, starałam się unikać swojego odbicia w lustrze.

Przyjrzał mi się z obu stron, a później od przodu.

- Jest nieco opuchnięta wokół lewego oka i kości policzkowej, ale w większości zakryta taśmą i gazą.

- Zajrzyj pod gazę.

- Nie zrobię tego, Szefowo! To całkowicie niehigieniczne i prawdopodobnie niezgodne z przepisami! Nie chcesz chyba, żeby mnie stąd wyrzucili i nie pozwolili więcej cię odwiedzać?

- Zależy mi na tym, by dowiedzieć się, jak wygląda moja twarz, zanim będę musiała zobaczyć ją na własne oczy. Chcę wiedzieć, czy nie jest... no cóż... zniekształcona. - Starałam się, żeby moje słowa zabrzmiały lekko, ale tak naprawdę byłam przerażona. - Proszę, Will, to ważne.

Will wydał z siebie ciężkie westchnienie i wymamrotał:

- Obiecałem, że powiem ci wszystko, a nie że zrobię wszystko. Chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że ja, William Landsman, byłem temu całkowicie przeciwny, a poza tym nie zostałem przeszkolony w zakresie procedur medycznych. - Poszedł do maleńkiej łazienki, gdzie dokładnie umył ręce, i wrócił. Delikatnie położył lewą dłoń po prawej stronie mojej twarzy i prawą dłonią powoli usunął kawałek taśmy chirurgicznej

niedaleko linii włosów. — Powiedz mi, jeśli cię zboli. Nawet lekko. Skinęłam głową.

Odrywając taśmę, Will pociągnął mnie za włosy. Na mojej twarzy mimowolnie pojawił się grymas - miałam nadzieję, że niezauważalny — ale Will zastygł w bezruchu.

— Zabolało cię? Pokręciłam głową.

— Nie przejmuj się.

Dziesięć sekund później usunął dostatecznie dużo taśmy, by podważyć gazę i zajrzeć pod nią.

— Widzę dziewięć szwów, a tuż pod nimi śliwę rozmiarami przypominającą brukselkę oraz duży siniak ciągnący się przez całe czoło. Nie wygląda mi to na nic trwałego. Pewnie będziesz miała maleńką bliznę po szwach. - Umieścił gazę na swoim miejscu równie delikatnie, jak ją stamtąd usunął. - W dalszym ciągu jesteś obłudnie, niesprawiedliwie, boleśnie piękna i więcej na ten temat nic nie powiem, Szefowo.

— Dziękuję - powiedziałam.

— Bardzo proszę - odparł wesoło. - Cieszę się, że mogłem się na coś przydać. - Uchylił rondo niewidzialnego kapelusza. - Niech ci się nie wydaje, że nie wiem, o co tak naprawdę ci chodziło: wyłącznie o komplementy.

— Aha, przejrzałeś mnie na wylot - powiedziałam. Will pochylił się nade mną i szepnął:

— No dalej, przyznaj się. Tak naprawdę mnie pamiętasz. Wymyśliłaś cały ten amnezyjny szajs, żeby odpocząć od *Phoenix*.

— Skąd wiedziałeś? Po prostu nie chciałam zranić twoich uczuć, Landsman.

— To bardzo miłe z twojej strony.

— No więc jaki jest mój chłopak? - zapytałam.

— Zastanówmy się. Ace Zuckerman to piekielnie dobry tenisista.

- A więc go nie lubisz.

- Technicznie rzecz biorąc, nie muszę go lubić, skoro to nie mój chłopak, Szefowo.

- A co wiesz o Jamesie Larkinie?

- James Larkin. Larkin James. Cóż, właściwie to go jeszcze nie poznaliśmy. Dołączył do nas dopiero w tym roku, co w klasie maturalnej nie zdarza się często. Myślę, że mogli go wyrzucić ze starej szkoły, czy coś w tym rodzaju.

- Młodociany przestępca? - A to ciekawe... Will wzruszył ramionami.

- Spotkałem go dopiero tego ranka, kiedy podrzucił aparat do *Phoenix*. Był wtedy słodki jak miód. Jeśli chciałabyś wiedzieć, ten dzieciak w niczym nie przypomina Ace'a Zuckermana. - Zawiesił głos. - Ani mnie. - Sięgnął do swojej torby-konduktorki i wyciągnął z niej laptopa. - Masz przy sobie słuchawki, prawda?

Pokręciłam głową.

- Nie jestem pewna.

- Zawsze je masz. Gdzie twoja torba?

Wskazałam na szafę stojącą w kącie sali. Will otworzył ją i zaczął przetrząsać mój plecak. Pewnie powinno mi to przeszkadzać, ale z jakiegoś powodu tak się nie działo. Wyciągnął iPoda, prawdopodobnie mojego, a później podłączył go do swojego laptopa.

- Kiedy usłyszałem od twojego taty, co się stało, postanowiłem nagrać dla ciebie składankę. Nie martw się, wypaliłem ci też płytę. - Podał mi CD razem z playlistą zatytułowaną *Piosenki dla nastolatki z amnezją, część 1*.

- Nagrywałem już lepsze. Wybór niektórych piosenek może cię zaskoczyć - kontynuował - ale działałem pod presją czasu. Obiecuję, że część druga będzie lepsza, tak jak w przypadku drugiego nagrania *White Album* Beatlesów albo filmów o ojcu chrzestnym.

Will podał mi słuchawki, odłożył laptopa i zaczął mówić naprawdę szybko.

- Nie jest łatwo stworzyć dobrą składankę. Każdy chce uniknąć oklepanych kawałków, podobnie jak tych mało znanych. Poza tym na płycie mieści się tylko dziewiętnaście utworów, a każdy z nich powinien dotyczyć czegoś innego. Liczba piosenek szybkich i wolnych musi się równoważyć i zawsze pozostaje stres, czy każdy kawałek odpowiednio

łączy się z poprzednim. Na dodatek trzeba bardzo dobrze znać osobę, dla której nagrywa się składankę. Na przykład na twojej każda piosenka coś znaczy. Pierwsza kojarzy się z okolicznościami, w jakich poznaliśmy się w pierwszej klasie. Pomyślałem, że może dzięki temu odzyskasz pamięć. Spojrzałam na listę piosenek.

- *Fight Test* grupy Flaming Lips?

- Tak, wahałem się między nią a pierwszą częścią *Yoshimi Battles the Pink Robots*, a także *To Whom It May Concern* Johna Wesley-'a Hardinga. Tę ostatnią odrzuciłem, ponieważ chciałem wykorzystać na składance inną jego piosenkę, a duplikowanie utworów jednego artysty jest kiepskim pomysłem. Wykorzystałem więc tylko *Song I Wrote Myself in the Future*, znajdziesz ją na przedostatniej pozycji.

Miałam wreszcie zapytać, jak się poznaliśmy, ale nagle pojawiła się osoba, przez którą natychmiast zapomniałam o Williamie Landsmanie i jego składance.

- Dzień dobry, pani Miles - powiedział Will do mojej matki.

- Witaj — odpowiedziała niepewnie. Will roześmiał się.

- Nie mieliśmy okazji się poznać, ale widziałem pani zdjęcia. Nazywam się William Landsman, w skrócie Will.

- Czy możemy zostać przez chwilę same, Will? - zapytała moja matka. Will spojrzał na mnie.

- Poradzisz sobie? Kiwnęłam głową.

- I tak powinienem wrócić do pracy nad rocznikiem - oznajmił.

- To latem też się tym zajmujemy? - zdziwiłam się.

- Pracujemy przez okrągły rok. - Chwycił moją dłoń i uścisnął ją w dość oficjalny sposób. - Zadzwoń do ciebie - obiecał. - Nie zapomnij naładować komórki.

Za Willem już parę minut temu zamknęły się drzwi, a żadna z nas ciągle się nie odezwała.

Moja matka była piękną kobietą. Ponieważ jestem adoptowana, możecie być pewni, że nie twierdzę tak po to, by w jakiś zakamuflowany sposób pochwalić się własną urodą. Poza tym wszyscy uważają, że jest piękna. Co wcale nie znaczy, że jest piękna w oczywisty sposób. Nie jest wysoką, chudą blondynką z wielkimi cyckami czy coś w tym rodzaju. Jest niewysoka, ma krągłą figurę, faliste jasnobrązowe włosy sięgające połowy pleców i lodowato błękitne oczy w kształcie migdałów. Miałam wrażenie, jakbyśmy się nie widziały od wieków. Czułam, jak zbiera mi się na płacz, ale jednak coś mnie od niego powstrzymywało.

Za to mama nie żałowała sobie łez. Zalała się nimi, kiedy tylko stanęła przy moim łóżku.

- Obiecałam sobie, że nie będę płakać - powiedziała. Wymierzyła sobie żartobliwy policzek, zanim wzięła mnie za rękę.

- Gdzie byłaś? - zapytałam.

- Twój tata powiedział, żebym nie przyjeżdżała, że mnie tu nie chcesz. Ale jak mogłam nie przyjechać? - Spojrzała czule na moją twarz. - Moje biedactwo. - Delikatnie pogłaskała moją brew, a później pochyliła się, żeby mnie przytulić.

Odsunęłam się. Najpierw musiałam się czegoś dowiedzieć.

- Ty i tata rozwiedliście się. Skinęła głową.

- Ale dlaczego?

Właśnie w tym momencie do pokoju wszedł tata.

- No powiedz jej, Cass. - Jego głos był zimny i twardy jak skała.

- Mogę to wyjaśnić. - Z oczu mamy znowu popłynęły łzy. - Miałas dwanaście lat, kiedy... wpadłam na Nigela. To był czysty przypadek...

- Kim jest Nigel?

- Jej szkolną sympatią - wyręczył ją tata.

- To był czysty przypadek - powtórzyła mama. - Czekałam na metro i było to najbardziej niespodziewane spotkanie pod słońcem...

Poprosiłam ją, by pominęła barwne opisy. Chciałam znać fakty. Kiwnęła głową.

- Miałam romans - powiedziała. - Zaszłam w ciążę. Twój tata i ja rozwiedliśmy się - dodała. - Wyszłam za mąż za Nigela i przeprowadziłam się z powrotem do miasta. Masz trzyletnią siostrę.

- Siostrę? - To słowo w moich ustach wydawało się obce, jakby bełkotliwe. Siostry, w moim doświadczeniu, były czymś, co posiadali inni ludzie, tak jak mononukleozę czy kucyka. — Wydawało mi się, że nie możecie mieć dzieci - powiedziałam.

Tata szepnął mamie, że starał się przekazywać mi wieści stopniowo i że przesłam już dostatecznie dużo. Ani słowem nie wspomniał wcześniej o mojej siostrze ani nawet o ciąży mamy, co wydawało się dziwne, szczególnie biorąc pod uwagę tworzenie całej tej listy. Zastanawiałam się, co jeszcze przede mną zataił.

- Siostrę? - powtórzyłam. Za drugim razem wydawało się to jeszcze bardziej nieprawdopodobne.

- Tak. Ma na imię Chloe.

- Jesteśmy ze sobą blisko związane? — zapytałam.

- Nie — odparła mama. — Odmawiałaś spotkania z nią. Do głowy nie przyszła mi żadna odpowiedź.

- To pewnie za dużo wiadomości jak na jeden raz - odezwał się tata.

- Co o tym myślisz, cukiereczku? - Głos mamy były wysoki i szemrzący. Brzmiał tak, jakby odpływała.

Co o tym myślę?

- Ale o czym?

- No cóż... o tym wszystkim, co właśnie ci powiedziałam. Pomyślałam, że wszystko to stanowi bardzo dobry powód, by nie rozmawiać z moją mamą. Rozwód z tatą to jedno, ale spiknięcie się ze swoją szkolną sympatią, romans, urodzenie córki i założenie zupełnie nowej rodziny...

- Myślę... - Jej oczy były szeroko otwarte i pełne wyczekiwania. -Szczerze mówiąc, czuję obrzydzenie. Naprawdę myślę, że zachowałeś się jak zdzira.

- Naomi — przerwał mi tata.

- No co? - zapytałam. - Przecież tak właśnie było. Kobiety, które zdradzają swoich mężów i zachodzą w ciążę z innymi facetami, to zdzi-ry. Chciałbyś dodać to do swojej listy, tato?

Mama podniosła się i zaczęła wycofywać w stronę drzwi. Nie patrzyła mi w oczy.

- Rozumiem - powiedziała. - Rozumiem. Rozumiem... Wreszcie tata powiedział, że mama powinna już chyba pójść, co

było na swój sposób zabawne, bo wyraźnie miała taki zamiar.

- A co się stało z Wędrującymi Porterami? - zapytałam zaraz po jej wyjściu.

- Już nie wędrują. - Tata próbował obrócić wszystko w żart. - Ostatnia książka była o Islandii. Pamiętasz lato, kiedy się tam wybraliśmy?

Owszem, pamiętałam. Wyjechaliśmy zaraz po wystawie mamy. Możliwe, że było to moje ostatnie wspomnienie. Miałam dwanaście lat i przez cały czas temperatura oscylowała wokół dziesięciu stopni. Było to najzimniejsze lato w całym moim życiu. Mama i ja mówiłyśmy wtedy, że przez całe lato nie uświadczylimy nawet odrobiny lata.

- Czym się teraz zajmujecie? - zapytałam.

- Twoja mama w dalszym ciągu robi zdjęcia. Ja nadal piszę książki. Po prostu nie robimy tego razem. A większość książek z serii *Wędrujący Porterowie* ciągle jest wydawana.

- O czym są twoje nowe książki?

- No cóż, ostatnia była o... Nie jestem najlepszy w recenzowaniu. Tak naprawdę była o wielu rzeczach - odparł tata. - Zgodnie z notką wydawniczą opowiadała o „końcu mojego małżeństwa, widzianym przez pryzmat wydarzeń z szerokiego świata”.

Dokonałam szybkiej interpretacji jego słów.

- Jest o waszym rozwodzie?

- Właściwie można tak powiedzieć. Tak.

- Podobała mi się?

- Nie przeczytałaś jej. Ale recenzje miała całkiem przyzwoite - wyjaśnił.

— Może powinnam ją przeczytać teraz? — zastanawiałam się. — Jeśli nie wróci mi pamięć.

— Jasne, chociaż możesz darować sobie fragmenty o sytuacji na Bliskim Wschodzie — zasugerował tata. — Trochę się ich nazbierało. Oczywiście powinnaś wiedzieć coś na ten temat, ale nawet ja uważam, że książka robi się w tych miejscach nudnawa... Naomi, czy ty płaczesz?

Na to wyglądało.

— Przepraszam — powiedziałam.

Odwróciłam się na bok, uciekając przed wzrokiem taty. Nie chciałam, żeby widział, jak płaczę. Powodem, dla którego sam nie powiedział mi o mamie i Chloe, było prawdopodobnie to, że po prostu nie chciał o tym rozmawiać.

Za każdym razem gdy tata poruszał poważny temat, wtrącał jakiś żart. Taki już miał styl. Kiedy on i mama urządzali przyjęcie, zawsze miał w zanadrzu jakąś zabawną historyjkę i potrafił wszystkich rozśmiać. Pewnie nikt, kto go zna, nie nazwałby mojego taty nieśmiałym, a jednak taki był. Niektóre słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Na przykład rzadko mówił: „kocham cię”. Wiedziałam, że mnie kocha. Po prostu niezbyt często to słyszałam. To moja mama bez przerwy powtarzała: „kocham”. Rozumiałam jednak charakter taty, ponieważ sama miałam podobny. I dlatego nie mogłam znieść teraz jego wzroku.

— Dlaczego płaczesz, skarbie? Chodzi o twoją głowę?

Lekarze uprzedzali, że ludzie po urazach głowy mogą być bardzo emocjonalni, ale teraz nie o to chodziło. Tak naprawdę chodziło o... wszystko.

— Wina nie leży wyłącznie po stronie twojej matki. Głównie po jej, ale... - Roześmiał się. - Żartowałem. Właściwie...

Czułam się taka samotna.

— Co się stało? Proszę, powiedz swojemu staruszkowi.

— Czuję się jak sierota. — Szlochałam tak mocno, że za pierwszym razem tata mnie nie zrozumiał i musiałam powtórzyć. - Jestem sierotą.

Pewnie nie miało to większego sensu, ale czułam się tak, jakby moja mama była nią teraz w mniejszym stopniu niż przedtem. A może

to ja stałam się mniej jej dzieckiem, odkąd miała własne. Byłam szczątkową córką: porzuconą dziewczynką o porzuconym mózgu i sercu. Słyszałam przyspieszony oddech taty, ale nie powiedział ani słowa, a ja w dalszym ciągu nie mogłam na niego spojrzeć. Zamknęłam oczy.

- Naomi? - odezwał się po chwili. - Spisz?

Nie otworzyłam oczu. Pozwoliłam mu myśleć, że śpię. Delikatnie pocałował mnie w czoło.

— Nigdy cię nie zostawię, skarbie.

Nie powiedziałby tego, gdyby podejrzewał, że wszystko słyszę.

Do poniedziałku rano lekarze ustalili, że nie pamiętam większości wydarzeń, jakie miały miejsce po szóstej klasie - z czego sama zdałam sobie sprawę już podczas pierwszej rozmowy z tatą — i wypuścili mnie do domu.

Tak naprawdę nikt nic nie wiedział. Stanowiłam medyczną zagadkę. Specjaliści orzekli, że mój uraz głowy nie był na tyle poważny, by wywołać ten rodzaj amnezji, na który cierpiałam, stwierdzili więc, że prawdopodobnie zadziałał *mechanizm tłumienia*, czy coś w tym rodzaju.

Powiedzieli, że pamięć może mi wrócić, ale nie ma pewności, że tak się stanie. W każdym razie powinniśmy się zachowywać tak, jakbym miała jej nigdy nie odzyskać. Tak czy owak, nic nie można było poradzić. W ciągu kilku tygodni miało się pojawić więcej zdjęć mojego mózgu, które jednak prawdopodobnie niczego nie wykażą. Można też pomyśleć o jakiejś terapii.

- Wypoczywaj - radzili mi zgodnie.

- A później?

- Wróć do normalnego życia, na ile tylko to będzie możliwe. Wróć do szkoły, gdy już będziesz gotowa. Może to przywróci ci pamięć. Choć wcale nie musi. Ludzki mózg ma przed nami wciąż wiele tajemnic - przyznał jeden z lekarzy. - Powodzenia - powie-

dział na koniec, wręczając mi maleńką fiolkę Excedrinu i zwolnienie z WF-u, a tacie - rachunek, gruby niczym egzemplarz „National Geographic”.

Rozejrzałam się po szpitalnym parkingu w poszukiwaniu naszego samochodu, czyli, jak zapamiętałam, srebrnego SUV-a (należącego do mamy) lub czerwonej ciężarówki (samochodu taty). Nie zauważyłam jednak żadnego z nich.

— Tato, czy to, że nie wiem, który wóz należy do nas, to zły znak?

— Nie wierzę w złe znaki - odparł tata, wskazując na niewielkie białe autko wciśnięte między dwa inne białe autka.

— Chyba żartujesz. Kochałeś tamtą ciężarówkę!

Tata wymamrotał pod nosem coś na temat oszczędności paliwa.

— Wszystko opisałem w pamiętniku — dodał.

Mówił prawdę, ale miałam się o tym przekonać dopiero po wielu miesiącach. Wspomniał o czerwonej ciężarówce na stronie dziewięćdziesiątej ósmej swojej książki. Twierdził, że sprzedał ją, ponieważ przypominała mu o mojej mamie. Nie wspomniał ani słowem o oszczędności paliwa. To zabawne, że tata był bardziej szczery w książce, którą mógł przeczytać każdy, niż w rozmowie z własną córką. A może raczej smutne? W każdym razie jedno z dwojga.

Wskoczyłam na siedzenie pasażera i zapięłam pasy. W chwili kiedy odjeżdżaliśmy, rozdzwoniła się komórka taty. Po niemal bezustannym przesłuchiwanym przez lekarzy zaczęłam doceniać momenty, w których mogę pomilczeć.

— Tak. Witaj. Ja też. Miałem zamiar do ciebie zadzwonić... - odezwał się sztywno do słuchawki. Sprawiał wrażenie skrepowanego tym, że musi rozmawiać w mojej obecności.

— Kto dzwoni? — szepnęłam.

— Nikt. To z pracy — powiedział bezgłośnie. Przewrócił oczami i założył zestaw słuchawkowy.

Doszłam do wniosku, że niewłaściwie odczytałam ton jego głosu, i skoncentrowałam się na widokach za oknem. Drzewa w dalszym ciągu okrywała zieleń, ale można było wyczuć, że lato już się skończyło. Moje myśli powędrowały do dnia, który potrafiłam sobie przypomnieć — z całą pewnością było wtedy lato. Nie kojarzyłam drzew, ale pamiętałam

powietrze tamtego dnia. Czuć w nim było zapach świeżo skoszonej trawy, jakby cała natura oddychała z ulgą. Mniej więcej tydzień później wyjechałam z rodzicami do Islandii.

Ciekawe, czy mama miała już wtedy romans. Musiała mieć. Powiedziała, że jej córka ma już trzy lata. Córka mojej matki. Moja siostra. Nie umiałam jeszcze o niej tak myśleć.

Oglądane przez okno samochodu Tarrytown wyglądało dość znajomo. Zauważyłam nowe osiedle domów i restaurację McDonald's. Miejsce, w którym sprzedawano kiedyś cydr i pączki, przestało istnieć, ale tak naprawdę niewiele się tu zmieniło, co było dla mnie pocieszające.

Nagle tata skręcił w ulicę, której nie rozpoznałam. Chociaż w dalszym ciągu rozmawiał przez telefon, zapytałam szeptem, dokąd jedziemy. Rozłączył się i wyjaśnił:

- Przeprowadziliśmy się. Powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej, ale wyleciało mi z głowy. Dodam ten punkt do listy, kiedy dotrzemy na miejsce. Już prawie jesteśmy.

Jego lista powoli przestawała mieć jakikolwiek sens.

Tata wyjaśnił mi, że po rozwodzie z mamą sprzedali dom, a później kupił nowy, oddalony niespełna kilometr od starego. Wspomniał, że nasz nowy dom jest większy (nie rozumiałam, po co nam większy dom, skoro mieszka w nim mniej osób niż w poprzednim) i znajduje się bliżej szkoły.

Nasz nowy dom był o wiele bardziej nowoczesny od starego. Tylne ściana wyglądała tak, jakby wykonano ją w całości ze szkła, a w środku hulały przeciągi. W naszym dawnym domu były dwa piętra, mnóstwo pokoi o dziwacznych kształtach i wąskie schody. Zdaje się, że zbudowano go w roku tysiąc osiemset trzecim lub coś koło tego. Nowy dom był, no cóż... był nowy. Składał się tylko z jednego piętra i - oceniając go w dobrej wierze - sprawiał wraże-

nie lepiej zorganizowanego. Albo sterylne — jeśli nie silić się na uprzejmość.

Wewnątrz znajdowało się trochę pamiątek ze starego domu, ale niezbyt wiele. Od razu rozpoznałam glinianą doniczkę przed kominkiem, niewielki tkany dywan, leżący obok pralni, i pojemnik na parasole, wykonany z kutego żelaza. Wszystkie te przedmioty wyglądały dziwnie i sprawiały wrażenie osieroconych, jakby nie mogły znaleźć swojego miejsca.

— Jak ci się podoba? — uśmiechnął się tata. Widziałam, że jest dumny ze swojego domu.

Nie chciałam go urazić, więc odparłam, że dom jest ładny. Szczerze mówiąc, niewiele więcej potrafiłam powiedzieć. Wszędzie dominował beż. Sofa miała kolor beżowy. Drewno na podłodze było w podobnym odcieniu. Ściany pokrywała beżowa farba.

Dla mamy każda dostatecznie płaska i niezagospodarowana powierzchnia była potencjalnym płótnem. Bezustannie malowała i zmieniała kolor ścian. Nasz dom pachniał farbą, ale też pozostałymi narzędziami jej pracy, na przykład stopionymi kredkami, gliną, dziwacznymi kadzidłami, klejem i papierem gazetowym. Od progu czuć było, że mieszkają tu ludzie i ciągle coś się dzieje. Tam pachniało domem, podczas gdy w tym budynku unosiła się... syntetyczna woń cytrusów.

— Tato, co to za dziwny zapach pomarańczy?

— Nasza gospośnia go używa. Na początku mi się nie podobał, ale już się do niego przyzwyczailem. Jest organiczny. - Tata westchnął, a później klasnął w dłonie. — W porządku! Pewnie chcesz, żebym cię oficjalnie oprowadził?

— Czy możemy z tym poczekać, aż zjemy obiad? Jestem naprawdę zmęczona. - Chyba przekonałam tatę, bo odpuścił zwiedzanie i zaprowadził mnie korytarzem do „mojego pokoju”.

— Wygląda znajomo? - zapytał.

W przeciwieństwie do pomieszczeń zaobserwowanych po drodze, mój pokój przypominał sypialnię, którą pamiętałam. Przed wszystkim meble były te same. Miałam wielką ochotę uściskać moją wiklinową garderobę lub zafundować krzesłu masaż.

Powiedziałam tacie, że chcę zostać sama. Stał w wyczekiwaniu i chyba musiał to ode mnie usłyszeć, by zdecydować się mnie zostawić. W końcu kiwnął głową i oznajmił, że ma trochę pracy, ale będzie w gabinecie, na końcu korytarza, gdybym tylko go potrzebowała.

- Ach, pewnie ci się to przyda! - krzyknął, kiedy już miał wychodzić. Wyciągnął z kieszeni listę, długą na pięć stron i liczącą sto osiemdziesiąt sześć punktów. - Smutno tu było bez ciebie, skarbie - powiedział. Pocałował mnie w czoło, tuż obok opatrunku. Zamknęłam za nim drzwi, a później opadłam na moje łóżko.

Tata próbował budzić mnie pierwszy raz w porze obiadu, drugi - w porze kolacji, ale informacje o posiłkach nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Tak naprawdę rozbudziłam się dopiero około ósmej wieczorem.

Od momentu wypadku starałam się unikać luster. W szpitalu nie było to trudne. Przemykałam obok nich, wstrzymując oddech, jakby w pokoju znajdował się duch.

Myślę, że częściowo zachowywałam się tak dlatego, że nie chciałam widzieć moich obrażeń. Może brzmi to próżnie, ale wbrew pozorom nie kierowałam się swoim wyglądem. Uważam po prostu, że rany są jak woda nastawiona na zagotowanie - najlepiej goją się wtedy, gdy nikt na nie patrzy.

Jednak od czasu do czasu zdarzało mi się przypadkiem zobaczyć swoje odbicie: w szklance stojącej na tacy z jedzeniem, w okularach lekarza, w oknie wieczorem, nim zgaszono światła. Przez chwilę nie rozpoznawałam siebie w tym odbiciu i instynktownie odwracałam wzrok. Niegrzecznie jest gapić się na nieznajomych, a taką właśnie byłam we własnych oczach. Nie znałam dziewczyny, na której odbicie patrzyłam, podobnie jak ona nie znała mnie.

Teraz, kiedy wreszcie zostałam sama, nabrałam odwagi. Zdecydowałam, że już czas stanąć twarzą w twarz z samą sobą. Nie można było dłużej odkładać tego spotkania.

Na początek pozbyłam się wszystkich ubrań i dokładnie przyjrzałam się swojemu ciału w lustrzanych drzwiach szafy.

Nie byłam bardzo zaskoczona tym, co zobaczyłam. Chociaż straciłam cztery lata wspomnień, tak naprawdę nigdy nie sądziłam, że mam dwanaście lat. Nie twierdzę, że w przypadku innych osób chorych na amnezję jest podobnie, ale ja instynktownie czułam, że jestem starsza. I chociaż moje ciało do pewnego stopnia wprawiło mnie w zdumienie, to jego wygląd mniej więcej odpowiadał temu, co czułam w środku.

Moja twarz także lekko mnie zaskoczyła, i to bynajmniej nie z powodu obrażeń - opis Willa był bardzo trafiony, a cały rozgardiasz zaczął już zmieniać kolory, co uznałam za oznakę gojenia. Moja twarz była dziwna, ponieważ wyglądała tak, jakby należała do kogoś znajomego, być może kuzynki albo koleżanki, ale na pewno nie do mnie. Moje włosy miały mniej więcej tę samą długość, którą zapamiętałam, sięgały połowy pleców, ale mogły być rozjaśniane — nie miałam co do tego pewności. Szczeka wydawała się węższa, a nos bardziej ostry.

- Cześć - przywitałam się ze sobą. - Jestem Naomi. - Dziewczyna w lustrze sprawiała wrażenie nieprzekonanej. — Masz coś do powiedzenia na swoją obronę? - zapytałam.

Dziewczyna w lustrze przypatrywała mi się obojętnie.

Znalazłam w komodzie koszulkę i założyłam ją. Otworzyłam drzwi szafy. Osoba, która mieszkała w moim pokoju (ciągle nie potrafiłam o niej myśleć jak o sobie) musiała być niesamowicie zorganizowana. Wszystko wyglądało tak, jakby od dawna przygotowywała się do tej sytuacji.

Spojrzałam na swoje ubrania. W szafie znalazłam kilka szkolnych mundurków: ciemnoszare wełniane spódniczki w szkocką kratę, białe koszule, brązowe krawaty, różnego rodzaju bluzy z kapturem i sweterki w serek. Ubrania na gimnastykę i te do gry w tenisa. Wszystkie porządnie wyprasowane, złożone w kostkę lub powieszzone. W zapinanej na suwak torbie znalazłam czarną aksamitną sukienkę, na pewno na szczególną okazję, której jednak nie potrafiłam sobie przypomnieć. Postanowiłam ją założyć, żeby sprawdzić, jak będę w niej wyglądać. Sukienka była odrobinę przyciasna na piersiach. Najwyraźniej urosłam, odkąd miałam ją ostatni raz na sobie. Nie zadałam sobie trudu zapięcia jej do samego końca. Przesunęłam dłońmi po biodrach. Materiał był jedwabisty i miękki.

Zastanawiałam się, czy tamtego wieczoru, kiedy miałam ją na sobie, moje włosy były upięte czy rozpuszczone. Ciekawe, czy podobało mi się to, jak wyglądałam, i co pomyślał o mnie chłopak, z którym się umówiłam. Czy powiedział, że jestem najpiękniejszą dziewczyną na świecie? Zastanawiałam się, kto to był: Ace, a może ktoś inny? Zachodziłam w głowę, czy ten chłopak naprawdę mi się podobał, czy po prostu z jakiejś okazji potrzebowałam partnera na wieczór. Byłam ciekawa, czy przyniósł mi bukiet kwiatów, a jeśli tak, to jakich. Czy wiedział, że nie lubię róż? A jeśli kupił róże, czy musiałam udawać, że mi się podobają, by nie zranić jego uczuć? A co jeśli wcale nie byłam wtedy umówiona z chłopakiem? Może spędziłam ten wieczór z grupą dziewczyn? Lub paczką przyjaciół? Czy w ogóle miałam paczkę przyjaciół?

Może założyłam tę sukienkę na zupełnie inną okazję? Zastanawiałam się...

Na półce pod oknem zauważyłam cztery książki pamiątkowe, po jednej na każdy rok, począwszy od siódmej klasy. Przekartkowałam książki, ale niewiele się z nich dowiedziałam. Drużyny sportowe rywalizowały ze sobą. Czasami wygrywały, kiedy indziej ponosiły porażkę. Niektóre dzieciaki dołączały do kółek zainteresowań, inne nie. Niektórzy urosli. Inni zmądrzeli. Kilkoro wręcz przeciwnie, ale i tak większości udało się zdać do następnej klasy. Tak czy inaczej, każda książka pamiątkowa opowiadała tę samą historię.

Przeczytałam wszystkie wpisy: *Życzę ci wspaniałych wakacji. Nie zapomnij o mnie. Będziemy w kontakcie.* Zastanawiałam się, po co w ogóle ludzie wypisują takie rzeczy. Jedyne ciekawy wpis zostawił mi Will, choć tak naprawdę trudno było nazwać go wpisem. Na wewnętrznej stronie tylnej okładki roczników z dziewiątej i dziesiątej klasy starannie wyrysował ramki, nad którymi napisał: *Ta strona jest*

zarezerwowana dla Williama B. Landsmana do jego wyłącznego użytku. Jak do tej pory nie wykorzystał żadnej z nich. Zastanawiałam się...

Kiedy wyszukałam w indeksie ostatniej księgi pamiątkowej (tej z dziesiątej klasy) swoje nazwisko, znalazłam tylko trzy wzmianki. Pierwszą było zdjęcie klasowe. Tego roku moje włosy wydawały się bardzo jasne na czubku głowy, być może miały kolor blond, ale nie potrafiłam tego stwierdzić na pewno. Wszystkie zdjęcia młodszych klas były czarno-białe, więc kiedy mówię, że moje włosy miały kolor blond, to dlatego, że wyglądały na jasnoszare. Drugie zdjęcie przedstawiało szkolną drużynę tenisa. W sumie nie było mnie na nim — po prostu znajdowało się tu moje nazwisko wraz z informacją: „niesportretowana”. Ciekawe, co wtedy robiłam? Trzecia wzmianka znajdowała się w stopce redakcyjnej. Byłam szefową redakcji odpowiedzialną za robienie i wybór zdjęć, co mogło tłumaczyć, dlaczego nie znalazłam się na żadnym z nich.

Tak samo zawsze było z mamą — w przypadku *Wędrujących Portierów* i naszych domowych albumów. Ponieważ to ona robiła zdjęcia, nigdy jej na nich nie było, a kiedy ktoś próbował ją sfotografować, czuła się naprawdę skrępowana. Odłożyłam roczniki z powrotem na półkę. Może byłam taka sama jak moja matka - dziewczynka za obiektywem aparatu?

Zastanawiałam się...

Przetrząsnęłam szuflady mojej szafki nocnej. Najbardziej interesującą rzeczą, jaką znalazłam, było plastikowe pudełeczko zawierające pigułki antykoncepcyjne, co oznaczało, że albo uprawiałam z kimś seks (!) albo zażywałam je z jakiegoś innego powodu. Drugim, niemal równie ciekawym przedmiotem był oprawiony w skórę pamiętnik. Miałby szansę pobić nawet pigułki w rywalizacji o tytuł Najbardziej Interesującej Rzeczy w Szafce Nocnej Naomi, gdyby nie fakt, że był to pamiętnik żywieniowy, opisujący wszystko, co zjadłam przez ostatnie pół roku. Oto przykładowy wpis:

4 sierpnia

1 bajgiel z twarożkiem, 350 kcal
18 miniaturowych precli, 150 kcal
2 dietetyczne cole, 0 kcal
1 banan, 90 kcal
7 M&M`śów, 28 kcal

ŁĄCZNIE:
618 kcal 😊

Wszystkie wpisy wypełniające kolejne strony pamiętnika wyglądały podobnie. Czasami towarzyszyła im smutna buźka :(, jeśli uznałam, że zjadłam za dużo, lub neutralna, gdy liczba kalorii danego dnia plasowała się gdzieś pośrodku. Ostatni wpis pochodził z dnia przed moim wypadkiem. Zirytowana, spróbowałam trafić tym bezużytecznym zeszytem do kosza, ale spudłowałam. Czułam do siebie obrzydzenie. Doprawdy, kim trzeba być, żeby prowadzić żywieniowy pamiętnik?

Zastanawiałam się, czy dawna Naomi Porter była kompletną i nieuleczalną frajerką — a wiele na to wskazywało — osobą, której pewnie nawet nie chciałabym znać.

Zastanawiałam się...

Przeszukałam swój plecak. Oczywiście mogłam to zrobić już w szpitalu, ale jakoś się nie złożyło. Spojrzałam na swoje prawo jazdy, wystawione dziewięć miesięcy wcześniej, w dniu moich szesnastych urodzin. Na zdjęciu miałam na sobie szkolny mundurek i uśmiechałam się tak szeroko, że było widać aparat na moich zębach. Przesunęłam po nich językiem — były równe, nie wyczułam też metalu. Ortodoncja: jedyna rzecz, o której dobrze, że nie pamiętałam. Kiedy chowałam prawo jazdy z powrotem do plecaka, zaczęłam się zastanawiać, czy w dalszym ciągu potrafię prowadzić samochód.

W plecaku znajdował się także telefon komórkowy. Bateria była rozładowana, więc podpięłam go do prądu i włączyłam. Chciałam do kogoś zadzwonić, ale nie wiedziałam, do kogo, więc zaczęłam przeglądać numery w książce telefonicznej. Nie rozpoznawałam mniej więcej co drugiego nazwiska. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Willa - może on rozwiałby moje wątpliwości co do pigułek antykoncepcyjnych? - ale ostatecznie się rozmyśliłam. Chociaż sam siebie nazywał moim najlepszym przyjacielem, pozostawał jednak przedstawicielem odmiennej płci i nie chciałam mu zadawać tego rodzaju pytań.

Nagle poczułam wielką ochotę, żeby zadzwonić do mamy. Oczywiście nie zamierzałam pytać ją o pigułki, po prostu mi jej brakowało. Tęskniłam za nią jak za pięknym wspomnieniem, choć wiedziałam, że to tylko mój niegodny zaufania mózg płała mi figle. Jakaś jego głupia, śladowa część.

Tak naprawdę wcale nie chciałam z nią rozmawiać, ale sięgnęłam po telefon i wybrałam numer. Oczywiście zastrzegłam własny, na wypadek gdyby mama miała aktywną funkcję identyfikacji numerów. Wiedziałam, że prawdopodobnie się rozłączę, ale musiałam usłyszeć jej głos. Nawet gdyby miała powiedzieć tylko: „Halo, kto mówi?”. Nawet gdybym miała tylko usłyszeć jej oddech.

- Dzień dobry - odezwał się poważny dziewczęcy głosik. - Rozmawiasz z Chloe Fusakawą, która właśnie nauczyła się odbierać telefon.

Moja siostra. Nie byłam na to przygotowana i przez chwilę nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

- Haloooooooo... Czy ktoś tam jest? - Głosik nie dawał za wygraną.

- Tak, Naomi - udało mi się wydusić. Dziewczynka zachichotała.

- Nie ja¹⁰? „Nie ja” to zabawne imię. Brzmi zupełnie jak „nikt”. Cześć, Niktosiu. Lubisz czytać?

-Tak.

- Czytałaś książkę *Dobranoc, księżycu!*

- Tak. Mama czytała mi ją, kiedy byłam mała.

- To moja siódma najulubieńsza książka. Kiedyś była piąta, ale teraz jest dla mnie zbyt łatwa. Nadal jest fajna. Można w niej znaleźć twoje

¹⁰ *No me* (ang.) - nie ja. W wymowie brzmi tak samo jak imię głównej bohaterki.

imię. Jest tam takie zdanie: „Dobranoc, Niktosiu”. To moje drugie najulubieńsze zdanie w mojej siódmej najulubieńszej książce.

W tle usłyszałam znajomy głos mamy.

- Kto dzwoni, Chloe?

- Nikt! — odkrzyknęła moja siostra.

- No to odłóż słuchawkę, skarbie! Czas na kąpiel!

- Muszę iść - powiedziała Chloe. - Do widzenia, Niktosiu. Zadzwoń później, dobra?

- Dobra.

Odłożyłam słuchawkę i poczułam się jeszcze bardziej samotna. Chciałam tylko spać. I spałam.

Przez tydzień, może dwa. Łatwo jest stracić rachubę czasu.

Przebudziłam się nagle, wyrwana ze snu dźwiękiem trzech ostrych uderzeń w okno. Byłam dezorientowana, ponieważ pamiętałam, że moja sypialnia znajduje się na drugim piętrze i nikt nie może zapukać w okno, chyba że posiada jakąś supermoc. Ale nie byłam w mojej dawnej sypialni.

Usiadłam na łóżku i odsłoniłam kotarę. Na zewnątrz było ciemno, ale mimo to rozpoznałam Acea Zuckermana. Widziałam jego zdjęcie w swoim portfelu, na moim biurku, w księdze pamiątkowej, a także w innych miejscach. Jednak na żywo wyglądał jak całkowite przeciwieństwo Jamesa. Kontrast pomiędzy moim „chłopakiem” a moim „udawanym chłopakiem” był niemal komiczny.

Ace miał na sobie dzinsy, podobnie jak James, i sportową bluzę. Tyle że na nim wszystko było naprawdę wypełnione. Nie musiałam zaglądać pod bluzę, by domyślić się, że nie znajdę tam wypłowiałego koncertowego podkoszulka. Włosy Acea były jasnobrązowe i zmierzwione. Był muskularny i przystojny - tak mi się wydaje - chociaż w niemal kreskówko-wy sposób. Wszystko w jego osobie wydawało się zbyt szerokie, za duże, jakby przerysowane. Gdyby ktoś zapytał mnie, czy Ace mi się podoba, odpowiedziałabym, że z całą pewnością nie jest w moim typie.

Otworzyłam okno, a on wślizgnął się do środka. Poruszał się jak atleta i najwyraźniej wiedział, że musi wyciągnąć przed siebie nogi, by nie uderzyć w znajdujące się pod oknem półki. Niewymuszony wdzięk jego ruchów dał mi do zrozumienia, że Ace wiele razy zakradał się do mojego pokoju tą drogą.

Gdy tylko znalazł się w środku, usiadł na moim łóżku i pocałował mnie prosto w usta — nie pytając o pozwolenie.

Nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy Ace kiedykolwiek mnie całował.

Właściwie nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy ktokolwiek mnie całował.

A zatem, przynajmniej w pewnym sensie, był to mój pierwszy pocałunek.

Smakował jak napój izotoniczny Gatorade (pewnie mogłam trafić gorzej). Jego język był bierny, znalazł się w moich ustach jakby bez określonego celu i zajął w nich zbyt dużo miejsca. Największą zaletą tego pocąłunku było to, że szybko się skończył.

Ace odsunął się ode mnie, ale w dalszym ciągu siedział na brzegu łóżka.

— Ty naprawdę mnie nie pamiętasz, co?

— Nie, ale wiem, kim jesteś. Moim... — Spojrzał na mnie z nadzieją, ale nie mogłam się zmusić do wymówienia tego słowa. — Moim...

— Chłopakiem — dokończył. — Jestem Ace.

— Tak, moim chłopakiem.

— Przepraszam, że nie przyjechałem wcześniej. Chodzi o to, że... byłem na obozie tenisowym. W tym roku jestem kapitanem drużyny i...

— Grasz w tenisa? Naprawdę? Ja też. — Staralam się tylko podtrzymać rozmowę. Oczywiście wiedziałam o tym już wcześniej.

— Wiem, że grasz w tenisa. Właśnie przez to się poznaliśmy. Jesteś w tym całkiem dobra. — Niespodziewanie uderzył się w głowę. Gwałtowność tego ruchu naprawdę mnie przestraszyła. — Dałem plamę! Powinienem być wrócić z obozu wcześniej. Powinienem być przyjechać!

— Nic się nie stało, Al.

— Mam na imię Ace — szepnął.

- Wiem. - Nie miałam pojęcia, dlaczego tak się do niego zwróciłam. Znałam jego imię, ale wydaje mi się, że ten akt samoudręczenia, którego byłam świadkiem, odebrał mi trzeźwość myślenia.

Ace odchrząknął i zmienił temat.

- Przywiozłem ci prezent. Byłem w obozowym sklepiku ze sprzętem tenisowym i to skojarzyło mi się z tobą. - Wyjął z kieszeni parę białych opasek frotte na nadgarstki, przeznaczonych do gry w tenisa.

Zastanawiałam się, dlaczego skojarzyłam mu się właśnie z opaskami pochłaniającymi pot. Czy to miał być żart? Z wyrazu jego ust -cienkiej, różowej kreski, pełnej zdeterminowanej cierpliwości i wyczekiwania - wynikało, że nie.

Z pewnością nie był to najbardziej romantyczny prezent na świecie, ale Ace miał najwyraźniej dobre intencje, więc założyłam opaski.

- Dobrze wyglądają - orzekł. - Pasują do tej, hm, piżamy.

Podeszłam do lustra na drzwiach szafy pod pozorem obejrzenia moich opasek, ale tak naprawdę po to, by dyskretnie przestudiować odbicie Acea. Starłam się go rozgryźć, a czasami jest to łatwiejsze, gdy ktoś nie wie, że na niego patrzysz. Obserwowałam Acea, a on obserwował mnie. Miał zmęczone oczy i wydawał się zadowolony, że założyłam jego prezent. Może dostrzegłam na jego twarzy tęsknotę, a może po prostu przypominałam sobie o pigułkach w swojej szufladzie, ale nagle dotarło do mnie, że prawdopodobnie uprawiałam z tym chłopakiem seks. Zdecydowałam, że nie chcę z nim o tym teraz rozmawiać. Nie umiałam przewidzieć, dokąd mogłaby zaprowadzić taka rozmowa.

Odwróciłam się od lustra, przeszłam przez sypialnię i pocałowałam go jeszcze raz, jakbym w ten sposób mogła sobie wszystko poukładać. Miał miękkie usta, ale jego broda przypominała papier ścierny, chociaż nie dostrzegłam na niej ani jednego włosa. Po mniej więcej dziesięciu sekundach, które dla mnie trwały całą wieczność, odsunęłam się.

- Dziękuję za prezent - powiedziałam. Nie miałam pojęcia, jak przekazać Acebwi wiadomość o tym, że lekarze zabronili mi uprawiać sport przez kilka najbliższych miesięcy. — Czy o tej porze roku często gram w tenisa?

- Zaczynasz trenować wczesną wiosną - oznajmił. - Wtedy opaski na pewno ci się przydadzą. Chyba wybiegłem myślami w przyszłość,

kupując ci je. Przepraszam — dodał - za swoje wejście. Nie powinienem był cię całować. Powinienem pozwolić, żebyś to ty pocałowała mnie. Ja... no cóż, spanikowałem. Odebrało mi rozum. Rzadko mi się to zdarza. I na korcie, i poza nim.

Powiedziałam, że wszystko w porządku, że wszystko się pogmatwało, czy coś takiego. Później oznajmiłam, że boli mnie głowa, a Ace uznał to za sugestię, by wyjść tą samą drogą, którą się tu dostał.

Gdy już zniknął za oknem, zasłoniłam kotary. Miałam właśnie zdjąć opaski z nadgarstków, kiedy tata delikatnie zapukał do drzwi.

- Och, nie śpisz jeszcze? Właśnie miałem na chwilę wyskoczyć. — Spojrzałam na zegarek, była 21:30.

- Dokąd? - zapytałam.

- Tylko po kawę. Skończyła nam się, a ja pewnie będę pracował do późna — powiedział. — Potrzebujesz czegoś?

-Nie.

- Za pół godziny będę z powrotem — obiecał. — A tak przy okazji — ładne opaski.

Po chwili usłyszałam, jak zamyka za sobą frontowe drzwi i odjeżdża z podjazdu.

Nasz dom był taki cichy.

Ściągnęłam opaski. Chociaż w dalszym ciągu byłam wyczerpana, nie mogłam zasnąć. Postanowiłam założyć słuchawki i posłuchać składanki Willa. Pierwsza piosenka nosiła tytuł *Fight Test* i miała mieć jakiś związek z naszym pierwszym spotkaniem. Postanowiłam więc do niego zadzwonić.

- Alleluja, twój telefon znowu działa - przywitał mnie. - Chciałem zadzwonić, ale mama powiedziała, że powinienem dać ci czas na odpoczynek. - Pozwoliłam mu się rozgadać o księdze pamiątkowej, liście, który do mnie napisał, o tym, co wyczytał w Internecie na temat amnezji, i o wszystkich rzeczach, jakie wpadły mu do głowy.

- No więc jak właściwie się poznaliśmy? - zapytałam, kiedy wreszcie zrobił przerwę, by złapać oddech.

- Wiem, że trudno ci będzie w to uwierzyć, ale nie od razu mnie polubiłaś.

- Nie? - zapytałam z udawanym niedowierzaniem.

- W rzeczy samej, przyjaciółko. Przekonałaś się do mnie z czasem. Ludzie zwykle długo się do mnie przekonują. Oficjalnie poznaliśmy się pierwszego dnia dziewiątej klasy podczas spotkania informacyjnego w redakcji *Phoenix*, ale wtedy tylko na siebie spojrzeliśmy, wymieniliśmy imiona i poszliśmy każde w swoją stronę. Tak naprawdę poznałem cię jakiś miesiąc później. Uczyli nas, jak składać strony na komputerze, i patrzyłem przez twoje ramię, jak pracujesz. Dziś wiem, że rego nie cierpisz, ale wtedy nie miałem o tym zielonego pojęcia...

- Chyba wszyscy tego nie cierpią - weszłam mu w słowo.

- Dzięki, Szefowo, zapamiętam. W każdym razie wkleiłaś wtedy zdjęcie drużyny cheerleaderek na stronę i wyglądało to bardzo ładnie, ale jednocześnie spowodowało przesunięcie tekstu, tak że na dole strony została tylko pierwsza linijka akapitu, co nazywają...

- Sierotą, wiem o tym. - Nie miałam pojęcia, skąd, ale faktycznie wiedziałam.

- Hej, przypomniałaś sobie! To dobry znak. Powiedziałem do ciebie: „Ale lipa z tą sierotą”, a ty odwróciłaś się i posłałaś mi takie spojrzenie, jakbyś miała ochotę mnie zabić. Myślałaś, że chodziło mi o twoją adopcję...

- Więc o tym też wiesz?

- Mówiłem już, że wiem o tobie wszystko - odparł Will. - Niestety, wtedy tak nie było. Powtórzyłem więc to nieszczęsne zdanie o sierocie, a ty powiedziałaś: „Chrzań się!”. W końcu jednak zorientowałem się i dodałem: „Miałem na myśli tekst”, a ty roześmiałaś się i odparłaś: „Tak, chyba zmniejszą trochę zdjęcie, żeby się jej pozbyć”. Tak właśnie się poznaliśmy. A mniej więcej po miesiącu, kiedy już znaliśmy się lepiej, wspomniałaś, że zostałam adoptowana, co wreszcie pozwoliło mi zrozumieć twoją reakcję.

- Wcześniej myślałaś po prostu, że jestem jędzą?

- Tak bym tego nie nazwał.

- A co ta piosenka ma wspólnego z naszym pierwszym spotkaniem?
— zapytałam.

- Cóż... - odchrząknął Will. - Myślę, że w pewien sposób opowiada o problemach we współczesnej komunikacji. Jak już mówiłem, nie miałem dostatecznie dużo czasu, żeby nagrać porządną składankę. Ale zawsze kiedy jej słucham, myślę o tobie i naszym pierwszym spotkaniu. Ty tak nie robisz? Czy słuchając piosenek, nie dopasowujesz ich do konkretnych osób, nawet jeśli te osoby o tym nie wiedzą?

- Może czasem.

- Poza tym mój tata naprawdę lubił tę piosenkę. Był wielkim fanem Flaming...

Ziewnęłam. Nie mogłam się powstrzymać.

- Przepraszam. Co takiego mówiłeś? Twój tata...

- Hej, powinnaś się położyć, Szefowo. Możesz do mnie zadzwonić jutro, jeśli chcesz i jeśli będziesz się czuła na siłach.

- Hej, Will, mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

- Pytaj, o co chcesz.

- Chodzi o Acea. Czy twoim zdaniem naprawdę się w nim zabijałam?

- Szczerze wątpię, żebym potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

- W takim razie kto będzie potrafił? - zapytałam. Will westchnął.

- Właściwie to tak, byłaś w nim zabijana. Nie oczekuj, że ci to wyjaśnię, ale skoro pytasz, to ci odpowiadam.

- Ale dlaczego? Dlaczego akurat w nim? - Naprawdę byłam ciekawa. Słyszałam, jak Will upija łyk wody.

- Nie siedzę w twojej głowie, mogę się tylko domyślać. Domyślałam się więc, że lubisz być widziana w towarzystwie przystojnego atlety. Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt złośliwie.

- A więc uważasz, że jestem płytka? - odbiłam piłeczkę.

- Tego nie powiedziałem. Myślę, że jesteś najrówniejszą babką w okolicy, ale także człowiekiem. Poza tym chodzisz do szkoły, w której dobrze jest mieć chłopaka takiego jak Ace.

Zastanawiałam się...

Całe to zastanawianie się było już męczące.

- Dobranoc, Will - powiedziałam.

- Dobranoc, Szefowo. Myślisz, że dasz radę wrócić do szkoły razem ze wszystkimi po Dniu Pracy?

- Nie wiem, kiedy wrócę. W dalszym ciągu jestem bardzo zmęczona.

- Nie przemęczaj się, dobra? Wezmę twój grafik zajęć i obowiązków, więc o nic nie musisz się martwić.

- Dzięki.

Wskoczyłam pod kołdrę i ponownie włączyłam tamtą piosenkę. Jeszcze zanim się skończyła, zapadłam w sen.

Spałam przez kolejne trzynaście godzin. Nie słyszałam nawet, kiedy tata wrócił do domu.

Dzień przed moim powrotem do szkoły powiedziałam tacie, że chcę się przekonać, czy nadal potrafię prowadzić samochód.

- Na pewno jesteś na to gotowa? - zapytał.

Może niezupełnie byłam gotowa, ale wizja wożącego mnie wszędzie taty nie wydawała mi się szczególnie kusząca.

- Minęły dopiero trzy tygodnie. Nie jestem przekonany, czy to bezpieczne.

- Ale przecież muszę kiedyś zacząć, prawda? — uparcie obstawałam przy swoim i tata w końcu ustąpił.

Wsiedliśmy do samochodu. Włożyłam kluczyk do stacyjki i przekręciłam. Ta czynność wydała mi się dostatecznie znajoma. Już miałam wcisnąć pedał gazu, kiedy tata powiedział:

- Musisz wrzucić wsteczny bieg.

- No tak, jasne — odparłam, wykonując polecenie.

Gdy po raz drugi zabierałam się za wciśnięcie gazu, tata znowu się odezwał:

- Powinnaś najpierw zerknąć w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy nic nie jedzie, a później przez ramię, dla całkowitej pewności.

- Jasne, jasne. — Droga była pusta w obydwu kierunkach. Zaczęłam powoli wycofywać samochód. Dopiero co zjechałam

zderzakiem z podjazdu, kiedy rozległ się trzykrotny dźwięk klaksonu. Wcisnęłam hamulec, a rozpędzony SUV minął nas o włos.

- Kretyn! - wrzasnął tata, chociaż z całą pewnością nikt poza mną go nie usłyszał. - Niektórzy rozpędzają się w tej okolicy, jakby byli na autostradzie. Nie przejmuj się tym.

A jednak się martwiłam. Po tej próbie nie miałam w sobie nawet krzty przekonania, że w dalszym ciągu potrafię prowadzić.

- Powinnaś wiedzieć, jak to się robi! - Uderzyłam pięścią w deskę rozdzielczą. Ze wszystkich rzeczy, jakie mnie spotkały w ostatnim czasie, ta wydała mi się szczególnie upokarzająca. Czułam się bezradna jak dziecko, a przy tym słaba, głupia i uwięziona w potrzasku. Nie mogłam znieść myśli, że tata lub ktokolwiek inny będzie mnie oglądać w tak żalnym stanie. Zapragnęłam znaleźć się jak najdalej od tego cholernego samochodu.

Nawet nie wyłączyłam zapłonu. Po prostu trzasnęłam drzwiami i pobiegłam prosto do swojego pokoju.

Tata wysiadł z samochodu i ruszył za mną.

- Naomi, zaczekaj! Musimy porozmawiać! Powoli się odwróciłam.

- O czym?

- Ja... Zacznieś prowadzić, kiedy będziesz na to gotowa. Możemy spróbować w przyszłym tygodniu. Nie ma pośpiechu.

Oczy taty były przekrwione. Wyglądał, jakby od dawna nie zmrużył oka, a i wcześniej niewiele spał.

- Wyglądasz na zmęczonego, tato. Westchnął.

- Siedziałem do późna i oglądałem film przyrodniczy o lemingach. Słyszałaś o tym, że ludzie podejrzewali lemingi o zbiorowe akty samobójcze, kiedy ich populacja stawała się zbyt duża?

- Coś mi się obilo o uszy.

- Okazuje się, że mają po prostu bardzo kiepski wzrok.

- Odkąd to oglądasz filmy przyrodnicze? - zapytałam. Tata nigdy nie był typem „przyrodnika”.

Pokręcił głową, jakby sam się zastanawiał.

— Nie jestem pewien. Chyba od rozwodu. Jutro zawiozę cię do szkoły, OK?

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że do tej pory myśl o powrocie do szkoły nie przerażała mnie tylko dlatego, że jej do siebie nie dopuszczałam. W szpitalu lekarze zbadali moje zdolności kognitywne i doszli do wniosku, że poza utratą pamięci mój mózg funkcjonuje całkowicie normalnie. Niezależnie od tego, co owo „normalnie” oznaczało. Pamiętałam matematykę i fizykę, ale zapomniałam wszystkie książki, które przeczytałam, i większość historii — powszechnej i, co oczywiste, własnej. W dalszym ciągu posiadałam zdolność uczenia się i przyswajania nowych informacji, a także pamiętałam wszystko, co wydarzyło się przed siódmą klasą, więc w gruncie rzeczy mogło być o wiele gorzej. Niektórzy ludzie po urazach głowy spędzali miesiące, a nawet lata na ciężkiej fizjoterapii, podczas której uczyli się wszystkiego od nowa — czytania, pisania, mówienia, chodzenia, a nawet kąpania się i chodzenia do toalety. Niektórzy z nich kończyli z ogolonymi głowami lub musieli nosić specjalny kask. Jestem przekonana, że ani jedno, ani drugie nie zostałyby dobrze przyjęte w mojej szkole.

Myśląc o powrocie do niej, najbardziej martwiłam się nie nauką, lecz rówieśnikami. Patrząc na mnie, nikomu nie przyjdzie do głowy, że przytrafiło mi się coś wielkiego. Miałam na twarzy tylko kilka siniaków i szwów — ale w środku byłam inną osobą. Martwiłam się, że nie rozpoznam kolegów i nie będę wiedziała, jak się zachować. Martwiłam się, że każą mi tłumaczyć rzeczy, które sama ledwie rozumiałam. Martwiłam się, że wszyscy będą się na mnie gapić, i bałam się, co powiedzą. Właśnie dlatego starałam się wcale nie myśleć o szkole, do której miałam powrócić już następnego dnia.

Większość dzieciaków, które ktoś podwoził do szkoły imienia Toma Purdue, wyglądała na pierwszo- lub drugoroczników. Siedząc po stronie pasażera w samochodzie taty, czułam lekki żal, że to nie ja prowadzę.

- Jesteś gotowa? - zapytał tata.

- Nie - odparłam zgodnie z prawdą.

Poprzedniego wieczoru zapisałam sobie na dłoni plan zajęć. Miałam mapę szkoły, znałam szyfr do swojej szafki, tata obdzwonił wszystkich moich nauczycieli. Dlaczego więc tak trudno było mi otworzyć drzwi samochodu?

Tata wyciągnął z kieszeni marynarki niewielkie, prostokątne pudełko.

- Twoja mama prosiła, żebym ci to dał. Przyszło w zeszły piątek.

- Nic od niej nie chcę - powiedziałam.

- W porządku. Jestem tylko posłańcem - odparł tata.

Do pudełka był przyczepiony bilecik wypisany jej artystycznym charakterem pisma: „Cukiereczku, tata powiedział, że mogą Ci się przydać. Miłego pierwszego dnia po powrocie do szkoły. Kocham Cię. Mama”.

Nie byłam cukiereczkiem - ani jej, ani niczym. I nienawidziłam przekupstwa. Nie obchodziło mnie nawet, co znajduje się w pudełku. Od razu wiedziałam, że mi się nie spodoba.

Z drugiej strony, naprawdę trudno jest się oprzeć otworzeniu pudełka z prezentem, skoro już znalazło się na twoich kolanach. Podniosłam wieczko. Wewnątrz znajdowała się para okularów przeciwsłonecznych w srebrnych oprawkach. Wyglądały na strasznie drogie.

Spojrzałam na tatę.

- Powiedziałaś jej o świetle?

- To w dalszym ciągu twoja matka, skarbie.

Dość zabawną konsekwencją mojego wypadku było to, że czułam się, jakbym mieszkała na biegunie północnym. Wszystko wydawało mi się niesamowicie jasne (chyba właśnie tak wyobrażałam sobie polarne czapy) i zwykle czułam przenikliwe zimno, chociaż był dopiero wrzesień. Takie rzeczy pewnie zdarzają się osobom po urazach głowy. Lekarze wyjaśnili mi, że połączenia w moim mózgu muszą zacząć działać

na nowo i czasami mogą wysyłać błędne lub zbyt liczne informacje. W rezultacie odczuwałam chłód, kiedy tak naprawdę było ciepło, i dziwną wrażliwość na światło, chociaż nie było aż takie jasne.

Mimo że w tej sytuacji przydałby mi się prezent od mamy, zamierzałam wyrzucić go przez okno. Miałam nadzieję, że ktoś przejedzie go samochodem. Jednak w niezrozumiałym dla mnie samej odruchu założyłam okulary.

Poranek był jasny - nie potrafiłam stwierdzić, czy bardziej niż zwykle - i ból głowy rzeczywiście stał się mniej uciążliwy, gdy schowałam oczy za przyciemnionymi szklami. Kiedy przejrzałam się w lusterku, dostrzegłam jeszcze jedną zaletę: okulary zakrywały większość pozostałości po siniakach, a nawet część blizny, która powstała w miejscu założenia szwów.

Muszę przyznać, że powód, który przeważał szalę na korzyść przyjęcia prezentu, był naprawdę płytki: wyglądałam w tych okularach odjazdowo. Moja mama miała dobry gust - musiałam to przyznać. Może dlatego, że była artystką. Ta kobieta zawsze wiedziała, w czym komu będzie do twarzy.

- Dobrze wyglądasz, skarbie - odezwał się tata.

Przedarłam bilecik na pół i podałam go tacie razem z pudełkiem.

- Możesz to wyrzucić?

Otworzyłam drzwi i wysiadłam z samochodu. W dalszym ciągu miałam na nosie okulary przeciwsłoneczne. To, że moja mama zachowała się jak ostatnia zdzira, nie oznaczało, że muszę pozbywać się całkiem dobrej pary szkieł.

Ludzie w szkole albo bez skrępowania się na mnie gapili, albo całkowicie unikali mojego spojrzenia. Cieszyłam się, że mam na nosie okulary przeciwsłoneczne, ponieważ nikt nie wiedział, w którą stronę patrzę. Wydawało mi się, że słyszę, jak dzieciaki szepczą moje imię, ale nie mogłam zrozumieć, co mówią. Zresztą chyba nawet nie chciałam tego wiedzieć. A może nic nie mówiły? Może był to wytwór mojej wyobraźni?

Nie wspomniałam wcześniej Willowi ani Aceowi, że wracam tego dnia do szkoły. Nie chciałam wzbudzać sensacji. Jednak wspinając się po schodach, niemal żałowałam, że nikomu nie powiedziałam.

Kiedy już znalazłam się w głównym korytarzu, przecesałam wzrokiem tłum w poszukiwaniu znajomej twarzy — Jamesa, Willa czy Acea - ale nikogo nie dostrzegłam. Dzieciaki witały się ze mną. Zrobiło to nawet kilkoro nauczycieli. Odpowiadałam im uśmiechem, nie mając bladego pojęcia, kim są.

Przeprowadziliśmy się do Tarrytown w roku, w którym skończyłam dwanaście lat. Przez sześć lat chodziłam do miejscowej szkoły podstawowej, a później skończyłam pierwszą i drugą klasę w szkole średniej imienia Toma Purdue. Niestety, na tym etapie moje wspomnienia się urywały. Wszyscy ci ludzie byli dla mnie obcy. Czułam się, jakbym była tu nowa. A właściwie to moja sytu-

acja była jeszcze gorsza. Kiedyś byłam już nowa i przynajmniej wiedziałam wtedy, na czym stoję. Ja nie znałam tu nikogo i nikt nie znał mnie.

Przeszłam korytarzem do miejsca, gdzie powinna znajdować się moja szafka o numerze 13002. Wypróbowałam szyfr, który dostałam od Willa razem z rozkładem zajęć, ale nie zadziałał. Spróbowałam jeszcze raz. Bez skutku. Sfrustrowana, uderzyłam pięścią w szafkę. Nagle ktoś postukał mnie w ramię.

- Zanim zatrzymasz się przy ostatniej cyfrze, musisz wykonać jeden dodatkowy obrót zgodnie z ruchem wskazówek zegara - wyjaśniła blada dziewczynka z włosami ufarbowanymi na jeżynowo rudy kolor. Miała na sobie czarne glany i spódniczkę w szkocką kratę. Zauważyłam też skarpetki w różnokolorowe paski, wystające znad butów.

Skorzystałam z jej rady i szafka wreszcie się otworzyła.

- Dzięki — powiedziałam.

- Nie ma za co, Naomi.

Dziewczynka wyglądała znajomo, choć nie od razu ją skojarzyłam.

- Ja cię znam - powiedziałam. Chodziłyśmy razem do podstawówki. Alice Leeds miała wtedy długie blond włosy, które zwykle nosiła splecione w warkocze. - Alice? - zapytałam niepewnie.

- Nie wiedziałam, czy będziesz mnie pamiętać. Wszyscy słyszeliśmy, co ci się stało w głowę.

Wy tłumaczyłam jej, że pamiętam wszystko, co wydarzyło się przed siódmą klasą, w tym także zajęcia z panią Bloomfield.

- Czy nadal się przyjaźnimy? - zapytałam.

- Mmm, właściwie to nie. Chyba można powiedzieć, że się oddaliśmy. - Alice wzruszyła ramionami. - Do zobaczenia później - powiedziała, odchodząc.

- Do zobaczenia.

Zastanawiałam się, czy doszło między nami do kłótni, czy naprawdę „oddaliśmy się” od siebie. Kiedy zadzwonił dzwonek, wrzuciłam kilka książek do szafki i zatrzasnęłam drzwiczki. Spojrzałam na dłoń - „Algebra i geometria, pani Tarkington, sala 203”.

Kiedy coś się dzieje, coś poważnego, w rodzaju choroby lub śmierci, niektórzy ludzie zachowują się tak, jakby nic się nie stało. Moja wy-

chowawczyni, a jednocześnie nauczycielka algebry i geometrii, pani Tarkington, była właśnie jedną z takich osób. Chociaż niekoniecznie zależało mi na tym, żeby ludzie robili wokół mnie dużo szumu, okazało się, że jest jeszcze dziwniej, kiedy nie robią go wcale.

Chociaż wszyscy nauczyciele zostali poinformowani o moim stanie, pani Tarkington nie zmarnowała ani chwili, by zapytać mnie, jak się czuję czy coś w tym rodzaju. Nie czuła też potrzeby poinformowania mnie, w której ławce powinnam usiąść. Sympatyczny chłopiec w okrągłych okularach szepnął do mnie:

- Naomi Porter. Siedzimy w porządku alfabetycznym. Ty jesteś za mną. Nazywam się Patten. Roger Patten.

- Dzięki — powiedziałam z wdzięcznością.

Kiedy usiadłam, odwrócił się i potrząsnął moją dłoń.

- Oboje należymy też do redakcji księgi pamiątkowej. Nie zajmuję się tworzeniem treści, tak jak ty - po prostu sprzedaję reklamy na końcowych stronach. Landsman poinformował wszystkich o twoim wypadku. Mieliśmy zamiar wysłać ci kartkę, ale na szczęście szybko do nas wróciłaś. Świetne okulary...

- Panie Patten, dlaczego słyszę szepty? - zapytała pani Tarkington.

- Przepraszam - powiedziałam bezgłośnie do Rogera. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Jeśli chodzi o same zajęcia, był to początek roku szkolnego, więc nadal powtarzaliśmy algebrę z poziomu drugiego i trygonometrię. Na szczęście pamiętałam i jedno, i drugie. Natomiast na nieszczęście okazało się, że zostawiłam swój podręcznik do matematyki w szafce. Pani Tarkington pożyczyła mi zapasowy, ale było widać, że zagrałam jej tym na nerwach.

Pod koniec zajęć wzięła mnie na stronę.

- Panno Porter, dzisiaj puszczę to pani płazem - powiedziała -ale to nie do zaakceptowania, żeby siedziała pani na lekcji w okularach przeciwsłonecznych.

Usiłowałam jej wytłumaczyć, że mój mózg jeszcze nie doszedł do siebie. Było jednak wyraźnie widać, że uznała to za zwykłą wymówkę. Może i częściowo miała rację, ale i tak nie chciałam zdejmować okularów. Dzięki nim czułam się bezpieczniej.

— Nie rób tego więcej - rzuciła na koniec i odprawiła mnie niedbałym machnięciem dłoni.

Na drugiej lekcji mieliśmy historię Stanów Zjednoczonych i materiał nie wydawał mi się szczególnie znajomy. Na swój sposób pocieszające było to, że pozostali również wyglądali, jakby wiedzieli niewiele więcej ode mnie. Poza tym wszystko było napisane w podręczniku, więc nadrobienie zaległości nie powinno być trudne.

W drodze na trzecie zajęcia, te z angielskiego, zgubiłam się, ponieważ odbywały się one w sali tuż przy szkolnej bibliotece, której nie zaznaczono na mapie. Kiedy wreszcie dotarłam na miejsce, pani Landsman uściskała mnie tak serdecznie, jakbym była jej dawno zaginioną córką. Uznałam to za sygnał, że jesteśmy ze sobą bardzo zżyte.

— Naomi Porter, tak się o ciebie martwiliśmy! — Jej uścisk był zdumiewająco silny, jak na tak drobną osobkę.

Pani Landsman nie mogła mierzyć więcej niż metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, ja natomiast miałam metr siedemdziesiąt, odkąd skończyłam dwanaście lat. Przy tej małej kobietce, uczepionej mojej talii, poczułam się nagle jak wielkolud. Podobnie jak Will miała jasnobłękitne oczy, krzywy uśmiech i bladą skórę. Jasny kolor jej włosów — długich i prostych, spływających po plecach i rozdzielonych równym przedziałkiem — wpadał w rudy odcień. Miała delikatną urodę, jak lalka, co sugerowało, że można ją bardzo łatwo zranić. Z tabliczki na biurku wynikało, że ma na imię Molly, i to imię idealnie do niej pasowało: było dziewczęce, lecz staroświeckie, słodkie i otwarte niczym przekrojone na pół jabłko.

- Will nie wspominał, że wracasz dziś do szkoły!

Przyznałam się, że ukryłam to przed nim, na co pani Landsman pogroziła mi palcem.

- Moja droga, Will będzie tym faktem absolutnie zdruzgotany!
-Wszystkie jej wypowiedzi były szeptanymi wyznaniem zwieńczonymi wykrzyknikiem. - Został dzisiaj w domu - znowu bolał go brzuch. Biedny chłopiec, zbyt ciężko pracuje, ale mam wielką ochotę od razu do niego zadzwonić i przekazać mu tę nowinę!

Pani Landsman raz jeszcze mnie uścisnęła i wskazała mi miejsce z przodu klasy.

- Koniecznie mi powiedz, jeśli będę ci mogła jakoś pomóc. W każdej sprawie! — dodała, zanim usiadłam.

Pani Landsman rozpoczęła rok szkolny od omawiania dramatów. Ponieważ się spóźniłam, klasa już czytała na głos *Czekając na Godota*. Wszystkie role zostały rozdzielone pod moją nieobecność, dlatego mogłam tylko słuchać, jak czytają inni. Rola Estragona przypadła długowłosej blondynce Yvette Schumacher, noszącej kasztanowe buty Mary Janes, zestawione z podkolanówkami, na których wyhaftowano czerwone serduszka. W szkole, gdzie obowiązują mundurki, najwięcej można się o kimś dowiedzieć, patrząc na jego obuwie i skarpetki. Znałam Yvette, ponieważ przez sześć lat chodziła ze mną do podstawówki, tak samo jak Alice, która pomogła mi w otwarciu szafki. Rolę Władimira odgrywał Roger Patten z zajęć algebry i geometrii.

Może gdybym słyszała tę sztukę od początku, wydawałaby mi się ciekawsza lub bardziej sensowna. Jednak bez kontekstu czy znajomości akcji naprawdę trudno było się zorientować, o czym w ogóle był ten dramat. Czy główni bohaterowie byli w sobie zakochani, czy tylko się przyjaźnili? Ciężko stwierdzić.

Usiłowałam się skoncentrować, ale nawet w dzieciństwie nie bardzo lubiłam, kiedy czytano mi na głos. Odkąd nauczyłam się czytać, zawsze wolałam robić to sama. Poza tym język sztuki był tak zagmatwany, że śledzenie jej przychodziło mi z wyjątkowym trudem i w pewnym momencie głosy uczniów zaczęły się coraz bardziej ode mnie oddalać.

Następne, co pamiętam, to pani Landsman delikatnie potrząsająca moim ramieniem.

- Naomi, biedactwo, obudź się!

Klasa była pusta i przez chwilę nie mogłam się zorientować, gdzie jestem.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, moja droga. Możesz przeczytać tę sztukę później. Liczy sobie już ponad pięćdziesiąt lat i z całą pewnością zaczeka do jutra. Wyglądałaś jak aniołek. Zastanawiałam się, czy nie pozwolić ci pospać nieco dłużej. Może chciałabyś pójść do gabinetu lekarskiego i chwilę odpocząć?

Naprawdę byłam wykończona, ale wiedziałam, że będzie lepiej, jeśli nie opuszczę żadnych zajęć ze swojego planu. Nie chciałam napytać sobie biedy już pierwszego dnia.

- To naprawdę miła propozycja, ale powinnam już iść - powiedziałam z ociąganiem.

- Skoro jesteś tego pewna... - Pani Landsman przyjrzała mi się z troską. - Myślę o tobie jak o własnej córce, moja droga - powiedziała. - Napiszę ci usprawiedliwienie. Z kim masz następne zajęcia?

Zerknęłam na dłoń.

- Fizykę z doktorem Pillarem.

- To uroczy dżentelmen. Jeden z moich ulubieńców! - Pani Landsman musiała stanąć na palcach, żeby objąć mnie ramieniem.

Podobnie jak tata nie przepadałam za przytulaniem, ale miło było czuć dotyk kogoś, kto nie był lekarzem ani nie próbował się dobrać do moich majtek. Miło było czuć matczyną opiekę.

- Po drodze powinnaś wstąpić do łazienki. Odrobina planu zajęć przeniosła się z twojej dłoni na twarz — powiedziała pani Landsman.

W damskiej toalecie przejrzałam się w lustrze. Odbicie planu zajęć rzeczywiście znalazło się na moim prawym policzku. Leżące na umywalce mydło było z rodzaju tych szorstkich i suchych, które można znaleźć już chyba wyłącznie w szkołach. Nie nadawało się do mycia.

Musiałam niemal zedrzeć skórę z twarzy, żeby usunąć tusz, a przy okazji zmyłam część planu, która pozostała na mojej dłoni.

Kiedy wreszcie dotarłam na zajęcia fizyki, światła w sali były zgaszone. Klasa oglądała na DVD program o cząstkach elementarnych i teorii sznurka. Wręczyłam doktorowi Pillarowi usprawiedliwienie od pani Landsman, a on uśmiechnął się i wskazał mi moje miejsce.

Zdjęłam okulary przeciwsłoneczne i zabrałam się za oglądanie filmu. Było to bardzo odprężające zajęcie. Narrator miał aksamitny głos spikera radiowego, a na podkład dźwiękowy składała się muzyka w stylu New Age i Philipa Glassa. Treść filmu tworzyły wywiady z jajogłowymi dorosłymi, ubranymi w laboratoryjne kitle i poliestrowe koszule z krótkim rękawem, oraz komputerowe symulacje gwiazd i planet, w kółko tworzących się i rozpadających. Dostrzegałam w tym zjawisku pewien rodzaj piękna. Wszystkie te gwiazdy i planety przypomniały mi...

...wizytę w klimatyzowanym planetarium.

Powietrze było stęchłe jak w bibliotece, ale też upalne jak nad morzem...

Miałam na sobie cienką, białą koszulkę na ramiączkach. I gęsią skórkę na rękach.

W tle rozbrzmiewał rock z lat siedemdziesiątych. Towarzyszył mi chłopiec ze spoconymi dłońmi. To uczucie...

Jakby wszystko mogło się zdarzyć.

Zastanawiałam się, czy mogło to być rzeczywiste wspomnienie, a jeśli tak, czy należało ono do mnie? Czy tylko przeczytałam opis takiej sceny w jakiejś książce lub zobaczyłam ją w filmie? Nawet kiedy mój mózg działał bez zarzutu, zdarzały mi się takie rzeczy. Historie z książek łączyłam z rzeczywistymi zdarzeniami. Choć niektórzy mogliby się ze mną spierać, nie było to tak do końca kłamstwo. Bardziej pożyczanie. Trudno to wytłumaczyć.

Skoncentrowałam się z powrotem na filmie. Jeden z fizyków mówił właśnie, że kiedy naukowcy zabrali się za badanie wszechświata, było

to jak przebywanie w ciemnym pokoju. Jednak teraz, kiedy pojawiły się nowe teorie, zorientowali się, że nie mają do czynienia z pokojem, lecz z całym domem. I to nie była jaką rudera, ale posesją z nieskończoną liczbą pomieszczeń do zbadania. Wyobraziłam sobie naukowców myszkujących po pogrążonej w ciemności posesji. Nie wiem dlaczego, ale w mojej wyobraźni naukowcami były pijane kobiety, które dopiero co wróciły z imprezy. „Hej - odezwała się jedna z nich - czy któraś z was pamięta, jak w ogóle się tu znalazłyśmy?” Kobiety bezskutecznie usiłowały wydostać się z tego wielkiego domu, kiedy po raz drugi tego ranka zapadłam w sen.

Na szczęście tym razem obudziłam się sama. Nie chciałam zasnąć jako „ta laska, która zawsze zasypia podczas zajęć” (każdemu w szkole przykleja się jakąś etykietkę).

Jeden z lekarzy w szpitalu mówił, że pacjenci po urazach głowy mogą przez pewien czas odczuwać wyczerpanie.

Co to znaczy „przez pewien czas”? - zapytałam. Zaczęli między sobą szeptać i raz po raz kiwać głowami. „Czas trudny do określenia” -brzmiała ich zgodna odpowiedź.

- Panno Porter. - Doktor Pillar zatrzymał mnie, kiedy wychodziłam po lekcji. Miał idealnie okrągłą twarz i był łysy, jeśli nie liczyć wełnistego paska kruczoczarnych włosów nad uszami i karkiem, przypominającego parę zsuniętych z głowy słuchawek. - Twój tata zadzwonił z informacją, że twoje zdolności matematyczno-fizyczne są całkowicie satysfakcjonujące. Zakładam, że mówił prawdę. - Miał dziwny, patetyczny sposób formułowania zdań i równie zastanawiający akcent, którego nie potrafiłam rozpoznać, ale było w nim coś z Draculi. - Jesteś o rok do przodu z tych dwóch przedmiotów, co niezwykle nas cieszy, prawda? Ale przygotowałem dla ciebie materiały z chemii i matematyki, których opanowanie jest konieczne, byś została mistrzynią nauk ścisłych. - Podał mi dużą i ciężką kopertę, pękającą w szwach od nadmiaru papierów.

Innymi słowy, przygotował dla mnie powtórkę. Podziękowałam mu. Miło wiedzieć, że nie wszyscy nauczyciele w tej szkole przypominają panią Tarkington.

- To bardzo ciekawe, że zapomniałaś niektóre rzeczy, a innych nie... - Przyglądał mi się w sposób, w jaki zapewne technik laboratoryjny obserwuje badaną małpę. - Może to dlatego, że ludzki mózg gromadzi różne informacje w odpowiednich szufladkach? W gruncie rzeczy nic o nim nie wiemy, prawda?

Z pewnością tak właśnie było.

- I dlaczego nie pamiętasz akurat ostatnich czterech lat? Być może od chwili wkroczenia w okres dojrzewania zmienia się miejsce przechowywania wspomnień długoterminowych? W ten sposób pamiętasz wszystko, co wydarzyło się przed okresem dojrzewania, ale nic z tego, co miało miejsce później.

Nie byłam pewna, co usiłuje mi powiedzieć, ale naprawdę nie miałam ochoty dyskutować z doktorem Pillarem na temat swojego dojrzewania.

- A może chodzi o jakieś traumatyczne wydarzenie z dzieciństwa, które rozpaczliwie chciałaś wyprzeć z pamięci?

- Hm... Niewykluczone.

- Wybacz mi. Usiłuję tworzyć teorie na temat spraw, których nie sposób wyjaśnić. Taka już moja natura. A może sama masz jakieś teorie na temat swojej utraty pamięci, panno Porter?

- Przegrałam w rzucie monetą i spadłam ze schodów. Pech i nie-zdarność?

- Lub też wypadek i grawitacja. Jeśli tak na to spojrzeć, jesteś chodzącym fizycznym eksperymentem, prawda?

Nie można mu było odmówić racji.

Po czwartej lekcji była przerwa obiadowa. Przed pracownią fizyczną czekał na mnie Ace, żeby zaprowadzić mnie do naszego stolika na stołówce.

- Nie mówiłaś, że dzisiaj wracasz! - Uściskał mnie i sięgnął po mój plecak.

- W porządku, Ace, dam sobie radę.

- Ale ja chcę ci pomóc - nalegał.

Usiedliśmy w grupie około dwudziestu osób przy długim, przypominającym ławę stole. Były tam i dziewczyny, i chłopcy. Niektórych pamiętałam z poprzednich zajęć, a kilkoro jeszcze ze szkoły podstawowej. Nasz stolik był zdecydowanie najgłośniejszy na całej stołówce. Widać było, że siedzące przy nim dzieciaki uważały się za prawdziwe szkolne gwiazdy. Robiły z obiadu przedstawienie, zamiast najzwyczajniej w świecie go zjeść.

Dziewczyna z kręconymi włosami o imieniu Brianna przedstawiła mi się, a później powiedziała:

- Chciałabym tylko, żebyś wiedziała, jaka moim zdaniem jesteś dzielna. To, co cię spotkało, jest naprawdę tragiczne. Czyż nie jest dzielna?

Wcale nie czułam się dzielna. Chociaż jej słowa najwyraźniej były skierowane do mnie, wyglądało na to, że zwraca się raczej do Acea, ludzi siedzących przy naszym stoliku, a może nawet do wszystkich zgromadzonych na stołówce.

Chwyciła mnie za dłonie.

- To dziwne, Naomi, bo wyglądasz jak ty, a jednak jesteś zupełnie inna.

- Pod jakim względem? - zapytałam.

Brianna nie odpowiedziała. Przeniósła swoją uwagę na kolejną osobę.

Cztery czy pięć osób siedzących najbliżej również się przedstawiło. Niektóre dziewczyny mówiły przesadnie głośno, jakbym była głucha. Inne unikały mojego spojrzenia. A później wszyscy wrócili do odgrywania obiadowego show i zaczęli mnie ignorować, co bardzo mi odpowiadało. Szybko zorientowałam się, że otaczają mnie przyjaciele Acea, a nie moi. Zastanawiałam się, gdzie siedzi James Larkin - jeszcze go dzisiaj nie widziałam. Podobnie jak Willa.

- Czy Will zwykle jada z nami? - zapytałam Acea.

- A dlaczego pytasz?

Jego reakcja mnie zaskoczyła.

- Czy powiedziałam coś nie tak?

- Nie... Wiem, że Landsman jest twoim przyjacielem, ale nie mam pojęcia, co ty w nim widzisz. - Ace pokręcił głową. - Jada obiady w siedzibie redakcji. Ty też, czasami.

W stołówce panował nie tylko gwar, ale też niemal arktyczna temperatura, jakby kierownictwo szkoły obawiało się, że nasze jedzenie może się zepsuć podczas konsumpcji. Zaczęłam się trząść. W drodze tutaj zauważyłam, że niektórzy jedzą obiad na dziedzińcu.

- Jest taki ładny dzień, może zjedlibyśmy na zewnątrz? - zaproponowałam Aceowi.

Zanim zdążył otworzyć usta, wtrąciła się Brianna:

- Hm, pewnie byśmy mogli, ale zawsze jemy tutaj. - A później ona i dziewczyna, której imienia nie mogłam sobie przypomnieć, zaczęły chichotać, jakbym zasugerowała zjedzenie obiadu co najmniej na Marsie.

- To prawda - przyznał Ace, wzruszając ramionami.

Trzęśłam się więc przez dalszą część przerwy, ale w końcu oznajmiłam, że muszę zabrać coś z szafki, i wstałam od stołu.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - zapytał Ace. Pokręciłam głową i powiedziałam, że sobie poradzę.

Nie poszłam jednak do szafki. Miałam dość tego chłodu. Wyszłam na dziedziniec, ale zrobiło mi się jeszcze zimniej. Jesień była tuż-tuż.

Zapуściłam się na tyły szkoły. Na granicy między boiskiem a resztą kampusu znajdowała się szklarnia.

Spróbowałam szarpnąć drzwi - były otwarte. Miałam wrażenie, że w środku jest nieco cieplej, więc usiadłam na betonowej ławce, przed czymś, co przypominało okrutny eksperyment na słonecznikach - siedem kwiatów było zwiędniętych i tylko jeden dobrze się rozwijał. Byłam ciekawa, co mu podawano. A może od początku miał w sobie więcej woli życia niż reszta?

W dalszym ciągu przyglądałam się ósmemu słonecznikowi, kiedy za moimi plecami rozległ się znajomy, głęboki głos.

- Cała drżysz.

To był James. Postanowiłam jeszcze się nie odwracać i na niego nie patrzeć. Nie chciałam dać po sobie poznać, jak bardzo ucieszyło mnie to spotkanie, szczególnie że od dnia wypadku nie odwiedził mnie ani w szpitalu, ani w domu.

- Może trochę - odparłam lekko. - A tak w ogóle, czy tutaj jest zimno? Mam ostatnio problemy z określeniem temperatury.

- Mnie nie jest zimno - powiedział James, wyłaniając się zza drzewka pomarańczowego z niezapalonym papierosem w ustach. Wyjął go i wsunął do tylnej kieszeni spodni. - Ale to nie znaczy, że ty nie czujesz chłodu. - Zdjął sztruksową kurtkę z wełnianym kołnierzem i podał mi ją. — Proszę.

Założyłam kurtkę. Pachniała papierosami i farbą.

- Palisz?

- Od czasu do czasu. Głównie po to, by nie wplątać się w gorsze kłopoty.

Szukając możliwie najwięcej ciepła, wsunęłam dłonie do kieszeni kurtki. Namacałam klucze, opakowanie tabletek, zapalniczkę, długopis i kilka skrawków papieru.

- Pewnie powinienem opróżnić kieszenie, zanim pożyczę kurtkę dziewczynie - zauważył. - Co w nich właściwie jest?

Zdałam mu raport.

- Nic szokującego, prawda?

To zależy, na co są te tabletki, pomyślałam.

- To zależy, do czego są te klucze - powiedziałam głośno. Roześmiał się.

- Do domu mojej mamy i do mojego samochodu, który akurat jest w warsztacie.

Usłyszałam dobiegający z oddali dzwonek.

- A ty nadal się trzęsiesz - powiedział James. Poluzował krawat i zdjął koszulę. Pod spodem miał podkoszulek. - Załóż to pod kurtkę. Będzie ci cieplej.

- Nie będziesz miał z tego powodu problemów? - W szkole imienia Toma Purdue ściśle przestrzegano zasady noszenia mundurków.

Powiedział, że ma w szafce zapasową koszulę. Jego ramiona były szczupłe i umięśnione, ale nie jak u faceta, który trenuje. Zauważyłam

długą na pięć centymetrów, poziomą bliznę wzdłuż wewnętrznej strony jego prawego nadgarstka. Nie miałam pewności, ale wyglądało mi to na ślad po próbie samobójczej. James zorientował się, że patrzę na bliznę. Nie zasłonił jej, ale też niczego mi nie wyjaśnił.

Ponownie rozległ się dzwonek.

- Spóźnisz się na lekcję - zauważył.

Spojrzałam na dłoń. Francuski w sali 1-, numer rozmazał się podczas mojej porannej toalety. Wyciągnęłam rękę w stronę Jamesa.

- Pewnie nie będziesz wiedział, która to sala?

Przytrzymał moją dłoń niczym otwartą księgę. Kiedy w końcu odczytał numer, zamknął ją w swojej i zaproponował, że mnie tam zaprowadzi.

Podobał mi się sposób, w jaki trzymał mnie za rękę. Być może wyobraźnia płatała mi figle, ale wydawało mi się, że czuję pod palcami strupki na skórze Jamesa, w miejscu, gdzie ścisnęłam jego dłoń przed trzema tygodniami.

Puścił moją rękę prawie tak szybko, jak ją chwycił. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał chłodno i oficjalnie.

- Chodźmy, bo się spóźnimy.

Ledwie mogłam za nim nadążyć, kiedy prowadził mnie przez korytarze, ale później, gdy już dotarliśmy do sali od francuskiego, zwlekał z odejściem. Wydawało mi się, że chce mi coś powiedzieć, ale tak naprawdę chodziło mu tylko o kurtkę.

- Moja kurtka - powiedział, zaskakująco drażliwie, jak na osobę, która jeszcze przed chwilą tak chętnie mi ją oddała. Zdjęłam kurtkę i już miałam się zabrać za zdejmowanie koszuli, kiedy powtórzył, że ma w szafce zapasową.

- Naprawdę powinnaś się cieplej ubierać - mruknął, a później odszedł, ani razu nie oglądając się za siebie.

Stałam tam, ponownie ogarnięta chłodem, a na dodatek z wyrzutami sumienia, że nie zdążyłam nawet podziękować mu za pomoc po wypadku.

Nie pamiętałam prawie nic z tego, czego się do tej pory nauczyłam, przez co lekcja francuskiego niespodziewanie stała się fascynująca.

- *Bonjour, Nadine* - odezwała się madame Greenberg swoim naczynym nowojorskim akcentem francuskim.

Jedyną rzeczą, co do której ani przez chwilę nie miałam wątpliwości, było moje imię.

- Przepraszam - powiedziałam - ale nazywam się...

- *En français? Je m'appelle...*

- *Je m'appelle Naomi. Eee... Non, Nadine. Nadine, non.*

- *Ici, nous employons les noms français, Nadine.*

- *Oui* - przyznałam jej rację. W porządku, skoro chce mnie nazywać Nadine, niech jej będzie. Brzmiało to co prawda jak imię... *comment dit-on* francuskiej prostytutki, ale mniejsza o to. Zapytałam *en anglais* siedzącego za mną chłopca, o czym, do diabła, mówi ta kobieta. Najwyraźniej wszystkim w klasie przypisano francuskie imiona, co wydało mi się beznadziejnie idiotycznym pomysłem. Przecież jeśli kiedykolwiek pojedę do Paryża, ludzie nie zaczną się do mnie nagle zwracać per Nadine.

Siódme zajęcia okazały się gimnastyką, z której z wiadomych względów byłam zwolniona. Kazano mi udać się do świetlicy i poczekać, aż będę mogła dołączyć do reszty klasy. Wykorzystałam tę godzinę na sen.

Na ostatnich zajęciach miałam warsztaty fotograficzne dla zaawansowanych. Prowadził je pan Weir. Wcale nie wyglądał staro (może nawet nie miał jeszcze trzydziestki, chociaż nigdy nie byłam dobra w określaniu czyjegoś wieku), ale był kompletnie łysy. Miał na sobie podkoszulek i prążkowany blezer. Kiedy weszłam do klasy, przedstawił się:

- Jestem twoim ulubionym nauczycielem, panem Weirem. Czadowe szkła. - Z miejsca go polubiłam. - Siedzisz tam - odpowiedział mi, wskazując biurko z tyłu sali.

Warsztaty fotograficzne dla zaawansowanych były przeznaczone dla tych, którzy przez dwa lata chodzili na inne zajęcia fotograficzne, tak jak ja (choć oczywiście tego nie pamiętałam). Głównym ich celem było zrealizowanie jednego dużego niezależnego projektu. Miała to być seria

zdjęć opowiadających historię, najlepiej osobistą, a końcowa ocena w osiemdziesięciu procentach składała się z tego zadania i w dwudziestu z całej reszty, czyli - z tego, co zdążyłam zauważyć - głównie z obecności na warsztatach. Te zajęcia były dla mnie jak ożywczy powiew wiatru, bułka z masłem, coś, co mogłam odłożyć na bok, zanim nadrobię zaległości z poważniejszych przedmiotów.

Kiedy wychodziłam z klasy, pan Weir zapytał, czy możemy porozmawiać.

- Nie wiem, czy powinienem o tym wspominać, ale przyszłaś do mnie latem, tuż przed swoim wypadkiem. Powiedziałaś mi, że chcesz zrezygnować z zajęć.

- Dlaczego?

- Mówiłaś coś o obowiązkach związanych z redagowaniem księgi pamiątkowej, ale nie jestem pewien. Mogła to być wymówka, żeby nie zranić moich uczuć. Oczywiście w dalszym ciągu możesz zrezygnować z warsztatów, jeśli chcesz, ale cieszyłbym się, gdybyś jednak została.

Zapytałam go, czy wie, na co planowałam chodzić w zamian, ale nie potrafił mi pomóc. A więc chciałam zrezygnować z jedynych zajęć, które naprawdę lubiłam (i które nie sprawiały wrażenia szczególnie czasochłonnych). Gdzie w tym sens?

Na szczęście ten dzień dobiegał końca. Każda lekcja wymagała ode mnie bycia trochę inną osobą i czułam się tym wykończona. Zastanawiałam się, czy zawsze miałam podobne podejście do szkoły i czy inni uczniowie je dzielali.

Postanowiłam pójść do toalety. Nie musiałam, ale chciałam побыć chwilę sama.

Siedziałam w kabinie, kiedy usłyszałam wchodzącą do łazienki Briannę.

Rozmawiała z kimś. Rozmawiała z kimś o mnie.

— Och, wiem, że przerwa obiadowa była dziwna - usłyszałam. -To znaczy... ta dziewczyna wygląda tak samo, ale zachowuje się, jakby nie była sobą. Kiedyś wydawała się taka... - Wydała z siebie westchnienie. - Ale teraz... - Jej głos się urwał. - To takie tragiczne. Tak strasznie tragiczne. A wiesz, kogo najbardziej mi szkoda? Acea.

Brianna była idiotką, ale nie miałam szczególnej ochoty stawać z nią twarzą w twarz. Co miałabym jej powiedzieć? Poza tym pewnie miała rację. Siedziałam w kabinie, dopóki nie wyszła z toalety.

Prawdę powiedziawszy, cała ta sytuacja wydawała mi się coraz bardziej depresyjna.

Nadal tkwiłam w toalecie, kiedy zadzwonił mój telefon. Nie miałam nawet pojęcia, że przez cały dzień był włączony. Spojrzałam na wyświetlacz. Dzwonił Will.

— Nie mów mi, że jesteś w szkole — zaczął bez przywitania.

— Niestety tak — odparłam.

— Teraz jestem wkurzony. Dzwoniła do mnie mama, ale jej nie uwierzyłem. Dlaczego nie powiedziałaś, że wracasz właśnie dzisiaj? Wtedy na pewno bym poszedł.

— Twoja mama powiedziała, że jesteś chory.

— To nic poważnego. — Wyjaśnił, że w dzieciństwie miał wrzód i teraz zdarzały mu się „problemy z brzuchem”, które czasami wykorzystywał, żeby zostać w domu. - Ale dla ciebie bym przyszedł, Szefowo. Zresztą i tak tu jestem.

— Skoro nie czujesz się dobrze, powinieneś chyba siedzieć w domu?

— Nigdy nie rezygnuję z pracy nad księgą pamiątkową - wyjaśnił. — Ty zresztą też nie. Gdzie jesteś? Zaraz po ciebie przyjdę.

— Jasne, Will. Jestem w damskiej toalecie. Czekam na ciebie. Roześmiał się.

— Jasne. Może w takim razie spotkamy się w redakcji? Czyli w pomieszczeniu obok klasy Weira? A przy okazji, powinnaś zadzwonić do swojego taty i uprzedzić go, że jesteś ze mną.

— Hej, Will? -Tak?

— Dlaczego miałam zamiar rzucić warsztaty fotograficzne?

— Warsztaty... warsztaty... Już wiem. Mówiłaś, że ten projekt zajmie ci za dużo czasu. Poza tym uważałaś, że to nie fair, by ocena z przedmiotu

zależała od osobistej historii. Wydaje mi się, że twoim zdaniem zbyt wiele było w tym przypadkowości. I... to chyba wszystko.

Czułam, że coś przede mną ukrywa. Mój tata zawsze powtarza, że jeśli ktoś zawiesza głos, nie mówi nam wszystkiego. Zapytałam Willa, czy mógł istnieć jeszcze jakiś powód.

— Cóż, mogę się tylko domyślać. Dwa pierwsze lata warsztatów koncentrują się na kwestiach technicznych. Uczą, jakich aparatów używać, jak dobierać oświetlenie, obrabiać zdjęcia, obsługiwać Photoshopa. Ale zajęcia dla zaawansowanych są bardziej kreatywne, bliższe temu, czym zajmuje się twoja mama, jeśli wiesz, co mam na myśli. Może właśnie to stanowiło dla ciebie problem?

Nie skomentowałam tego, ale wyjaśnienie Willa brzmiało bardzo prawdopodobnie.

— Widzimy się na górze — powiedziałam.

Kiedy weszłam do środka, zespół redakcyjny zaczął wiwatować, a wszyscy odśpiewali dla mnie piosenkę *For She's a Jolly Good Fellow*, ściskając mi dłoń i poklepując po plecach, jakbym była jakąś bohaterką. Ktoś wyjął aparat - okazało się, że był to TEN aparat - i powiedział, że powinnam sobie zrobić zdjęcie ze swoją dawną *nemesis*. Znaleźli inny aparat, a ja udawałam, że boksuje się z tym, co wszystkich rozśmieszyło do łez. Czułam się lekko onieśmielona i może nawet wzruszona, ponieważ nagle stało się jasne, ile łączy mnie z tymi ludźmi, w przeciwieństwie do tych, z którymi zmuszona byłam jeść obiad.

Wszystko to wydawało się cudowne, dopóki nie zaczęło do mnie docierać, na czym tak naprawdę polegała praca nad księgą pamiątkową. Składało się na nią zrobienie serii grupowych zdjęć, sprzedaż reklam i branie udziału w konferencjach związanych z księgami pamiątkowymi. Wszystko to wymagało nieskończonej liczby zebrań i narad.

Zastanawiałam się, jak to możliwe, by opracowanie kilku zdjęć w dwie twarde okładki kosztowało tyle czasu, pieniędzy i wysiłku.

Zebranie trwało do dziewiętnastej. Trzeba było zaakceptować zdjęcia, zredagować teksty i zaplanować dalsze prace. Wychodząc, zapytałam Willa, ile razy w tygodniu spotyka się zespół redakcyjny. Roześmiał się i odparł:

- Żartujesz, prawda? Spotykamy się każdego dnia. Czasami także w weekendy.

Zrobiłam szybką kalkulację. Wyszło mi co najmniej dwadzieścia godzin pracy nad księgą pamiątkową tygodniowo.

Siedemset dwadzieścia godzin w roku szkolnym - nie licząc spotkań w weekendy i konferencji.

Z której strony by nie spojrzeć, było to piekielnie czasochłonne.

Miałam nadzieję, że odzyskam pamięć i przypomnę sobie, co mi się podobało w redagowaniu rocznika. Nie chciałam zawieść tych wszystkich miłych ludzi.

Kiedy już wracaliśmy samochodem do domu, Will nie mógł przestać mówić o księdze pamiątkowej. Ten facet miał na tym punkcie obsesję, jak zapewne każdy, kto poświęcał swojej pasji siedemset dwadzieścia godzin rocznie. Przez większość drogi ignorowałam go. Kiwałam tylko głową i na szczęście wyglądało na to, że Will nie oczekiwał ode mnie bardziej aktywnego udziału w rozmowie.

Pragnęłam go zapytać, dlaczego tak bardzo lubię (czy może raczej: lubiłam) pracę w redakcji, ale nie chciałam zranić jego uczuć.

- Jesteś bardzo milcząca - zauważył.

Powiedziałam, że jestem zmęczona, co w zasadzie nie było kłamstwem.

- Za dużo mówię - przyznał. - Chyba po prostu jestem podekscytowany tym, że wróciłaś. Bez ciebie to żadna frajda, Szefowo.

Byliśmy już w połowie drogi do mojego domu i zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle, kiedy zauważyłam idącego chodnikiem Jamesa Larkina. Zaczęło mżyć i choć wciąż pamiętałam skrępowanie, jakie dało się między nami wyczuć w szklarni, pomyślałam, że powinniśmy mu zaproponować podwiezienie. Zapytałam Willa, czy mógłby zjechać na pobocze.

- Ten koleś wygląda tak, jakby wolał być sam - odparł. Przypomniałam mu, jak bardzo James pomógł mi w szpitalu i że tak naprawdę nie miałam jeszcze okazji, by mu podziękować.

— Poza tym był na tyle miły, żeby przynieść wam do redakcji aparat - dodałam.

Wiedziałam, że ten ostatni argument przekona Willa. Westchnął tak, jakby naprawdę czuł się poirytowany, i wymamrotał, że „takie bezsensowne włączanie i wyłączanie silnika kosztuje mnóstwo pieniędzy”. Oznajmiłam więc, że może mnie tu wyrzucić — resztę drogi pokonam pieszo.

- Tak, jasne, na pewno zostawię swoją kontuzjowaną przyjaciółkę na deszczu — powiedział. — Po prostu nie mam całego dnia na to, żeby wozić po mieście ciebie i twoich kumpli.

Wysiadłam z samochodu i zawołałam Jamesa.

— Podwieźć cię?

Odwrócił się naprawdę powoli i przez chwilę byłam niemal pewna, że się nie zatrzyma. W końcu jednak podszedł do samochodu Willa. Nie wyglądał wcale na ucieszonego moim widokiem. Zaczynałam się zastanawiać, czy chłopak, którego spotkałam w szpitalu, nie był przypadkiem wytworem mojej wyobraźni.

- Ciągłe jest ci zimno? - zapytał uprzejmie.

— Trochę — odparłam. — Schowałam twoją koszulę do szafki. Wzruszył ramionami.

Właśnie chciałam mu wyznać, że miałam nadzieję na kolejne przypadkowe spotkanie, kiedy Will zdecydował się wysiąść z samochodu. Wcisnął się między mnie a Jamesa i wyciągnął do niego rękę.

- Miło cię widzieć, Larkin. I jeszcze raz dzięki za podrzucenie aparatu. Naomi jest szefową redakcji księgi pamiątkowej. Nie żebyś o to pytał...

— Nie wiedziałem — odparł James. Przez sekundę myślałam, że jego usta za chwilę rozciągną się w uśmiechu. - No cóż... Fajnie było was spotkać.

- Rzecz w tym - odezwałam się - że miałam nadzieję znowu cię zobaczyć. Nie zdążyłam podziękować ci za pomoc...

James przerwał mi w pół zdania.

- Naprawdę nie ma o czym mówić. - Wbił dłonie w kieszenie kurtki i odwrócił się, by odejść.

- Zaczekaj! - krzyknęłam. - Czy możemy cię przynajmniej podwieźć?

Will uszczypnął mnie w ramię i wymamrotał:

- On nie chce podwózki.

Will niepotrzebnie się marrwił, ponieważ James tylko potrząsnął głową.

- Wcale tak mocno nie pada - powiedział i odszedł.

Gdy wsiedliśmy z powrotem do samochodu, Will znowu zaczął szczebiotać o księżce pamiątkowej.

- Byłoby naprawdę super chociaż raz mieć w zespole porządnych artystów.

- Czy on jest artystą? -Kto?

- James.

- Wydaje mi się, że ma coś wspólnego z filmem, ale nie jestem pewien. Sęk w tym, że najlepsi odchodzą do szkolnej gazetki, magazynu literackiego lub choćby kółka teatralnego, ale żadne z nich nie chce pracować przy tworzeniu rocznika. To strasznie głupie, jeśli się nad tym głębiej zastanowić, bo nikt nie zagląda do gazetki czy magazynu literackiego już w tydzień po ich wydaniu. Za to każdy zachowa swoją księgę pamiątkową, nawet wtedy, gdy będzie już bardzo stary, wiesz? Hej, Szefowo?

- Co? - Znowu zatrzymaliśmy się na światłach i mogłam obserwować, jak James przechodzi przez ulicę.

- Zapomnij o tym - powiedział Will.

- Co się z nim działo, zanim trafił do naszej szkoły? - zapytałam.

- Skąd mam to wiedzieć?

- Czy nie powinieneś przypadkiem wiedzieć wszystkiego? Zachował się dość nieuprzejmie, nie sądzisz?

Will wzruszył ramionami.

- Nie, po prostu nie potrzebował podwózki.

Kiedy światło zmieniło się na zielone, momentalnie lunęło jak z cebra.

- Chyba powinniśmy jeszcze raz zaproponować mu podwiezienie. -
Głos Willa był tak pozbawiony entuzjazmu, jak to tylko możliwe. Jechał
teraz powoli obok idącego chodnikiem Jamesa.

- James! - przechyliłam się nad Willem, krzycząc przez okno od strony
kierowcy.

- Nie roztopię się! — odkrzyknął. Z jego włosów spływały strużki
wody.

- James - powiedziałam - wsiądź do samochodu, dobra?

Nasze spojrzenia skrzyżowały się na sekundę. Uniosłam brew. James
leciutko pokręcił głową.

- Nic mi nie jest - powtórzył.

- Przecież leje - zaprotestowałam.

- Posłuchaj, Larkin, ona naprawdę nie da za wygraną, a ja marnuję tu
benzynę. Po prostu wsiądź do samochodu - warknął Will.

James, o dziwo, usłuchał go.

- Dzięki - rzucił do Willa.

- Dokąd jedziemy, sir? - zapytał oficjalnie Will.

- Chyba do mojego domu - odparł James.

Udzielił kilku wskazówek w sprawie trasy, a Will powiedział, że wie,
gdzie to jest. Obserwowałam w lusterku wstecznym, jak James zdejmuje
kurtkę, która była cała przemoknięta. Znowu zobaczyłam rzemyk z
zawieszoną na nim obrączką.

Will także go zauważył.

- To twoja obrączka? - zapytał.

- Nie, mojego brata - odparł James, chowając ją za koszulkę.

- Dlaczego jej nie nosi? - drążył Will.

- Może dlatego, że... - zawiesił głos, by wytrzeć włosy o koszulę -nie
żyje.

- Och - odezwał się speszony Will. - Naprawdę mi przykro, stary.

James wzruszył ramionami i powiedział, że to się wydarzyło dawno temu. Było dla mnie jasne, że nie chce o tym mówić, więc zmieniłam temat.

- Tak sobie myślałam... Nie odwiedziłeś mnie już później w szpitalu.

- No tak... Miałem zamiar, ale nie przepadam za szpitalami.

- Czekałam - powiedziałam, odwracając się, żeby spojrzeć na niego przez szczelinę między zagłówkiem a przednim siedzeniem. -Miałam nadzieję, że może odwiedzisz mnie w domu. - Okulary zsunęły mi się trochę z nosa i James sięgnął do szczeliny, by je poprawić. Zanim opuścił dłoń, jego palec delikarnie musnął miejsce nad moją brwią.

- Nadal cię boli? - zapytał.

- Nie bardzo - odparłam.

- Pamiętasz, co się stało?

- Nie pamięta niczego, co wydarzyło się po szóstej klasie - odpowiedział za mnie Will, co mnie nieco zdenerwowało. Zachowywał się naprawdę nieznośnie.

Ponownie się odwróciłam.

- To nie do końca tak. Pamiętam matematykę i fizykę.

- Czegóż więcej chcesz od życia? - zażartował Will.

- Po prostu zapomniałam wszystko inne - ciągnęłam. - Można powiedzieć, że mój umysł jest jak czysta karta.

James roześmiał się.

- Szczęściara z ciebie.

- Nie rozumiem, z czego tu się cieszyć - burknął Will.

- Czy nie istnieją sprawy, o których wolałbyś zapomnieć? - zapytał go James.

- Nie - odparł Will. - Nie istnieją. Na miejscu Naomi byłbym wściekły.

- Jesteś wściekła? - zainteresował się James. Zastanowiłam się przez chwilę, a później potrząsnęłam głową.

- Nie bardzo. Przecież nic nie mogę na to poradzić.

James pokiwał głową.

— To bardzo dojrzała postawa. Ja bez przerwy wkurzam się na rzeczy, na które kompletnie nie mam wpływu.

Na przykład jakie? Zaciekał mnie, ale nie zadałam tego pytania na głos.

— Poza tym mogę jeszcze odzyskać pamięć.

Dom Jamesa stał przy prywatnej ulicy. Zbudowany z szarego kamienia, właściwie wcale nie przypominał zwykłego domu. Raczej posiadłość. Z pewnością wydawałby się większy, gdyby nie otaczały go jeszcze bardziej luksusowe posiadłości. Przypominał mi nieruchomości, które widziałam we Francji, gdzie moi rodzice zawędrowali latem tego samego roku, w którym skończyłam siedem lat. Nie wiedziałam nawet, że w Północnym Tarrytown można spotkać takie domy.

James nie miał sąsiadów i chociaż był już wieczór, nie dostrzegłam w jego domu ani jednego zapalonego światła. Budynek sprawiał wrażenie osamotnionego. Zastanawiałam się, ile osób w nim mieszka.

Starając się unikać pochmurnych spojrzeń rzucanych mi przez Willa, wysiadłam z samochodu i odprowadziłam Jamesa do drzwi. Wisząca na nich kołatka miała kształt ogromnej lwiej głowy. Zwierzę miało poważnie uszkodzony nos i jedno oko. Pomyślałam, że jest chyba trochę podobne do mnie.

— Pewnie straciłabym głowę, gdyby cię tam ze mną nie było. Nie miałam okazji, by ci to powiedzieć.

— Cieszę się, że mogłem pomóc — odparł James.

— Chciałam do ciebie zadzwonić, ale nie znałam numeru. No cóż, jeszcze raz dziękuję. — Wyciągnęłam w jego stronę dłoń.

— Ale oficjalnie — zauważył. Objął moją dłoń i delikatnie ją uściśnął.

Sprawialiśmy wrażenie zastygłych w tym geście. Nagle rozległ się dźwięk klaksonu.

— Twój przyjaciel chyba się niecierpliwi — odezwał się James, puszczając moją dłoń. — Ja też powinienem już iść. Podziękuj mu ode mnie za podwiezienie. — Jego głos znów stał się oziębły.

Postanowiłam nie odbierać nagłych zmian nastroju Jamesa osobiście. Niektórzy ludzie już tacy byli. James okazał mi uprzejmość, kiedy jej potrzebowałam, i oczekiwanie czegoś więcej byłoby nierozsądne. Podziękowałam mu i to wystarczyło. Poza tym mam już przecież chłopaka.

Odjeżdżając z podjazdu Jamesa, Will zapytał:

- Co ty tam tak długo robiłaś?

- Nic szczególnego. Chciałam tylko jeszcze raz podziękować mu za pomoc.

- Dziwny z niego koleś — odpowiedział.

- Co masz na myśli, Will?

- Cóż, nie wiem, czy to prawda, ale krążyły plotki, że przeniósł się tutaj, ponieważ miał obsesję na punkcie jakiejś dziewczyny w dawnej szkole.

- Jak to - miał obsesję?

- Nie dawał jej spokoju, groził jej. Po prostu odbiło mu na jej punkcie. Podobno musiała starać się o wydanie mu sądowego zakazu zbliżania się, czy czegoś w tym rodzaju - poinformował mnie Will.

James jakoś nie pasował mi do tego opisu. Jeśli już, przejawiał wobec mnie przesadny szacunek. Poza tym miał szczery głos.

- Skąd to wiesz?

Z tego, co zauważyłam, wszyscy w szkole lubili wygadywać o innych niestworzone historie.

- Wiesz, jaką miał ksywkę w dawnej szkole? Przewróciłam oczami w odpowiedzi.

- Stuknięty James.

- Co to niby ma znaczyć? - zapytałam.

- To znaczy, że jest... - nakreślił palcem kółko wokół ucha - szalony.

Loco.

- Nigdy nie słyszałam czegoś równie głupiego. To nawet nie jest prawdziwa ksywka, tylko jego imię i zwykły przymiotnik. - Will zachowywał się tak dziecinnie.

Wzruszył ramionami.

- Zmyśliłeś historię z tą ksywką, mam rację?

- Nie, oczywiście, że nie! - Will westchnął. - Może. No dobra. Rzecz w tym, że mógłby mieć taką ksywkę. Wymyśliłem ją dla celów ilustracyjnych. Cała reszta to święta prawda, Szefowo.

Kiedy zbliżaliśmy się do mojego domu, Will poklepał mnie po ramieniu.

- Nie przejmuj się, jeśli praca związana z księgą pamiątkową wyda ci się z początku przytłaczająca. Przysiądę fałdów, dopóki całkiem nie wydobrzejesz, OK?

Will uwielbiał staroświeckie określenia, co pewnie by mnie rozbawiło, gdybym nie była poirytowana.

- Dzięki. Słuchaj, Will, dlaczego właściwie tak lubimy pracować nad księgą pamiątkową? - W końcu zadałam to pytanie.

Na twarzy Willa odmalowało się milion różnych emocji. Zaczął od westchnienia, które przeobraziło się w śmiech. Przez sekundę marszczył czoło, a później jego błękitne oczy zaszyły mgłą, jakby miał zamiar się rozplakać.

- Czy to trudne pytanie? - zapytałam.

- Nie. To, co powiem, będzie pewnie idiotyczne... Po prostu miałem nadzieję, że będziesz o tym pamiętać sama. Wiem, że niektórym może się to wydać głupie, ale oboje naprawdę wierzymy w sens tego, nad czym pracujemy. Powiedziałbym nawet, że byłaś bardziej zaangażowana w tworzenie rocznika niż ja. Dla nas jest on czymś więcej niż książką pełną obrazków. To ikona, symbol naszych czasów. Młodszym dzieciakom dostarcza pewien wzorzec, a dla starszych — po skończeniu przez nich szkoły - jest pamiątką, do której będą mogli wracać w ciężkich chwilach. Oboje naprawdę wierzymy, że rocznik może określić szkołę i sposób, w jaki ludzie będą ją postrzegać. Porządna księga pamiątkowa może sprawić, że i szkoła, i jej uczniowie będą porządniejsi. Ba, nawet cała planeta, cały wszechświat. Spisujemy historię tego roku. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność.

- Wspaniałe przemówienie - powiedziałam szczerze.

- Wygłaszałem lepsze. Dawniej bez przerwy rozmawialiśmy o tym, co zrobimy, gdy już dostaniemy się do redakcji. O tym, jak umieścimy w księdze każdego ucznia, jak uczynimy ją demokratyczną i jednocześnie osobistą. Jak upewnimy się, żeby była czymś więcej niż tylko zbiorem zdjęć najpopularniejszych osób w szkole, sportowców

i dzieciaków przyjaźniących się z zespołem redakcyjnym. A skoro już o tym mowa, należysz do wszystkich trzech grup.

- Naprawdę? - Zgadzałam się co do sportowców, ale pierwszy dzień w szkole imienia Toma Purdue jakoś nie dał mi poczucia, że jestem tu popularna.

- Smutne, ale prawdziwe. Martwiliśmy się tylko o to, które z nas zostanie szefem redakcji, bo to stanowisko dla jednej osoby. Zanim w zeszłym roku zaczęto przeprowadzać rozmowy z kandydatami, wymyśliliśmy, że oboje będziemy się ubiegać o stanowisko szefa redakcji. Był to ewidentny precedens, żeby ktoś tak młody jak my się o nie starał. W ten właśnie sposób zostaliśmy pierwszymi w historii *Phoenix* równorzędnymi szefami redakcji. I teraz to my nią rządzymy. Super, nie?

Pokiwałam głową, chociaż szczerze mówiąc, całe to przemówienie Willa tylko mnie przygnębiło. Widziałam i słyszałam, jak bardzo wierzy w to, co mówi, ale sama wcale nie byłam przekonana. Może w przeszłości tak było, ale teraz?

Kiedy dojechaliśmy do mojego domu, Will wysiadł z samochodu i odprowadził mnie do drzwi. Podobnie jak jego matka, uściskał mnie z zaskakującą siłą, a później poklepał po plecach, sygnalizując dyskretnie koniec przytulania.

- W porządku, Szefowo.

Zanim wrócił do samochodu, zasalutował mi żartobliwie.

Właśnie miałam otworzyć drzwi frontowe, kiedy dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, gdzie schowałam klucz. Nacisnęłam dzwonek i po mniej więcej pięciu sekundach w progu pojawił się tata.

- Zgubiłam klucze... - zaczęłam, ale dokładnie w tej samej sekundzie oznajmił:

— Zapomniałaś rano wziąć klucze.

Gdy weszłam do domu, tata zapytał mnie, jak było w szkole, ale nie miałam nastroju do rozmów. Powiedziałam mu, że boli mnie głowa, i poszłam do pokoju, żeby się położyć.

Obudził mnie dopiero dźwięk telefonu około wpół do dziesiątej w nocy.

— Zastanawiałem się nad twoim pytaniem i wymyśliłem jeszcze jeden powód, dla którego tak bardzo lubię księgę pamiątkową - w słuchawce zabrzmiał głos Willa.

-Tak?

— Wiesz, że oboje dołączyliśmy do zespołu w dziewiątej klasie, prawda? Ale nie wspomniałem ci, że tamten rok był dla nas obojga wyjątkowo ciężki. Ty miałaś problem ze swoją mamą, a i ja... przeżywałem trudny czas. Wydaje mi się, że praca nad księgą mnie uratowała. Dała mi coś, czym mógłbym się zająć, zamiast po prostu, no wiesz... fiksować. Poza tym, przynajmniej dla mnie, rocznik nierozzerwalnie łączy się z tobą. Naprawdę jesteś moją najlepszą przyjaciółką na całym świecie, Szefowo.

Słyszałam w jego głosie mnóstwo emocji: czułość, niepokój, chyba nawet miłość. Jakie to dziwne: być czyimś najlepszym przyjacielem i jednocześnie wcale tego kogoś nie znać. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc czekałam, aż Will znowu się odezwie.

— Mam wyrzuty sumienia w związku z dzisiejszym wieczorem. Myślę, że zachowałem się jak... dupek - powiedział wreszcie Will.

— To prawda, ale wybaczam ci — odparłam i odłożyłam słuchawkę.

Było późno, a ja umierałam z głodu. Od obiadu nie miałam niczego w ustach, a kolację przespałam. Wyszłam z pokoju i przeszłam korytarzem do gabinetu taty. Nie wiem, czy już o tym wspominałam, ale tata jest niezłym smakoszem. Przez wszystkie te lata, kiedy razem z mamą wędrowali po świecie, zbierał przepisy kulinarne do książek. Mama potrafiła przygotować jedynie deser.

Drzwi do gabinetu były zamknięte. Właśnie miałam zamiar zapukać, kiedy usłyszałam, że rozmawia z kimś przez telefon. Nie chciałam

mu przeszkadzać - tata tego nienawidził - więc postanowiłam zaczekać na korytarzu, aż skończy. Nie chciałam podsłuchiwać, przynajmniej nie od razu.

- .. .wygląda normalnie, ale martwię się, kotku - powiedział. Zapadła cisza, a kiedy ponownie usłyszałam jego głos, był stłumiony. -.. .psychoterapia...

Zastanawiałam się, z kim rozmawia. Może z mamą? Jej jednak nie nazywałby kotkiem.

- .. .powiem jej o tym w odpowiednim czasie.

O czym zamierzał mi powiedzieć? Wyteżyłam słuch, ale tata musiał przenieść się w inną część gabinetu, bo nic już nie słyszałam. Po chwili do moich uszu dobiegł śmiech. Z pewnością nie rozmawiał więc z moją matką.

- Caracas! - wykrzyknął. - Gdyby to tylko było możliwe...

Tata zawsze dużo podróżował służbowo - poza książkami pisywał także artykuły do magazynów podróżniczych i pism dla mężczyzn. Doszłam więc do wniosku, że pewnie rozmawiał z kimś z pracy. Szczerze mówiąc, poczułam się urażona. Nie chciałam być tematem pogaduszek - kolejną z jego głupich anegdot. Właściwie to nie obchodziło mnie, z kim rozmawia. W ogóle nie powinien o mnie plotkować.

W drodze powrotnej do mojego pokoju postanowiłam stać się osobą, o której nie warto opowiadać anegdot. Osobą, o której ludzie nie będą gadać nocami przez telefon ani plotkować w cholernych szkolnych toaletach.

Postanowiłam być tak normalna, jak to tylko możliwe.

Przed końcem tygodnia otrzymałam zezwolenie lekarskie na noszenie w szkole okularów przeciwsłonecznych, które radośnie pokazałam pani Tarkington.

- No cóż, na pewno nie jest to zgodne z ogólnie przyjętymi zasadami - powiedziała, lecz nie należała do osób, które sprzeciwiłyby się treści dokumentów opatrzonej szpitalną pieczęcią.

Z innych rzeczy - czasami gubiłam drogę, zdarzało mi się też usłyszeć, jak inni plotkują na mój temat. Niekiedy kazałam im się odchrzanić, oczywiście w duchu - byłam przecież *normalna*. Zakładałam grube swetry, żeby lepiej radzić sobie z arktycznym chłodem na stołówce.

Pozwalałam Aceowi trzymać się za rękę na korytarzu. Nigdy więcej nie poszłam do szklarni.

W sobotni wieczór, w ramach kampanii na rzecz normalności, wybrałam się z Aceem na imprezę urządzoną przez jego kolegę z kortu, który chodził do innej szkoły. Ace nie zadał sobie trudu przedstawienia mnie gospodarzowi - może już go znałam? - a ja do końca imprezy nie zorientowałam się, kim on jest.

Kiedy tylko dotarliśmy na miejsce, Ace praktycznie zostawił mnie samą sobie. Pochłonęła go skomplikowana gra, składająca się z picia alkoholu, rzucania kośćmi, walki wręcz, celowania strzałkami do tarczy i zderzania się klatkami piersiowymi z innymi graczami. Chociaż obserwowałam ją przez piętnaście minut, nie dołąłam pojąć jej zasad ani klucza, według którego wyłaniano zwycięzcę. Domyśliłam się tylko, że pewnie, jak w każdej alkoholowej grze, wygrywa ten, kto najdłużej utrzyma się na nogach.

Nie jestem może tak do końca sprawiedliwa. Ace rzeczywiście zapytał mnie kilka razy, czy dobrze się bawię, a ja skłamałam, że tak. Szczerze mówiąc, cieszyłam się, że jest zajęty, ponieważ nie udało mi się znaleźć ani jednej rzeczy, która by nas łączyła - z wyjątkiem tenisa. Gdyby na podstawie naszych dialogów napisano sztukę, przypominałaby szkolną wersję *Czekając na Godota*:

Ace: Pamiętasz, jak Paul Idomeneo spił się jak zwierzę i zeskoczył z dachu na trampolinę swojego taty? Ja: Nie.

Ace: To było coś.

Ja: Brzmi niesamowicie.

Ace: Tak, niezły był z niego hardcore. A pamiętasz, jak... (*I tak w kółko, bez końca*).

Ace chyba próbował mi pomóc, opowiadając historyjki, które miały mi odświeżyć pamięć. Niestety, nie miał bladego pojęcia, co mogłoby mnie zainteresować, a ja byłam zbyt skrepowana, uprzejma, a może po prostu normalna, by zapytać go o coś naprawdę ważnego, na przykład: „Co ja w tobie widzę?”. Z jego opowieści wynikało, że nasz związek składał się w dużej mierze z imprez, na których ludzie zachowywali się jak idioci, przeplatanych okazjonalnie partyjką tenisa.

Pewnie powinnam była z nim zerwać. Nie zrobiłam tego jednak z dwóch powodów: po pierwsze, nie chciałam kończyć naszego związku, na wypadek gdyby jednak okazało się, że Kocham Acea (ciągle miałam nadzieję, że moje uczucia do niego prędzej czy później do mnie wrócą), a po drugie (wstyd się do tego przyznać, ale prawdopodobnie właśnie ten powód przeważał szalę), spotykanie się z Aceem ułatwiało mi życie. To on bronił mnie przed złośliwymi dziewczuchami podczas przerwy obiadowej. Chociaż straciłam pamięć, nie byłam głupia. Wiedziałam, jak postrzegają mnie inni, kiedy noszę po kilka swetrów naraz i nikogo nie rozpoznałem. Wiedziałam też, że jeśli stracę Ace'a, znajdę się w trudnej sytuacji towarzyskiej. Związek z nim stanowił jeden z punktów mojej kampanii na rzecz normalności.

Ace przyniósł mi puszkę piwa i nawet ją dla mnie otworzył.

- Musiałem po nią iść do lodówki. Te w pojemnikach zrobiły się ciepłe. Dobrze się bawisz? - zapytał.

Uśmiechnęłam się, kiwnęłam głową i już po chwili patrzyłam, jak Ace odchodzi.

W rzeczywistości wcale nie bawiłam się dobrze. Rozglądałam się dookoła i myślałam nad tym, czy ktokolwiek z gości naprawdę dobrze się bawi. Wszyscy sprawiali wrażenie nieco przygnębionych, nawet Ace, grający w swoją grę o niejasnych zasadach.

Jestem prawie pewna, że lekarze w szpitalu wspomnieli coś o konieczności unikania alkoholu, i już po chwili przekonałam się o słuszności tej rady. Kolejnym z ciekawych skutków ubocznych mojego wypadku najwyraźniej było to, że przestałam przyswajać alkohol. Już po wypiciu połowy puszki piwa, poczułam się leciutko wstawiona. Postanowiłam poszukać sobie miejsca, w którym mogłabym się położyć. Poszłam do sypialni na piętrze, ale była zajęta przez innych imprezowiczów.

Chciałam, żeby Ace odwiózł mnie do domu, ale nigdzie go nie było. Zresztą pewnie i tak nie mogłabym na niego liczyć. Kiedy widziałam go po raz ostatni, miał już dobrze w czubie i raczej nie nadawał się do prowadzenia samochodu.

Wyszłam na trawnik przed domem. Naprawdę chciałam już wracać. Niestety impreza odbywała się około trzydziestu kilometrów od domu taty, więc nie mogłam pójść na piechotę. Kiedy tak stałam i starałam się wymyślić jakieś rozwiązanie, dopadło mnie nagle uczucie déjà vu. Czy byłam już kiedyś w tym domu? A może w podobnej sytuacji? Czy to możliwe, że wracała mi pamięć? Oczywiście, że nie. Jedynym powodem, dla którego tak się czułam, było to, że znalazłam się w najbardziej banalnej sytuacji, jaką tylko można sobie wyobrazić — zostałam gwiazdą edukacyjnego filmiku na temat niepijących kierowców.

Zadzwoiłam z komórki do Willa. Chciałam zapytać, czy może po mnie przyjechać, ale nie odebrał. Nagrałam mu na pocztę głosową nieskładną, rozwlekłą i prawdopodobnie żenującą wiadomość. Byłam zbyt pijana, by martwić się, że zamiast Willa może ją odsłuchać moja nauczycielka angielskiego.

Później niechętnie wystukałam numer domowy, chociaż wiedziałam, że prawdopodobnie nie zastanę taty. Umówił się z Cheryl i Mor-tym Byrnesami, autorami książek podróżniczych, którzy kiedyś byli przyjaciółmi mamy i taty, a teraz są już tylko jego. Stwierdziłam kiedyś, że to dziwne, ponieważ Cheryl Byrnes była wcześniej przyjaciółką mamy. Odpowiedź taty brzmiała: „Kiedy w grę wchodzi zdrada, osoba oszukana zawsze dostaje wszystkich wspólnych znajomych”.

Zadzwoiłam na komórkę taty. Odchrząknęłam i postanowiłam udawać mniej pijaną, niż byłam naprawdę.

- Naomi - odezwał się pełny zaniepokojenia głos taty.

- Tatusiu - powiedziałam, a później całkowicie przekreśliłam swój plan, wybuchając płaczem.

- Ile wypiałś?

- Tylko jedno piwo, przysięgam. Myślałam, że nic mi nie będzie. Udało mi się wytłumaczyć tacie, gdzie jestem, i natychmiast obiecał, że po mnie przyjedzie.

Kiedy czekałam na niego, oddzwonił do mnie Will.

On także zaproponował, że po mnie przyjedzie, ale wyjaśniłam mu, że jest już za późno, bo w tym czasie zdążyłam skontaktować się z tatą.

- A gdzie w tym wszystkim był Ace? - zapytał Will lodowato.

- W grze - odparłam.

- W jakiej grze?

- Takiej o niezrozumiałych zasadach.

- Szefowo?

- Och, Will - powiedziałam. - Głupiutki, bardzo głupiutki Will. Teraz muszę czekać na tatusia.

- Naprawdę, Naomi, nie można pić alkoholu po urazie głowy. Rozłączyłam się. Telefon zadzwonił ponownie, ale nie odebrałam. Nie mogłam z nikim rozmawiać. Wyciągnęłam się na chodniku i skoncentrowałam na tym, by nie wymiotować. Położyłam torebkę na brzuchu niczym flagę, żeby tata mnie zauważył. A może niczym znak nagrobny, jeśli jednak mnie nie dostrzeże?

Musiałam stracić na chwilę przytomność. Ocknęłam się dopiero, gdy tata pomagał mi umościć się na tylnym siedzeniu swojego samochodu.

Kiedy czekałam, aż usiądzie za kierownicą, zauważyłam, że w samochodzie pachnie kwiatami. Szukałam właśnie źródła tej woni, kiedy dotarło do mnie, że znad zagłówek siedzenia pasażera unosi się czerwona róża. Czy to jakaś alkoholowa wizja? Po chwili zamroczonej kontemplacji odkryłam jednak, że czerwona róża jest przytwierdzona do koka ciemnowłosej kobiety.

- Ty nie jesteś Cheryl ani Morty - powiedziałam, wskazując na nią palcem.

Kobieta pokręciła głową.

- Nie, nie jestem Cheryl-Annie Morty. - Miała hiszpański akcent i sprawiała wrażenie rozbawionej. - Kim jest ta Cheryl-Annie Morty?

- Czy ja cię znam? - zapytałam. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, tata znalazł się w samochodzie.

- Naomi, to jest moja przyjaciółka Rosa Rivera — oznajmił.

- Miałaś iść na kolację z Cheryl i Mortym - powiedziałam, wymachując w jego stronę palcem. - Dlaczego nie jesteś z Cheryl i Mortym?

- A ty nie powinnaś pić alkoholu przed ukończeniem dwudziestu jeden lat - odparł tata. - A już na pewno nie w twoim stanie.

- Wypiłam jedno piwo! Tylko jedno. Och, to jest... - Ale nie zdążyłam dokończyć myśli, ponieważ odpląnęłam na tylnym siedzeniu samochodu taty.

Nie pamiętam, żebyśmy odwozili Rosę Riverę ani tego, jak dostałam się do domu. Pamiętam za to, jak wymiotowałam na beżową podłogę.

- Nigdy więcej nie tknę alkoholu - oświadczyłam tacie, który przytrzymał mi włosy, gdy wymiotowałam w toalecie.

- Cóż, to chyba najrozsądniejsze wyjście. Przynajmniej na jakiś czas.

- Kim była ta kobieta?

- Jak już mówiłem, nazywa się Rosa Rivera. Jest tancerką tanga. Żadna z tych informacji nic mi nie mówiła, ale nie czułam się na siłach, by poprosić o wyjaśnienie.

- Pachniała różami - odezwałam się dziesięć minut później, kiedy wróciliśmy do kuchni, a tata przygotowywał dla mnie podwójną dawkę aspiryny. - Żaden z moich przyjaciół nie pachnie różami. Chociaż ja właściwie wcale nie mam przyjaciół.

- To nieprawda, skarbie.

Rozległ się dźwięk telefonu stacjonarnego. Tata odebrał, a ja oparłam bolącą głowę o kuchenny blat. Przyjemnie było czuć dotyk chłodnych ceramicznych płytek.

- Dzwonił Ace. Bardzo się o ciebie martwił. Powiedział, że zniknęłaś bez słowa - oznajmił tata.

- To prawda - odparłam. - Szczera prawda.

— Tak czy owak zmyłem mu głowę.

— Tato, muszę się koniecznie położyć.

Tym razem odezwała się moja komórka. Dzwonił Will. Podałam telefon tacie.

— Powiedz mu, że wszystko jest OK, dobra?

— Halo, Will... Tak, z Naomi wszystko w porządku. Poza tym, że przez następny tydzień nie wyściubi nosa z domu.

— Dostałam karę? - zapytałam, kiedy już skończył rozmawiać.

— Cóż, największą karę zafundowałaś' sobie sama, ale postanowiłem dorzucić coś od siebie. Masz zakaz wychodzenia przez najbliższy tydzień. Postąpiłem bardzo po rodzicielsku, nie sądzisz?

Głowa bolała mnie jak diabli.

— Czy na początek mógłbyś mnie odesłać do mojego pokoju?

— Dobry pomysł, skarbie. Chodźmy.

Około trzeciej w nocy rozległy się trzy gwałtowne stuknięcia w moje okno. To był Ace. Zapytał, czy może wejść. Włączyłam światło, mrużąc oczy, i wstałam z łóżka, by mu otworzyć.

Tym razem zahaczył o półkę i zrzucił z niej słownik, który uderzył o podłogę z głośnym hukiem.

Miałam nadzieję, że hałas nie obudził taty.

— Gdzie ty się podziałaś? — zapytał Ace. — Martwiłem się o ciebie.

— A gdzie *ty* się podziałeś? - odbiłam piłeczkę.

— Byliśmy w basenie z tyłu domu. Wystarczyło nas poszukać.

— Zostawiłeś mnie. — Bolała mnie głowa i nie miałam ochoty na przesłuchanie. — Zostawiłeś zupełnie samą. Czy wyglądałam na osobę, która dobrze się bawi?

— Ależ, Naomi! — zaprotestował. - Sama mówiłaś, że tak właśnie jest.

Rzeczywiście tak powiedziałam. Najwidoczniej Ace bierze wszystko bardzo dosłownie, dlatego sprzecznienie się z nim prawdopodobnie nie miało sensu. Zamiast się wyklócać, powiedziałam, że nie czuję się dobrze, co zresztą było zgodne z prawdą.

- Wracaj do łóżka - szepnął Ace. - Nie chcę ci przeszkadzać. Posłuchałam jego rady, mając nadzieję, że sobie pójdzie, ale Ace usadowił się na stojącym przy biurku krześle.

- Może jednak moglibyśmy porozmawiać? Chociaż przez chwilę? - zapytał.

Mimo że nie miałam szczególnej ochoty na dalszą rozmowę z Ace'em, chyba zrobiło mi się go żal. Przewróciłam się na bok i zapytałam, o czym chciałby rozmawiać.

- Pamiętasz, jak pojechaliśmy do domu mojego kuzyna Jima Tuttlea w Scarsdale?

- Nie - odparłam. Stłumiłam ziewnięcie i przygotowałam się na kolejną z fascynujących imprezowych opowieści Ace'a.

- Wracaliśmy ze zgrupowania. Nadal miałas na sobie strój do tenisa i włosy związane w kucyk. Uwielbiam, kiedy się tak czeszesz. Wzięłaś w dłonie moją twarz i pocałowałaś mnie. Byłem totalnie zaskoczony. Wtedy jeszcze nie chodziliśmy ze sobą. Nie wiedziałem nawet, że ci się podobam. Byłaś pierwszą kumatą dziewczyną, która zwróciła na mnie uwagę.

- Kumatą?

- Wiesz... Taką, która czyta książki, i to nie tylko szkolne lektury. Podobało mi się to w tobie. Nigdy nie chodziliśmy razem na zajęcia, zresztą rok temu byłaś juniorem. Ale widywałem cię na korytarzu i zawsze myślałem, że taka bystra laska jak ty na pewno będzie wołała spotykać się z kimś takim jak Landsman. - Ace zawiesił głos i spojrzał na mnie.

- Ja i Will tylko się przyjaźnimy - powiedziałam.

- Kiedy pocałowałaś mnie po raz pierwszy, w dalszym ciągu miałaś na sobie opaski do gry w tenisa. Zdjąłem ci je i odłożyłem na kanapę Jima. Później jakoś zapomnieliśmy o nich. To dlatego kupiłem ci nową parę. Dopiero niedawno dotarło do mnie, że skoro nie znałaś kontekstu, mój prezent musiał wydać ci się głupkowaty.

Kiwnęłam głową. Coś sprawiło, że poczułam nagle w gardle rosnącą gulę. Nie wiedziałam, czy to osłabienie związane z nadchodzą-

cym kaczem, czy sposób, w jaki mówił do mnie Ace. W każdym razie poczułam się, jakbym w tym jednym momencie zyskała zdolność przeświatlenia ludzi na wylot. I oto, co zobaczyłam: Ace był pewnie równie mocno sfrustrowany mną, jak ja nim, i od zerwania ze mną powstrzymywało go jedynie to, że w gruncie rzeczy okazał się całkiem przyzwoitym facetem.

Ace przyklęknął przy moim łóżku. Jego oddech był słodko-gorzki od trawionego alkoholu. Przez sekundę bałam się, że zwymiotuję.

Ujęłam jego twarz w dłonie, tak jak to opisał, i pocałowałam go.

Ace zaczął mnie głaskać po głowie (było to przyjemne, ale nie romantyczne — czułam się jak dobrze wytresowany pies). Nagle szepnął tak cicho, że ledwie go usłyszałam:

— Nie chcę cię naciskać. Nie chcę, no wiesz... wywierać presji, ale czy myślisz, że moglibyśmy pewnego dnia znowu zacząć uprawiać seks? Bez chwili zastanowienia usiadłam na łóżku i odepchnęłam jego rękę.

-Nie.

— Nie mówię, że akurat dzisiaj... — zaczął się tłumaczyć.

Ja też nie miałam na myśli tylko dzisiejszego dnia, ale mu tego nie powiedziałam. Oznajmiłam tylko, że odstawiłam pigułki, co zresztą było zgodne z prawdą.

Ace posłał mi otumaniony alkoholem uśmiech.

— Może moglibyśmy to zrobić podczas balu?

— Balu? — zdziwiłam się.

— Tak, to już za trzy tygodnie. Idziemy tam razem, prawda? — Ace, widząc moją nic nierozumiejącą minę, wytłumaczył mi, że zaplanowaliśmy to jeszcze przed moim wypadkiem.

Po krótkim wyjaśnieniu zgodziłam się. Właściwie dlaczego nie? Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek uczestniczyła w jakimś balu.

Ace zasnął na podłodze w mojej sypialni. Ja nie mogłam zmrużyć oka, więc tylko leżałam w łóżku i przyglądałam mu się. Przypominał monstrualne, mierzące metr dziewięćdziesiąt trzy centymetry niemowlę — miał długie, wywinięte rzęsy i się ślinił. Kiedy tak leżał, sprawiał wrażenie niewinnego i bezbronnego. Obudził we mnie nawet pewien rodzaj czułości. Zastanawiałam się, czy to to samo co miłość.

Kiedy rano wstałam, Acea już nic było. Właściwie to wstałam po południu. Tata pozwolił mi spać aż do ezternasrej, nim zdecydował się zapukać do moich drzwi.

- Smażę jajka.

Poinformowałam go, że niczego nie przełknę, ale tata upierał się, że po jedzeniu poczuję się lepiej, więc uległam jego namowom.

- Wczoraj wieczorem, nie wiem, czy sobie przypominasz, skarbie, ale byłem z kimś na kolacji... - wyrzucił z siebie, gdy nalewał mi do szklanki sok pomarańczowy.

- Mówisz o kobiecie z kwiatem we włosach? - zapytałam. Tata kiwnął głową.

- To była randka.

- Mhm, domyśliłam się - odparłam.

- Mądra dziewczynka. - Tata zaczął roztrzepywać jajka na patelni.

- Jeśli będziesz się z nimi za długo cackał, nie udadzą się - zauważyłam.

- Słusznie. Sam to zawsze powtarzam. - Uderzał wściekle w częściowo ścięte jajka. - Może powinienem zacząć od nowa?

- Po co? I tak zawsze smakują tak samo - powiedziałam. - Ta kobieta.. Czy to Cheryl i Morty cię z nią umówili?

- Nie - powiedział tata.

- A czy w ogóle się z nimi wczoraj widziałeś?

- Niezupełnie. Podniosłam brwi.

- Jezu, tato, czy ty mnie okłamałeś?

Przypomniałam sobie nagle jego dziwne, tajemnicze rozmowy przez telefon i nocne wyjścia po kawę. To nie była jego pierwsza randka z kobietą od kwiatka. Najwyraźniej spotykał się z nią jeszcze przed moim wypadkiem.

- Ukrywałaś to przede mną, odkąd wyszłam ze szpitala, mam rację? Dlaczego to robiłaś?

- Wiem, że kiepsko to wygląda. Na swoją obronę dodam tylko, że chciałem ci o wszystkim powiedzieć w swoim czasie. Ostatnio spadło na ciebie tyle spraw: mama, nasz rozwód, młodsza siostra i cała reszta. Nie chciałem ci dokładać zmartwień.

- Ale ty mnie okłamałaś, tato! Dlaczego myślisz, że miałabym coś przeciwko rwojej dziewczynie?

- To nie jest moja dziewczyna.

- W takim razie kto?

Przez dłuższą chwilę milczał, nawet na mnie nie patrząc. Słysząc było wyłącznie skwierczenie jajek, które najpierw się usmażyły, a później spaliły. I tak nie miałam na nie ochoty.

- Żenię się, skarbie - powiedział po chwili krępującej ciszy. Podniósł wzrok i posłał mi pełne obawy spojrzenie.

Tata się zenir.

- Ona jest tancerką. Co ty na to?

Poza tym, że zauważyłam w jej włosach kwiat, nie przyjrzałam się tej kobiecie zbyt dobrze. W pierwszym impulsie oczyma wyobraźni zobaczyłam tancerkę erotyczną - striptizerkę, może w moim wieku, z gigantycznym sztucznym biustem i równie sztuczną opalenizną. Postanowiłam uściślić, by urealnić nieco moją wizję:

-*Jaką* tancerką, tato?

Kiedy powiedział, że tańczy tango, odetchnęłam z ulgą.

- Zjeździła cały świat i zdobyła każdą nagrodę, o którą może zawalczyć profesjonalna tancerka. - Jego głos brzmiał podobnie jak wtedy, gdy przyniosłam do domu wyjątkowo dobre świadectwo. Najwyraźniej był z niej dumny. - Teraz głównie prowadzi zajęcia z tańca: tutaj i w mieście.

Powiedział mi, że poznali się rok temu. Musiał zapisać się na lekcje tanga w związku z artykułem, który pisał do magazynu dla mężczyzn. Kiedy wszyscy dobrali się w pary, okazało się, że tylko on jest sam.

- Musiała się ulitować nad twoim staruszkiem - zakończył.

— Czy ja ją lubię? — zapytałam. Tata odchrząknął.

— To była dla ciebie trudna sytuacja, w związku z mamą i całą resztą.

Czyli jej nie lubię.

— Ale może twój wypadek niespodziewanie okaże się w tej sprawie przełomem? - zasugerował tata. - Stanie się nowym, lepszym początkiem?

Nowy początek? Czułam się coraz bardziej rozdrażniona jego słowami. Takie gadanie zupełnie do niego nie pasowało. W tym, co mnie spotkało, nie było nic dobrego. No, może za wyjątkiem poznania Jamesa. Było to przyjemne, choć anormalne zdarzenie, które na chwilę odciągnęło moją uwagę od tego, że cała reszta okazała się kompletnie do kitu.

— Nie ma w tym nic dobrego! — krzyknęłam. Chwyciłam kluczyki taty leżące na blacie i wybiegłam z domu prosto do zaparkowanego na podjeździe samochodu. Może nie miałam zamiaru ponownie siadać za kierownicą, ale chciałam być sama. Nie mogłam dłużej przebywać w tym samym pomieszczeniu co on.

Tkwiąc w samochodzie, naprawdę żałowałam, że nie mogę ruszyć przed siebie. Dokądkolwiek.

Tata wyszedł z domu jakąś minutę później. Najpierw musiał się zająć zwęglonymi na patelni jajkami. Wcisnęłam guziki blokujące wszystkie drzwi, żeby nie mógł wsiąść do samochodu.

— Naomi - jego głos zza szyby był stłumiony. - Wpuść mnie, proszę.

Oparłam głowę o kierownicę. Włączył się klakson, ale było mi wszystko jedno. Pozwoliłam, by wył. Wrzeszczał w moim imieniu, wyrzucając z siebie wszystkie przekleństwa, które przelatywały w tej chwili przez moją głowę. Dawało mi to tyle satysfakcji, że przesiedziałam w ten sposób dobrych kilka minut. Pozwoliłabym mu tak wyć bez końca, gdyby nie to, że od hałasu rozboleła mnie głowa.

- Naomi - odezwał się tata, zrobiło się już cicho.

- Nie chcę z tobą rozmawiać! - krzyknęłam.

- Źle zaczęliśmy. Nie powinienem informować cię o ślubie w taki sposób. — Jego głos w dalszym ciągu był słaby i stłumiony z powodu dzielącej nas szyby. - I jeszcze te bzdury, które wygadywałem o twoim wypadku. Oczywiście nie uważam, że był czymś dobrym.

- Po prostu stąd odejdz!

- Proszę, wpuść mnie do środka, skarbie. Czuję się jak dupek, kiedy tak stoję obok samochodu. Przynajmniej opuść szybę.

Nie dawał za wygraną. Nigdy tego nie robił.

Co roku tata wręczał mi na urodziny książkę. Zawsze bardzo się przykładał do wyboru odpowiedniego tytułu. Miało to dla niego wielkie znaczenie, ponieważ książki w ogóle były dla niego ważne. Zwykle kiedy mówił, że idzie do kościoła, tak naprawdę miał na myśli bibliotekę lub księgarnię. Na moje trzecie urodziny dostałam *Harolda i fioletowa kredkę*, na dziesiąte *Doły*, na dwunaste - ostatnie, jakie pamiętam — *Drzewo rośnie w Brooklynie*. W każdej z nich tata umieszczał dedykację. Jego wpisy były zazwyczaj długie i zawile, czasami sentymentalne i zwykle zabawne. Rozmawiał ze mną za ich pośrednictwem. Właśnie tak przekazywał mi ważne informacje.

Nie otworzyłam drzwi, ale opuściłam szybę.

- Jaką książkę kupiłeś mi na szesnaste urodziny? - zapytałam.

- Dlaczego o to pytasz?

- Nie wiem. Tak po prostu.

- *Opętanie* A.S. Byatt.

Nie pamiętałam, żebym czytała taką książkę. Co oczywiście nie znaczy, że jej nie czytałam.

- Dlaczego akurat tę?

- Ta książka opowiada o wielu rzeczach, ale przede wszystkim jest historią miłosną. Bałem się, że po tym, co wydarzyło się między mną i mamą, możesz mieć do niej nieco, jakby to powiedzieć, cyniczny stosunek. Chciałem ci przypomnieć o istnieniu romantycznej miłości. Pewnie był to głupi wybór. Brałem też pod uwagę *Jane Eyre*, ale wiem, co myślisz na temat książek o sierotach. - Tata uśmiechnął się nieśmiało.

- Przypomnij mi, jak ona się nazywa - powiedziałam wreszcie. Czy imię tej kobiety miało coś wspólnego z kwiatami, czy tylko nimi pachniała?

- Rosa Rivera - odparł.

- Mówię na nią Rosa? - zapytałam.

- Nie, mówisz na nią Rosa Rivera, tak jak wszyscy.

- Dlaczego?

- Zawsze tłumaczyłem to sobie ponętą aliteracją jej imienia i nazwiska. - Nie byłam pewna, czy mówi poważnie.

- A jak ty się do niej zwracasz?

- Najczęściej „kochanie” - powiedział z czułością, której nigdy wcześniej nie słyszałam w jego głosie. - Czasami „najdroższa”.

Przyjrzałam mu się z uwagą. Przypominał obcą wersję samego siebie. Zastanawiałam się, jak długo to już trwa.

Kiedy wreszcie znalazłam się w domu, zadzwoniłam do Willa. Był dla mnie jedynym źródłem wiarygodnych informacji, chociaż powoli zaczynałam kwestionować czyjąkolwiek szczerłość. Wystarczy zapytać dwie osoby o tę samą rzecz, by usłyszeć dwie różne odpowiedzi. I to nawet w najprostszych sprawach, takich jak wskazanie drogi, me wspominając o ważnych lub na swój sposób kontrowersyjnych tematach, takich jak przyczyna rozpoczęcia bójki. Jeśli człowiek sam czegoś me wie, nigdy nie może być pewien, że to, co usłyszy, jest prawdą.

- Czy wiedziałeś, że mój tata się żeni? - zapytałam bez ogródek.

- Oczywiście. W czerwcu - brzmiała odpowiedź Willa. - Miło, że dzwonicz, Naomi.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? - naskoczyłam na niego.

- Cóż, to nie jest twój ulubiony temat. Poza tym założyłem, że twój tata się tym zajmie.

- Dlaczego jej nie lubię? - zapytałam.

- Mówiąc najkrócej, uważasz, że jest sztuczna i próbuje ci matkować - odparł Will. - Coś w ten deseń. Mówiłaś też, że dziwnie pach-

nie, jak staruszka. Zdarzyło się, że kupiła twojemu tacie na urodziny szarą fedorę. Uznałaś, że wygląda w niej niemęsko, i oddałaś ją dla potrzebujących, o niczym mu nie mówiąc. Chyba do dziś nie ma pojęcia, co się z nią stało.

— Oddałam kapelusz taty? — Nie mogłam uwierzyć, że zrobiłam coś takiego.

— No cóż, ta fedora naprawdę ci się nie podobała - odpowiedział Will.
— Twój tata zapewne lepiej wyglądałby w meloniku.

— A ty lubisz tę kobietę? - byłam ciekawa.

— Spotkałem ją tylko raz, ale wydawała się w porządku. Tylko że ona nie będzie moją macochą.

— Ale mój tata... - Trudno było mi o tym mówić. — On naprawdę ją kocha, co?

— Tak, Szefowo. Myślę, że tak.

W środę tata zaproponował, żebyśmy pojechali do Rosy Rivery na kolację, do jej domu w Pleasantville. Nasze (ponowne?) spotkanie wydawało się nieuniknione, więc zgodziłam się. Poza tym w domu i tak miałam szlaban.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłam, kiedy otworzyła nam drzwi, było to, że wyglądała zdecydowanie starzej niż tata. Zaczesała czarne włosy w ciasny kok i założyła swój strój roboczy, na który składały się czarne rajstopy, czarny trykot, czarny szal, zawiązany wokół talii, i buty na wysokim obcasie. Prawie wszystko, co na sobie miała, było czarne, za wyjątkiem szminki na ustach i wetkniętej za ucho róży barwy dramatycznego szkarłatu. Taniec doskonale ukształtował jej sylwetkę. Odruchowo sama się wyprostowałam.

Przywitała się ze mną, jeszcze zanim powitała tatę.

— Naomi - powiedziała, oplatając mnie ramionami i całując w oba policzki - Jak się czujesz, dziecko? - Nie miała silnego akcentu, ale wychodzące z jej ust „cz” i „sz” brzmiały jak „ć” - „Jak się ciujeś”?

Zastanowiłam się nad odpowiedzią.

— Zimno mi — powiedziałam wreszcie.

- Wejdz do środka, spróbuję cię jakoś rozgrzać.

Jej dom był całkowitym przeciwieństwem domu taty. Kipiał kolorami, zupełnie jakby jego właścicielka otrzymała polecenie użycia każdej

barwy z pudełka kredek przynajmniej raz: turkusowe ściany, aksamitna sofa w kolorze fuksji, złoty żyrandol z błękitnymi kryształami, marmurowe podłogi w czarno-białą szachownicę i - jak okiem sięgnąć - czerwone róże.

- Będiesz tu mieszkać? - zapytałam tatę, gdy Rosa oddaliła się.

- Jeszcze wszystkiego nie ustaliliśmy, ale myślę, że to ona zamieszka z nami.

Zastanawiałam się, jak zmieni się jego beżowy dom po ślubie z Rosą Riverą.

Kiedy kobieta szykowała dla mnie w kuchni filiżankę herbaty, oglądałam liczne zdjęcia, oprawione w ramki, rozwieszane po całym pokoju. Jedno z nich przedstawiało ją i moją tatę. Kilka pochodziło z turniejów tanecznych. Były też trzy zdjęcia Rosy w ciąży, prawdopodobnie z bohatkami innych fotografii: dwiema dziewczynkami sportretowanymi w bardzo różnym wieku, które oddawały się zwykłym dziecięcym zajęciom.

- To są jej bliźniaczki, Frida i Georgia - wyjaśnił tata. - Obie uczą się już w collegeu.

- Ile ona właściwie ma lat? - szepnęłam.

- Czterdzieści sześć - usłyszałam odpowiedź Rosy Rivery, która właśnie weszła do pokoju z czajniczką herbaty na tacy. - Twój tata jest młodszy ode mnie o sześć lat. - *Sieść*. - Mój pierwszy mąż był trzydzieści lat starszy ode mnie, więc wszystko się wyrównuje, prawda? - *Wsistko*.

Postawiła tacę na ogromnej seledynowej poduszce i dołączyła do mnie przy kominku, objąwszy mnie ramieniem. Taką już miała naturę - ciągle wszystkich obejmowała i całowała. Instynkt nakazywał mi się cofnąć, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobiłam.

Drugą ręką wskazała na jedno ze zdjęć turniejowych.

- To mój pierwszy mąż. Przez piętnaście lat był też moim partnerem tanecznym.

-Co się z nim stało?

- Umarł - powiedziała, posyłając zdjęciu całusa.

- Naprawdę lubisz swoje ciążowe zdjęcia - zauważyłam.

- To prawda. Niektórym się one nie podobają, ale ja uwielbiałam być w ciąży. Nie miałabym nic przeciwko kolejnym razem, ale w moim zawodzie byłoby ciężko. - *Ciężko.*

Pomyślałam o swojej matce, która nigdy nie była w ciąży ze mną.

- Ty drzysz - zauważyła Rosa Rivera. Chwyciła mnie za dłonie.

-Zimne jak lód! - oznajmiła, bardziej mojemu tacie niż mnie.

- Ma ten problem, odkąd opuściła szpital.

Rosa Rivera wyszła z pokoju i wróciła z szalikiem w paski we wszystkich kolorach tęczy. Musiał mieć z trzy i pół metra długości. Udało jej się go owinąć wokół mojej szyi aż pięć razy. Był przesiąknięty zapachem tej kobiety.

- Lepiej? - zapytała. -Na pewno cieplej.

- Do twarzy ci w nim - oceniła.

Miałam na ten temat inne zdanie, ale mniejsza o to.

- Weź go sobie.

- Nie mogłabym - odparłam. Wyglądał na bardzo drogi. Poza tym nie zależało mi na jej przeklętym szaliku.

Rosa Rivera wzruszyła swoimi wyprostowanymi do granic możliwości ramionami.

- Rozdaję ludziom wszystko, co mam. Wierzę, że przedmioty, które posiadamy, biorą nas samych w posiadanie. Wiedziałaś o tym, Naomi?

Nie byłam pewna.

Tata poszedł do kuchni, by przyrządzić sałatkę, i zostawił nas same.

Spojrzałam na Rosę i zastanawiałam się, za co ją wcześniej zniechęciłam. Postanowiłam zapytać.

- Tata mówi, że nie układało się między nami najlepiej. Rosa Rivera posłała mi konspiracyjny uśmiešek.

- Być może. Ale jestem optymistką i zawsze wierzyłam, że się do mnie przekonasz.

Myliła się. Jeszcze się do niej nie przekonałam i nie podobało mi się, że Rosa sądzi inaczej. Nie zależało mi na optymizmie, tylko na szczerości. Odwinęłam szalik z szyi.

- Naomi — odezwała się Rosa. - Wiem, że to wszystko musi być dla ciebie straszne. — Położyła dłoń na moim ramieniu, ale odsunęłam się.

- Tak? A co, u diabła, mogłabyś wiedzieć na ten temat? - zapytałam.

Nie czekałam na odpowiedź. Po prostu zostawiłam Rosę w tym jej technikolorowym salonie, z wyciągniętymi przed siebie ramionami.

W drodze powrotnej tata był niezwykle milczący i podejrzewałam, że Rosa powiedziała mu o tym, jak zostawiłam ją samą przed kolacją.

Nie odezwał się słowem, dopóki nie znaleźliśmy się z powrotem na naszej ulicy.

- Dlaczego nie pozwoliłaś Rosie podarować sobie tego szalika?

- Po prostu nie był w moim stylu - odparłam.

- Moim zdaniem dobrze w nim wyglądałaś, skarbie.

- Naprawdę, tato, jest mi już dostatecznie trudno dowiedzieć się czegoś na swój temat. Nie potrzebuję, żeby inni narzucali mi własny gust - odparłam.

- Wiem o tym. Nie to miałem na myśli. Chodziło mi raczej o zwykłą uprzejmość, wiesz, o czym mówię? — powiedział to wszystko lekkim tonem.

Skreślił na nasz podjazd.

- Ponieważ czasami, kiedy ktoś chce ci ofiarować prezent, najlepiej jest go po prostu przyjąć. To taka drobna rzecz, której sam się nauczyłem i którą chciałbym przekazać tobie.

Pamiętałam, że tata, kiedy jeszcze był mężem mamy, zawsze zwracał jej prezenty. Nawet te drobne, na przykład sweter. Myślałam wtedy:

po prostu przyjmij ten głupi sweter, tato. Mama najwyraźniej chce, żebyś go miał. Ale mój tata wychował się w bardzo biednym domu i miał dziwny stosunek do prezentów. Mama oczywiście знаła jego historię, lecz mimo to widziałam, że zachowanie taty rani jej uczucia.

Zastanawiałam się, czy Rosa czuła się podobnie, kiedy zerwałam z szyi jej szalik.

Najgorsze było to, że w gruncie rzeczy nie wiedziałam, jaki mam styl. Szalik był ładny, mnie było zimno i, prawdę powiedziawszy, być może użyłam wymówki ze stylem po to tylko, by zranić jej uczucia.

- Rosa chciała, żebym cię przeprosił - powiedział tata, zanim wysiedliśmy z samochodu.

- Za co?

- To ma jakiś związek z amnezją. Podobno powiedziała, że wie, co czujesz.

Kiwnęłam głową.

- Ale Sonny, jej pierwszy mąż, cierpiał na chorobę Alzheimera, wiesz?

Kiwnęłam głową raz jeszcze.

- Tak więc Rosa Rivera ma pewne doświadczenia związane z utratą pamięci. Myślę, że właśnie to chciała ci powiedzieć. Pewnie wyszło jej nie tak, jak trzeba. Czasami trudno się rozmawia z... Czasami trudno się rozmawia. Nie kazała mi tego wszystkiego mówić. Po prostu uznałem, że powinnaś wiedzieć.

Przez chwilę czułam się jak idiotka. Ale zaraz potem naskoczyłam na tatę:

- Nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną! Nie mówiąc już o tym, że mnie oszukałeś. Ani o tym, że najwyraźniej od początku nie lubiłam Rosy Rivery, więc dlaczego spodziewałeś się, że teraz się to zmieni?

- Cóż, Naomi, wtedy zachowywałaś się jak ignorantka. Miałem nadzieję, że teraz będziesz wołała pójść po rozum do głowy.

- Wolę jednak być ignorantką, dziękuję bardzo. - Starłam się nadać swojemu głosowi jak najbardziej oziębły ton.

Tata wyłączył silnik, ale nie ruszał się z za kierownicy.

- Uderzyłam się w głowę. To nie znaczy, że jestem teraz inną osobą. Ani też, że polubię twoją cholerną narzeczoną.

Tata kręcił głową z tak smutną miną, jakiej jeszcze nigdy u niego nie widziałam.

— Jesteś dokładnie taka sama jak ja, skarbie, i strasznie mnie to martwi. Ponieważ w obecnej sytuacji to niekoniecznie dobra rzecz, być takimi jak my. Będziesz musiała dopuścić do siebie innych ludzi.

Nie odpowiedziałam. Tata wysiadł z samochodu.

— Nie zapomnij zamknąć drzwi, kiedy będziesz wchodziła do domu.

Tamtego wieczoru w swojej sypialni wyciągnęłam księgę pamiątkową z pierwszej klasy, po raz pierwszy od momentu, gdy wróciłam do szkoły. Początkowo chciałam w niej poszukać inspiracji do mojego fotograficznego projektu - następnego dnia mieliśmy przedstawić propozycje tematów - lecz zamiast tego zaczęłam się przyglądać swojemu zdjęciu klasowemu.

Oto ona, z jasnoszarymi oczami i ciemnoszarymi ustami, wykrzywionymi w nieprzeniknionym uśmiechu. Żałowałam, że nie może przemówić i opowiedzieć mi o wszystkim, co w swoim życiu poczuła, pomyślała lub zobaczyła.

- Jaka byłaś? - zapytałam. - Czy czułaś się szczęśliwa? A może uśmiechałaś się tylko do zdjęcia?

Spojrzałam na siebie w lustrze i spróbowałam przybrać minę dziewczynki z księgi pamiątkowej. Nie najlepiej mi to wychodziło.

Zaczesalam niektóre pasma włosów na twarz, tak jak nosiła je dziewczynka z rocznika. Nie wyglądało to dobrze, chociaż na początku nie potrafiłam stwierdzić dlaczego. Przyglądałam się sobie jeszcze przez chwilę, nim zdecydowałam, że pasma włosów z przodu za bardzo urosły.

Wyjęłam z szuflady biurka nożyczki i obciąłam trochę włosów po obu stronach twarzy. Łatwość, z jaką mi to przyszło, bardzo mnie ucieszyła.

Zerknęłam do lustra, by ocenić efekt. Nie było dostatecznie równo, więc ciachnęłam jeszcze trochę, z obu stron. A później nieco więcej.

Kiedy tak cięłam, przyszło mi do głowy, że próba skopiowania wyglądu dziewczynki z rocznika nie ma sensu. Może będzie lepiej, jeśli zamiast nią stanę się kimś zupełnie innym?

Strzygłam włosy z tyłu i z przodu głowy, aż w końcu została mi tylko krótka postrzępiona grzywka. Z każdym obcięciem kosmykiem czułam się tak, jakbym pozbywała się czyichś oczekiwań względem mnie. Dotyczyło to mamy, taty, Willa, Acea, dzieciaków z przerwy obiadowej, nauczycieli, wszystkich. Czułam oszołomienie i zdumiewającą lekkość, jakbym zaraz miała unieść się w powietrze. To był koniec normalności.

Dziewczynka z rocznika nigdy nie nosiłaby krótkiej fryzury.

Odłożyłam nożyczki na biurko, uprzętnęłam ścinki włosów, a później szybko zapadłam w błogi sen. Nie zdjęłam nawet ubrania ani nie zgasiłam światła.

Kiedy następnego ranka zadzwonił budzik, wyskoczyłam z łóżka, nawet nie przeglądając się w lustrze. Tak naprawdę zapomniałam o swoich włosach, aż do chwili, gdy znalazłam się pod prysznicem. Drobne kosmyki prześlizgnęły się między moimi palcami, nim wylądowały w odpływie.

Kiedy zobaczyłam swoje odbicie w łazienkowym lustrze, od razu zrobiło mi się lżej na duchu. Choć brzmi to dziwnie, wreszcie rozpoznałam tam osobę, która siedziała w mojej głowie.

- Twoje włosy! - powiedział tata, kiedy zeszłam do kuchni na śniadanie. — Co się stało?

Odparłam, że nic się nie stało. Po prostu postanowiłam je obciąć. Nie zapytałam go też, co sądzi o moim nowym uczesaniu.

- Gdybym wiedział, że chcesz je obciąć, wysłałbym cię do fryzjera.

Usiadłam przy stole, a tata wstał, żeby lepiej przyjrzeć się mojej grzywce.

- Nie jest źle. Właściwie to wygląda całkiem fajnie. Punkrockowo - powiedział wreszcie, delikatnie mierzwiąc mi włosy. - Ledwie cię rozpoznałem, skarbie.

Oczywiście nie było to moim celem. Stanowiło raczej niezamierzoną korzyść. Skoro ludzie przestaną mnie rozpoznawać, nie będą mieli żalu o to, że ja nie rozpoznaję ich.

Jestem

Opinie były mieszane.

Ace minął mnie na korytarzu bez słowa. Musiałam go zawołać po imieniu, a kiedy w końcu mnie poznał, wyglądał na zdezorientowanego i zdradzonego, tak jak Bambi w scenie ugryzienia przez matkę.

— Podobały mi się długie — powiedział wreszcie. Później mnie pocałował. — Będę potrzebował trochę czasu, żeby się przyzwyczaić.

Zauważyłam, że z przeciwnej strony korytarza przygląda się nam Will, więc pomachałam do niego.

— Jezu, już myślałem, że Zuckerman cię zdradza, Szefowo — zawołał.

— Niedoczekanie twoje — wymamrotał pod nosem Ace. Will podszedł do nas i zmierzwił mi włosy.

— Wyglądasz, jakbyś dopiero co wyszła z pudła.

— Co ty powiesz? Właśnie na takim efekcie mi zależało — odparłam. Will spojrzał na mnie i kiwnął głową.

— Podoba mi się — oznajmił po chwili zastanowienia. Zadzwonił pierwszy dzwonek, więc wszyscy rozeszliśmy się do swoich szafek.

— Chcę ci tylko powiedzieć, że moim zdaniem twoja fryzura jest po prostu genialna — odezwała się Alice Leeds, dziewczyna, która pierwszego dnia szkoły pomogła mi otworzyć szafkę. Właśnie sięgałam po podręcznik do algebry.

- Dzięki.

Ponieważ jej szafka znajdowała się tylko dwie na lewo od mojej, zwykle widywałam ją kilka razy dziennie. Po trzeciej lekcji Alice wróciła do tematu moich włosów.

- To dziwne, ale nie mogę przestać myśleć o twojej fryzurze. Intryguje mnie. To tak, jakbyś nie miała już nic do ukrycia.

- No cóż...

Podczas przerwy obiadowej Alice podeszła do mojego stolika i podała mi ulotkę.

- Wiem, że pracujesz już przy tworzeniu książki pamiątkowej, ale reżyseruję tę sztukę. Przyjdź na przesłuchanie, jeśli chcesz.

Spojrzałam na ulotkę informującą o castingu do sztuki *Rosencrantz i Guildenstern nie żyją*, wystawianej przez uczniów szkoły imienia Toma Purdue.

- Och, to zupełnie nie w moim stylu - usiłowałam się wykręcić.

- Grałaś już kiedyś w przedstawieniu? - zapytała Alice.

- Tak, w drugiej klasie. Wcieliłam się w podwójną rolę kukurydzy i Skały Plymouth w szkolnych jasełkach z okazji Święta Dziękczynienia. Byłam naprawdę niezła.

- Cóż, skoro tak naprawdę nigdy nie grałaś w sztuce, skąd wiesz, że to nie dla ciebie?

Do tej pory Alice zdążyła ściągnąć na siebie uwagę pozostałych osób siedzących przy stoliku Acea.

- No właśnie, Naomi, skąd wiesz? — wtrąciła się ta okropna Brian-na. Począwszy od pierwszego dnia szkoły, odzywała się do mnie tylko wtedy, gdy chciała powiedzieć coś złośliwego. Pozwalała sobie na wiele, szczególnie wówczas, gdy Acea nie było w pobliżu, tak jak dziś - akurat poprawiał test z hiszpańskiego.

- Macie rację. Nie wiem. Do zobaczenia na przesłuchaniu, Alice. — Tak naprawdę nie zamierzałam na nie iść. Powiedziałam to tylko dlatego, że Brianna zachowywała się jak frajerka.

Alice uśmiechnęła się do mnie i kiwnęła głową.

- Fajne rękawiczki! - zawołała Brianna za odchodzącą Alice. Dziewczyna miała na sobie czarne koronkowe rękawiczki bez palców. — Lepiej na nią uważaj. Słyszałam, że woli dziewczyny - rzuciła w moją stronę.

- O co ci chodzi?

- O twoje włosy — odparła głosem tak słodkim, że od samego słuchania zbierało się na wymioty. - Niektórzy mogą wysnuć błędne wnioski.

- Tak samo jak z twoich komentarzy - powiedziałam jeszcze słodszy tonem. Zabrałam tacę i odeszłam. Postanowiłam powiedzieć Aceowi, że nie będę więcej jadła w towarzystwie tych ludzi.

Ten dzień jakimś cudem zasłużył sobie na miano najlepszego od momentu mojego powrotu do szkoły. Cieszyłam się, że nikt mnie nie rozpoznaje. Przeszłam lekko przez wszystkie zajęcia, spowita rodzajem radosnej mgiełki, i zanim nadeszła ósma lekcja, kompletnie zapomniałam o temacie projektu na warsztaty fotograficzne. Pan Weir przesuwał dla mnie termin przedstawienia propozycji już dwa razy, ale z jakiegoś powodu nie mogłam niczego wymyślić. Pewnie i tak będę musiała zrezygnować z tych zajęć.

- Wpadłaś na jakiś pomysł, Naomi? - zapytał pan Weir na początku zajęć.

- W dalszym ciągu myślę - odparłam, rozglądając się po klasie w akcie desperacji. Prawie każdy skrawek powierzchni zajmowały zdjęcia wykonane przez uczniów i profesjonalnych fotografów. W górnym rogu sali dostrzegłam zdjęcie USG. - Może coś związanego z ciążą? - zasugerowałam spontanicznie.

- W porządku, ale jak to się ma do twojej osobistej historii? - zainteresował się pan Weir.

- No cóż... - Zdałam się na improwizację. - Jestem adoptowana... a moja siostra nie. Czy to dobry temat na projekt?

Nauczyciel zastanowił się przez chwilę, a później kiwnął głową.

- Być może. Ale najpierw musiałbym usłyszeć o nim coś więcej.

Nie poszłabym na to przesłuchanie, gdybym nie wpadła przy szafkach na Alice Leeds.

- Pójdziemy razem? — zapytała.

Jeszcze wtedy prawdopodobnie bym jej odmówiła, gdyby nie ta głupia Brianna, obserwująca nas z drugiego końca korytarza.

- Jasne - powiedziałam na tyle głośno, by to usłyszała. - Chodźmy. Alice przyjrzała mi się znad okularów.

- Zdecydowanie nie powinnaś ubiegać się o rolę Rosencrantza ani Guildensterna, skoro pracujesz przy księdze pamiątkowej. Grający ich aktorzy będą mieli próby codziennie.

- Hm, w porządku.

- Myślę, że byłabyś dobrym Hamletem... Podoba mi się pomysł obsadzenia w tej roli dziewczyny, a tobie?

- Jasne - odparłam. - Czemu nie? - Patrzyłam, jak Alice coś sobie notuje, i zastanawiałam się, kiedy będę mogła niepostrzeżenie wymknąć się z teatru.

Weszliśmy do środka, a Alice zajęła się sprawami organizacyjnymi związanymi z przesłuchaniami. Pewnie dałabym radę uciec, ale coś mnie powstrzymało. Siedzenia obite spłowiałym czerwonym aksamitem i zdarta drewniana scena teatru sprawiły, że poczułam się jak w obcym kraju. Zupełnie jakbym nagle odkryła, że w samym środku mojej szkoły znajduje się Praga czy Berlin. Pomieszczenie wypełniała nerwowa ekscytacja i chyba chciałam się przekonać, jak to wszystko się skończy.

Zanim rozpoczęły się przesłuchania, Alice wygłosiła krótką mowę, kilka słów na temat sztuki i jej „wizji” tego przedstawienia. Podobała mi się pasja, z jaką do wszystkiego podchodziła, i jakimś cudem zapomniałam o tym, że jeszcze przed chwilą miałam zamiar wyjść.

Ponieważ znajdowałam się na początku listy Alice, czytałam fragment sztuki jako pierwsza. Chyba dlatego, że nie bardzo mi zależało, czy wejść do obsady, podeszłam do sprawy bardzo lekko. Kilka osób nawet się roześmiało. Sama nie wiem, co ich rozbawiło: mój brak aktorskich kompetencji czy raczej zdolności komediowe.

Zaraz po przesłuchaniu pognałam do redakcji księgi pamiątkowej. Byłam spóźniona już dwadzieścia pięć minut, więc gdy weszłam, praca nad rocznikiem szła pełną parą. Nie odzywając się słowem do Willa i reszty zespołu, odłożyłam torbę i natychmiast wzięłam się do roboty, polegającej na przeglądaniu grupowych zdjęć kólek języków obcych.

- To mi się podoba - powiedział Will, wskazując na fotografię przedstawiającą członków Stowarzyszenia Hiszpańskiego w sombrero na głowach. - To lepsze niż banda zwyczajnych dzieciaków stojących jak słupy soli.

Kiwnęłam głową. Sama wybrałam właśnie to zdjęcie.

- A może zdjęcia grupowe wszystkich kółek językowych mogłyby mieć swój motyw przewodni? Co powiesz na Francuzów ubranych w berety?

- *Oui*. Jedzących francuskie tosty.

- I francuskie frytki. To się nazywa subtelny ukłon w stronę innej kultury.

- A co powiesz na kółko języka migowego przebrane za Helen Keller¹¹? - zażartowałam.

- Albo zdjęcie kółka języka łacińskiego zrobione na cmentarzu? No wiesz, bo to martwy język.

Przewróciłam oczami.

- No tak, to może trochę zbyt efekciarskie - przyznał Will. Ale pomysł z Hellen Keller mi się podoba. Może byś się tym zajęła, Szefowo? A właściwie jak wyglądałoby takie przebranie?

- Opaski na oczy? Nauszniki? - Wzruszyłam ramionami i wróciłam do przeglądania zdjęć.

- Dlaczego się spóźniłaś? - zapytał Will.

Miałam zamiar opowiedzieć mu całą historię, zamienić ją w żart, ale w ostatniej sekundzie się wycofałam. Chociaż Will był mi bardzo bliski, chciałam utrzymać tę jedną rzecz w sekrecie przed nim. I tak nie wierzyłam, że dostanę rolę, ale nie byłam jeszcze gotowa, by z tego żartować.

¹¹ Helen Adams Keller była amerykańską głuchoniewidomą pisarką.

— Pan Weir zatrzymał mnie po zajęciach — skłamałam.

— Ciągłe nie wymyśliłaś tematu projektu? Pokręciłam głową.

W niedzielę około dziewiątej zadzwonił telefon. Usłyszałam znajomy dziewczęcy głos, którego jednak nie mogłam tak do końca skojarzyć.

— Na czym w końcu stanęło, aniołku? — spytała dziewczyna. — Wchodzisz w to czy sobie odpuszczasz?

— Chyba... wchodzę. - Wychodziłam z założenia, że zawsze lepiej w coś wejść, jeśli nadarza się okazja. Ale tak naprawdę nie miałam pojęcia, o czym ona mówi.

— Aniołku, czy ty w ogóle wiesz, z kim rozmawiasz?

— Nie - przyznałam, ale ostatnio bez przerwy mi się to zdarzało. Uczyłam się godzić na wszystko, co przynosi mi los.

— Mówi Alice Leeds, reżyserka *Rosencrantz i Guildenstern nie żyją*. Muszę wiedzieć, czy będziesz moją śliczną Hamlet — powiedziała.

— Ależ, Alice, ja nie mam pojęcia o aktorstwie! — Znow miałam ochotę uciec.

Alice to jednak nie przeszkadzało.

— Te dzieciaki z kółka dramatycznego mają wiele złych nawyków, które i tak muszę z nich wyplenić. Jesteś żółtodziobem i to mi się w tobie podoba. Zagraj w naszym przedstawieniu, laleczko. Będzie bosko, obiecuję.

Chociaż wiedziałam, że Will pewnie mnie zamorduje, zgodziłam się.

Próby do przedstawienia zaczynały się w kolejny poniedziałek, miałam więc mnóstwo okazji, by powiedzieć o wszystkim Willowi. Jednak tego nie zrobiłam. Powiedziałam za to, że tata każe mi chodzić do terapeuty w każdy poniedziałek i środę po szkole (i tak już marnowałam swój czas na te wizyty w co drugi wtorkowy wieczór), w związku z czym w każdy z tych dni powinien się mnie spodziewać w redakcji najwcześniej po piątej.

Próby rozpoczęły się od tego, że wszyscy z obsady musieli się przedstawić i powiedzieć, kogo grają. Następnie Alice przedstawiła nam ekipę, w skład której wchodziła jej asystentka, garderobiana (była nią Yvette Schumacher - Estragon z lekcji angielskiego), oświetleniowcy, scenografowie i reszta. Ostatnią osobą był James Larkin, który, jak się okazało, zajmował się tworzeniem instalacji wideo towarzyszącej

przedstawieniu i zupełnie nie zwracał na mnie uwagi. Nie byłam pewna, co w gruncie rzeczy oznacza „tworzenie instalacji wideo”, i nie miałam zamiaru go o to pytać. James jasno dał mi do zrozumienia, że to, co zrobił dla mnie w szpitalu, nie było niczym więcej, jak tylko przejawem postawy miłosiernego samarytanina.

Przeczytaliśmy na głos całą sztukę. Moja rola była dłuższa, niż się spodziewałam.

Później Yvette wzięła ze mnie miarę do kostiumu. Podczas gdy ona pracowała, ja zajęłam się obserwowaniem Alice i Jamesa, rozmawiających po drugiej stronie sali.

- Ten nowy jest zabójczy. - Yvette stanęła obok mnie. - Totalnie w typie Alice. Powinnam być zazdrosna.

- O Jamesa? - zapytałam.

- Nie, głuptasku, o Alice - odparła Yvette. - To moja - zniżyła głos - dziewczyna. Ale lubi też chłopców. Właściwie to nie wiem, dlaczego szepczę. To przecież żadna tajemnica.

Dla mnie wszystko było tajemnicą.

- Od jak dawna ty i Alice jesteście razem? - zapytałam.

- Dopiero od początku lata. Była moją najlepszą przyjaciółką od trzeciej klasy, ale ostatnie miesiące okazały się dla nas prawdziwą torturą. Przyznanie się do swoich uczuć zabrało nam całą wieczność.

Próba skończyła się tuż przed szóstą. Kiedy wychodziłam z teatru, zawołała mnie Alice.

- Naomi, aniołku, chodź do nas i poznaj Jamesa!

- Zdążyliśmy się już poznać - powiedział, po czym przyjrzał mi się badawczo. - Chociaż miała wtedy inną fryzurę.

Natychmiast zaczęłam przejmować się swoimi włosami i odruchowo bawić jakimś kosmykiem.

- Nie słuchaj go. Masz genialną fryzurę - odparła Alice. - Nigdy nie pomyślałabym o tobie jako o kandydatce do tej roli, gdyby nie ona. Wyglądasz teraz jak ta francuska aktorka, nie mogę sobie przypomnieć nazwiska.

- Jean Seberg — podpowiedział James. — *A bout de souffle*, a po angielsku *Breathless*. W reżyserii Jean-Luca Godarda. Rok produkcji: 1960. Ten film zapoczątkował nową falę. To mój drugi ulubiony film Godarda. Pewnie byłby pierwszy, gdyby nie to, że wszyscy uważają go za swój ulubiony film, więc moim numerem jeden są *Dwie lub trzy rzeczy, które o niej wiem*.

- James jest maniakiem filmowym - wyjaśniła Alice, widząc moją zdziwioną minę.

- A Jean wcale nie była Francuzką, tylko Amerykanką - dodał James. - Nie mówiąc już o tym, że masz ciemniejsze włosy niż ona. Poza tym wcale nie powiedziałem, że inna fryzura znaczy gorsza. - Leniwie przekrzywił głowę i zmrużył oczy. - W tej podobasz mi się bardziej.

- Skoro już to sobie wyjaśniliśmy - skwitowała Alice, klaszcząc w dłonie - będziecie pracować razem. - Oświadczyła nam, że w jej założeniu historia Hamleta stanowi ważną część projekcji wideo. — Powinniście jak najszybciej wziąć się do dzieła - dodała.

Na odchodnym James zapytał, czy potrzebuję podwiezienia. Zasugerował, że w drodze do domu ustalimy termin naszego kolejnego spotkania. Odebrał już samochód z warsztatu.

Chociaż zamierzałam iść na górę i popracować trochę w redakcji *Phoenix*, zgodziłam się.

Podczas naszej krótkiej przejażdżki ustaliliśmy, że nam obojgu najlepiej będzie pasowało sobotnie popołudnie (James pracował w sobotnie i niedzielne wieczory). Zanim się zorientowałam, zatrzymał się na podjeździe przed moim domem.

- Hej, skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? - zdziwiłam się.

- Dobre pytanie.

- Niby dlaczego?

- Chodzi o to, że sprawdziłem twój adres. Myślałem, że wpadnę do ciebie i zapytam, jak się czujesz.

- Ale nie zrobiłeś tego.

- No nie.

Chciałam mu powiedzieć, że żałuję, że tego nie zrobił, lecz nagle przed oczami stanęła mi twarz Acea. Czy tego chciałam, czy nie, nadal był moim chłopakiem, więc nie powinnam flirtować z innym facetem, szczególnie z takim, który wyraźnie cierpi na huśtawkę nastrojów. Powiedziałam więc, że zobaczymy się w sobotę, i wysiadłam z samochodu.

Jeszcze tego samego wieczoru rozmawiałam przez telefon z Aceem.

- A co z balem? - zapytał.

Bal miał się odbyć w najbliższą sobotę i planowaliśmy się tam wybrać z Brianną i jej chłopakiem Alexem. Alex był jednym z najlepszych kumpli Acea z drużyny tenisowej, zanim skończył szkołę i rozpoczął studia na Uniwersytecie Nowojorskim.

Zapewniłam go, że nic nie pokrzyżuje nam planów.

- Uwinę się ze wszystkim koło piątej. - Postanowiłam nie wspominać o Jamesie.

- Wystarczy ci czasu, żeby się wyszykować? - zapytał Ace.

- A co ty możesz wiedzieć na ten temat? - odparłam.

- Mam siostrę, Naomi. Dziewczyny szykują się do wyjścia całymi godzinami.

- Ile trwa założenie sukienki? - zapytałam.

- Nie mam pojęcia. A co z makijażem? I z paznokciami?

- Martwisz się, że będę brzydko wyglądać, Ace? - podpuściłam go.

- Przynajmniej nie będziesz potrzebować dużo czasu na ułożenie fryzury.

- A widzisz!

James przyjechał po mnie w sobotę, w samo południe. Kiedy wyszłam z domu, na przednim siedzeniu kombi należącego do jego mamy

siedziała Yvette, której się nie spodziewałam, a na tylnym leżała walizka pełna kostiumów z epoki.

Kiedy wsiadłam do samochodu, Yvette odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć.

— James i Alice pomyśleli, że byłoby fajnie, gdybyś zagrała w projekcjach Ofelię i Hamleta, więc przywiozłam kostiumy obu postaci. No i perukę do roli Ofelii.

Pojechaliśmy do parku w pobliskim miasteczku o nazwie Rye. James sfilmował mnie stojącą na skale w kostiumie Hamleta, a później leżącą w rzece jako Ofelia i na tym właściwie upływał nam dzień, dopóki nie zjawił się strażnik i nie wyrzucił nas z parku, ponieważ nie mieliśmy zgody na kręcenie filmu. James próbował go przekonać, że jako studenci nie potrzebujemy żadnej zgody, i strażnik pozwolił nam zostać, ale tylko kwadrans. Było mi to bardzo na rękę - kompletnie przemarzłam i przez cały dzień trzęsłam się z zimna. Chociaż się nie skarżyłam, James pamiętał o mojej wrażliwości na chłód i dbał o to, by Yvette przykrywała mnie płaszczem za każdym razem, kiedy nie kręciliśmy ujęć. Pod tym względem był prawdziwym profesjonalistą. Wiele razy widziałam swoją mamę przy pracy i James odrobinę mi ją przypominał.

Kiedy wróciliśmy do samochodu, Yvette powiedziała, że musi się przygotować do balu. Wybierała się tam z Alice i grupą dziewczyn z kółka dramatycznego. James powiedział, że najpierw podrzuci ją, a później mnie. W drodze Yvette drażniła się z Jamesem, który nie wybierał się na bal.

— Zaproсили go prawie wszyscy z obsady, wiesz? Dziewczyny i chłopcy - zwróciła się do mnie, puszczając oko.

James roześmiał się. Sprostował, że nie wszyscy go zaprosili, a poza tym i tak musi pracować.

Kiedy podjechaliśmy pod dom Yvette, James i ja pomogliśmy jej wnieść kostiumy do środka. Na pożegnanie pocałowała Jamesa w policzek. Mimowolnie pomyślałam, czy uszłoby mi na sucho, gdybym zachowała się tak samo, kiedy już dotrzemy do mojego domu.

Następnie Yvette pocałowała w policzek także mnie.

- Może zobaczymy się wieczorem, laleczko - powiedziała i zamknęła za nami drzwi.

W drodze do mojego domu James zapytał, czy wybieram się na bal. Odpowiedziałam, że tak.

- Z Aceem - dodałam, choć o to nie pytał.

- Ach tak, z tym sportowcem. Ace to dobre imię dla tenisisty.

- O ile nie zaliczy serii kiepskich serwów - zażartowałam. James nie roześmiał się, ale w gruncie rzeczy rrudno było nazwać moją uwagę żartem.

Mniej więcej minutę później powiedział:

- Wykonałaś dzisiaj kawał dobrej roboty. Byłaś taka spokojna i wyluzowana. Bardzo ułatwiłaś mi zadanie. Doskonale sobie radzisz ze stanem w bezruchu.

Roześmiałam się.

- Cóż mogę powiedzieć? To dar. Moja mama była fotografką, więc większość życia, chcąc nie chcąc, spędziłam na pozowaniu - wyjaśniłam.

- Była?

- Cóż, właściwie nadal jest. Ale chwilowo ze sobą nie rozmawiamy. Doceniłam to, że nie dopytywał o nic więcej na temat mojej matki.

- Nie mam bladego pojęcia o aktorstwie i pewnie dlatego zachowałam taki spokój - powiedziałam.

- Może powinnaś po prostu przyjąć komplement - odparł. Tylko że ja nigdy nie byłam w tym dobra. A przynajmniej tego nie pamiętałam.

- Gdzie pracujesz? - zmieniłam temat.

James wyjaśnił mi, że pracuje w publicznym collegeu jako specjalista do spraw audio-wideo - odtwarza filmy i programy podczas zajęć dla dorosłych.

- Płacą nieźle, a mój tata twierdzi, że powinienem pracować. Poza tym oglądam mnóstwo filmów, których inaczej pewnie bym nie zobaczył.

- Na przykład jakich?

- Na przykład latem zorganizowano kurs dotyczący szwedzkiego kina, więc obejrzałem właściwie wszystkie filmy Bergmana. Wiesz, kim jest Ingmar Bergman?

Pokręciłam głową.

- Wspaniałym reżyserem. Jego filmy opowiadają głównie o seksie i pamięci. Pewnie by ci się spodobały, ze względu na to, co... no cóż, na to wszystko, co cię spotkało — powiedział. — A teraz prowadzą kurs na temat filmów Woody'ego Allena, więc ich też sporo już obejrzałem. Lubię go, ale nie tak jak Bergmana.

- Kocham Woody'ego - wtrąciłam. - Kiedy byłam mała, moi rodzice wypożyczyli wszystkie jego filmy. Szczególnie podobały mi się *Hannah i jej siostry* oraz *Purpurowa róża z Kairu*. — Cieszyłam się, że ciągle pamiętam niektóre rzeczy, które lubiłam.

- Może wpadniesz do nas któregoś dnia i obejrzysz kilka filmów? - zaproponował. - Mógłbym cię wkręcić. Nie żeby to było coś nadzwyczajnego. Przyrowadź swojego sportowca.

Byłam prawie pewna, że się ze mną droczył, ale mówił to z tak kamienną twarzą, że nie odważyłam się tego powiedzieć. Stwierdziłam więc tylko, że Ace pewnie nie lubi Woody'ego Allena.

- Pewnie nie - przyznał mi rację, wjeżdżając na podjazd. - Baw się dobrze na balu, Naomi.

Założyłam czarną aksamitną sukienkę, którą znalazłam w szafie, ponieważ nie miałam czasu, żeby kupić coś innego (tak naprawdę chyba nie postarałam się o to, by ten czas znaleźć). Przynajmniej nie pamiętałam, że miałam ją już kiedyś na sobie.

- Wyglądasz jeszcze lepiej niż w ubiegłym roku - powiedział tata, kiedy zeszedł na dół.

Ace ani słowem nie wspomniał, że widział mnie już w tej sukience. Po prostu dał mi całusa.

- Ładnie wyglądasz.

Pojechaliśmy na bal samochodem Ace'a. Siedziałam z moim chłopakiem z przodu, a Brianna z tyłu razem z Alexem, który mimo że był dobrym przyjacielem Ace'a, okazał się strasznym dupkiem. Naprawdę współczułam Briannie, a to już o czymś świadczy. Chłopak zdążył się upić, jeszcze zanim dojechaliśmy na zabawę, i przez cały czas usiłował ją

całować i obmacywać. Słyszałam, jak ciągle powtarzała: „Nie, Alex. Nie. Czy mógłbyś chwilę poczekać?” i tym podobne rzeczy. Ace podkreślił dźwięk w radiu, chyba po to, by zapewnić im nieco intymności, ale może po prostu był zmęczony słuchaniem protestów Brianny.

W końcu odwróciłam się i powiedziałam:

- Słuchaj, Alex, daj sobie na wstrzymanie przez kwadrans, dobra? Ona chce dobrze wyglądać na pamiątkowym zdjęciu, rozumiesz?

- W porządku, Naomi - odezwała się Brianna lodowatym tonem.

- Pewnie spędziła ostatnie dziesięć lat na przygotowaniach - próbowałam obrócić wszystko w żart.

Wydawało mi się, że Alex wymamrotał coś na temat niedojrzałych dzieciaków ze szkoły średniej, ale nie byłam pewna.

Reszta drogi upłynęła nam w całkowitej ciszy. Widziałam, że Brianna, Ace i ten tępak Alex są na mnie wściekli. Nie obchodziła mnie Brianna ani Alex, ale miałam wyrzuty sumienia w stosunku do Ace'a. Zaczęłam żałować, że w ogóle się odezwałam. W końcu dziewczyny takie jak Brianna same potrafią się o siebie zatroszczyć.

Na balu wybierano królową i króla wieczoru i zauważyłam, że jeden z pierwszoroczniaków z redakcji książki pamiątkowej robi zdjęcia. Wiedziałam, że nie wyjdą one zbyt dobrze. Po pierwsze, kąt fotografowania był zbyt mały, przez co wszyscy na zdjęciach będą mieli podwójną brodę, a po drugie, każde z ujęć wyglądało podobnie. Podeszłam do chłopaka i poradziłam, żeby stanął na stole. Tak też zrobił. Później mi podziękował i przyznał, że zdjęcia wychodzą teraz o niebo lepiej. Pokazał mi nawet kilka na wyświetlaczu aparatu cyfrowego. Zdjęłam szpilki, wskoczyłam na stół i sama cyknęłam parę fotek. Była to najfajniejsza część wieczoru. Zaczęłam się zastanawiać, czy powodem, dla którego zaangażowałam się w pracę nad księgą pamiątkową, nie była moja słabość do robienia zdjęć. Może odpowiedź rzeczywiście była tak

prosta. Może jeśli pamięć już nigdy mi nie wróci, wystarczyło, bym zadawała sobie pytania, co lubię, a czego nie?

Kiedy odwróciłam się, żeby zejść ze stołu, zobaczyłam stojącego na podłodze przede mną Willa.

- Pomóc ci? - zapytał, podając mi dłoń. Przyjęłam ją. Ciężko się schodzi w sukience ze stołu.

- Nie wiedziałam, że wybierasz się na bal.

- Nie zamierzałem. Nie cierpię takich imprez. Patten się rozchorował, więc musiałem go zastąpić przy robieniu pamiątkowych zdjęć do breloczków. — Sprzedaż breloczków do kluczy ze zdjęciem była jednym ze sposobów pozyskania przez zespół redakcyjny pieniędzy na wydanie książki pamiątkowej. Twoja sukienka... - zaczął Will.

- Wiem, wiem. Miałam ją na sobie w zeszłym roku.

- Gdybyś pozwoliła mi dokończyć, powiedziałbym, że bardziej pasuje do nowej fryzury - powiedział. - Wyglądasz pierwsza klasa.

- Dzięki. - Wsunęłam stopy w pantofle i patrzyłam teraz na Willa z góry, z wysokości obcasów. — Podoba mi się twój garnitur — dodałam.

- Musiałem improwizować. - Miał na sobie szmaragdowy aksamitny garnitur i wzorzystą koszulę. Był jedyną osobą na sali ubraną tak oryginalnie. - Zrobiłaś jakieś dobre zdjęcia parze królewskiej? -zapytał.

Przewróciłam oczami.

- Takie jak zwykle: dreszczyk zwycięstwa przeplata się z goryczą porażki.

- Ach, młodość. Słodko-gorzka. Ulotna - zażartował Will.

- Właśnie.

- Obserwowałem cię - powiedział, patrząc mi prosto w oczy. -Wyglądałaś na naprawdę, naprawdę... szczęśliwą tam, na górze.

Faktycznie czułam się szczęśliwa, ale nie podobał mi się sposób, w jaki Will na mnie patrzył. Nie, *patrzył* nie było właściwym słowem. Raczej *dostrzegał*. Nie podobało mi się, jak wiele widzi. W oczach Willa czułam się przezroczyta, chociaż samej sobie wydawałam się raczej mętna.

Will powiedział, że popołudniu próbował się do mnie dodzwonić, ale miałam wyłączony telefon. Właśnie chciałam wymyślić kolejne kłamstwo, kiedy u mojego boku niespodziewanie wyrósł Ace.

— Will — odezwał się. Will skinął głową.

— Zuckerman.

— Napastujesz moją dziewczynę? - zaczął go Ace, obejmując mnie ramieniem.

Wiedziałam, że obiektywnie rzecz biorąc, nie było nic złego w tym, że Ace nazywał mnie „swoją dziewczyną”, ale poczułam się dziwnie urażona jego nonszalanckim gestem, tego już było za wiele.

— Omawialiśmy sprawy związane z księgą pamiątkową - powiedziałam.

— Jasne. Zawsze chodzi o księgę pamiątkową - odparł Ace napaśliwym tonem, który mnie zaskoczył.

— Właśnie, jak inaczej zachowamy dla potomności lata twojej chwały, Zuckerman? — odpowiedział na zaczepkę Will.

Poczułam, że nie do końca rozumiem, co dzieje się między Aceem a Willem. Nie wiedzieć czemu, nagle zatęskniłam za Jamesem.

— Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli porwę swoją dziewczynę na parkiet, Will?

— Ona nie lubi tańczyć - odpowiedział cicho Will. A później się ulotnił i nie widziałam go przez resztę wieczoru.

Po balu Brianna i Alex postanowili zabrać się do domu z kimś innym, więc zostaliśmy z Ace'em sami w jego samochodzie. Byłam pewna, że po prostu odwiezie mnie do domu, lecz on zabrał mnie do siebie, mówiąc, że jego rodzice wyjechali na weekend do Bostonu, więc mamy dom do swojej dyspozycji.

Na miejscu zapytał, czy mam ochotę na drinka, ale odmówiłam. Od czasu imprezy urodzinowej jego przyjaciela unikałam alkoholu, czego zresztą sam powinien się domyślić.

Zaprowadził mnie do swojego pokoju, który był wyszykowany i elegancki — podobnie jak reszta domu i sam Ace. Tapeta miała wzór szkockiej kraty, a na ścianach zawieszane były zabytkowe drewniane

rakiety do tenisa. Spojrzałam na regały z książkami. Jeśli nie liczyć szkolnych podręczników, znajdowały się tam wyłącznie pamiętniki znanych sportowców i oprawione w skórę dzieła klasyków. Na ścianie przy łóżku dostrzegłam jedno przyklejone taśmą zdjęcie przedstawiające mnie i Acea. Oboje byliśmy ubrani w stroje do tenisa. Zdjęcie było nieostre, ale zauważyłam, że miałam na nim włosy związane w koński ogon, tak jak najbardziej lubił Ace.

Usiadłam na jego łóżku: starym, pełnym sprężyn materacu, który wydawał z siebie rżący dźwięk. Ace usiadł obok mnie i pocałował mnie w usta. W dalszym ciągu smakował jak Gatorade, chociaż wiedziałam, że nie pił go przez co najmniej pięć godzin.

- Czy pamiętasz, co się tu wydarzyło rok temu? - zapytał. Rany, przecież miałam amnezję.

- Nie - odparłam tylko.

Przypomniał mi więc, zresztą bardzo metaforycznie. Podczas ubiegłorocznego balu Ace i ja „przebiliśmy piłeczkę przez siatkę”, czyli zrobiliśmy to pierwszy raz. Wcześniej „rozegraliśmy kilka setów”, ale wspólnie postanowiliśmy przeczekać cały „sezon letni”, z powodów, które Ace nie do końca sprecyzował. To był jego pomysł, żebyśmy uczcili naszą rocznicę „meczem rewanżowym”. Nie jestem pewna, czy to nerwy były przyczyną, dla której Ace wymyślił wszystkie te sportowo-łóżkowe metafory, lecz przez nie całe to fiasko z opaskami na nadgarstki zaczęłam widzieć w żalonym świetle.

Powiedziałam mu, że nie wróciłam jeszcze do przyjmowania pigułek, na co Ace odparł, że jest przygotowany, i wyciągnął z szafki nocnej paczkę prezerwatyw. Jego ruchy były tak szybkie - ledwie zauważyłam, jak otwiera i zamyka szufladę - że dały mi pewne wyobrażenie o tym, jak Ace zachowuje się na korcie.

Czułam się dziwnie odrętwiała w całej tej sytuacji. W głowie kołatała mi myśl: *No cóż, już to wcześniej robiłam. Równie dobrze mogę się z nim przespać jeszcze raz.*

Ace zaczął mi rozpinąć sukienkę, ale nie mógł sobie poradzić z suwakiem.

- Zaciął się - powiedział.

- Tylko go nie popsuj - zwróciłam mu uwagę. - Będę musiała ją założyć z powrotem.

W tym momencie do pokoju wszedł jego basset, żeby się z nami przywitać.

- Uciekaj, Jonesy! — odezwał się Ace. - Uciekaj!

Pies nie chciał jednak odejść. Wspiął się, z dość jednoznacznym zamiarem, na prawą nogę Acea. Ace podniósł się gwałtownie, zrzucając Jonesy'ego, i wyrzucił go z sypialni, ale zza drzwi już po chwili rozległo się ujadanie.

Zaczęłam się śmiać. Wydało mi się zabawne, że Ace zabraniał swojemu psu robić to, do czego sam tak usilnie mnie namawiał.

- Na czym skończyliśmy? - zapytał Ace, z powrotem siadając na łóżku.

Cała ta sytuacja była absurdalna.

Skoro nie pamiętałam momentu, w którym naprawdę straciłam dziewictwo, byłby to *de facto* mój pierwszy raz. Zależało mi na lepszej historii niż: *Zrobiłam to z chłopakiem, na którym nie bardzo mi zależało i którego oddech, nie wiedzieć czemu, pachniał napojem Gatorade, w jego pokoju udekorowanym sprzętem sportowym. Okazał się na tyle miły, by postarać się o prezerwatywy i wyrzucić swojego wiekowego, napalonego psa z pokoju, żebyśmy mogli być sami.* Zastanawiałam się, jakim cudem pozwoliłam sprawom zabnąć tak daleko.

- Ace, nie pójdę z tobą do łóżka - oznajmiłam nagle. Sięgnęłam przez ramię i bez większych problemów zapięłam sukienkę.

- Chodzi o to ujadanie? Mogę zamknąć go w ogródku - powiedział Ace. — Zaczekaj chwilę. Zmuszę go, żeby przestał. Zły Jonesy! Zły pies!

- Nie chodzi o psa — powiedziałam.

- W takim razie o co? - Ace podszedł do okna. Stał teraz plecami do mnie i nie widziałam jego twarzy.

- Ja... Ja po prostu nie wiem... - odparłam. - Tak naprawdę wcale cię nie znam. Nie wiem nawet, co nas łączy.

- Mnóstwo rzeczy — zapewnił mnie Ace.
- W takim razie powiedz mi jakich. Naprawdę chciałabym wiedzieć.
- Tenis. Szkoła. - Ace westchnął. W dalszym ciągu na mnie nie patrzył. — Kocham cię, Naomi.

- Dlaczego?

Gwałtownie wzruszył ramionami.

- Jezu, nie wiem. A dlaczego ludziom podobają się akurat te, a nie inne osoby? Bo jesteś superlaską?

- Pytasz mnie czy odpowiadasz?

- Pytam. To znaczy odpowiadam. Sam nie wiem. Wszystko mi się miesza. — Ace odwrócił się i spojrzał na mnie bezradnie, bez cienia nadziei. - Bo dobrze sobie radzisz w szkole, ale też potrafisz się napić. Bo kiedyś rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Sam nie wiem. Po prostu się w tobie zakochałem.

- Zakochałeś się czy nadal mnie kochasz?

- Co to ma znaczyć?

- *Zakochałeś się w przeszłości, czy kochasz mnie teraz?*

- Kocham! Miałem na myśli to, że cię kocham. Czy nie tak powiedziałem? - Opadł na łóżko i wlepił wzrok w sufit. Sprężyny w materacu zaskrzypiały rozdzierająco, przez co Jonesy znowu zaczął szczeleć. Otworzyłam drzwi i pies wbiegł do środka. Na szczęście on także nie miał już ochoty na seks. Zależało mu jedynie na pieścizotach. Wskoczył na łóżko i położył się obok swojego pana.

- Ale szczerze mówiąc, ostatnio zachowujesz się bardzo dziwnie — powiedział cicho Ace.

Może dlatego, że nic nie pamiętam? - pomyślałam gorzko.

- Weźmy choćby tę aferę w samochodzie. O co ci właściwie chodziło? A teraz jeszcze występ w przedstawieniu. I twoje włosy!

Był to pierwszy raz, odkąd zmieniłam fryzurę, kiedy wspomniał o moich włosach. Nie miałam pojęcia, że ciągle o nich myśli.

- Co z moimi włosami? - zapytałam. Nie miałam zamiaru przejmować się jego opinią, po prostu byłam ciekawa.

- Kochałem je długie.

Kolejny raz tego wieczoru użył słowa *kocham*, ale po raz pierwszy mu uwierzyłam.

- Nie mogę się przyzwyczać do ich obecnego wyglądu - kontynuował. - Szczerze mówiąc, nie wiem już, co myśleć.

— Powiedz, co ci leży na sercu, Ace — zachęciłam go.

— Nienawidzę twoich głupieli włosów — powiedział głosem chropowatym od prawdy, goryczy i emocji.

We wszystkich słowach, które wypowiedział przez cały czas, gdy byliśmy razem, pobrzmiewało tylko lekkie zmieszanie lub frustracja, ale tym razem coś się zmieniło. Nie ulegało wątpliwości, że mówił z prawdziwą pasją! Właśnie tego brakowało pozostałym elementom mojego związku z Aceem. Słyszałam to zaangażowanie w głosie Alice, kiedy mówiła o sztuce, u Willa, opowiadającego o księdze pamiątkowej, i u taty, marzącego o Rosie Riverze. A także wtedy, gdy w szpitalu James przyznał, że chciał mnie pocałować.

Swoją drogą, nie wiedziałam, że chłopcy do tego stopnia przejmują się włosami. Może miałam zbyt duże wymagania, ale zależało mi na chłopaku, który będzie bardziej zwracał uwagę na resztę mojej osoby. Biedny Ace. Ten facet zakochał się we fryzurze.

Wiedziałam już, co muszę zrobić.

— Myślę, że powinniśmy dać sobie trochę czasu. I się nie spotykać - dodałam. Szybko spróbowałam obrócić to w żart. - Daj moim włosom czas, żeby odrosły.

Ace się nie roześmiał.

— Chcesz powiedzieć, że powinniśmy ze sobą zerwać? — zapytał. Czyżbym wyczuła w jego głosie nutę ulgi?

-Tak.

- Ale ja tego nie chcę! - Ace zaprotestował, nieco zbyt żarliwie. -Chcę, byś odzyskała pamięć i żeby wszystko było jak dawniej.

- Cóż, może tak właśnie będzie. Ale to raczej mało prawdopodobne. A ty i tak w przyszłym roku idziesz do college'u, więc nasze rozstanie to tylko kwestia czasu - tłumaczyłam.

- Czy chodzi o Willa? - zapytał Ace.

Zdenerwował mnie tym pytaniem. Potwierdziło ono tylko, jak kiepsko mnie znał. Jeśli już o' kogoś chodziło, to o Jamesa, ale nawet o niego nie. Nie chodziło o nikogo. A właściwie o nikogo z wyjątkiem Acea.

- W przeciwieństwie do ciebie Will jest moim przyjacielem. Ace zamknął oczy.

- Nie tak wyobrażałem sobie dzisiejszy wieczór.

Zapytałam go, czy mógłby mnie odwiedzić. Kiedy dotarliśmy pod mój dom, odprowadził mnie do drzwi. Pocałowałam go w policzek.

- Pewnie zabrzmiało to głupio, ale czuję się tak, jakbyśmy mieli się już nigdy więcej nie zobaczyć - powiedział.

- Nie wygłupiaj się, Ace. Zobaczymy się w szkole - odparłam, chociaż oczywiście wiedziałam, co ma na myśli.

- To, co powiedziałem o twoich włosach... - zaczął.

- W porządku. Przynajmniej byłeś szczerzy.

Przed kolejnym wtorkiem wszyscy w szkole dowiedzieli się o naszym zerwaniu. Według plotki, którą usłyszałam, Ace rzucił mnie, ponieważ od czasu wypadku „zachowywałam się w łóżku jak cnotka”

i „nie do końca byłam sobą”. Oba te stwierdzenia były po części prawdziwe, lecz żadne nie dotyczyło sedna tego, co naprawdę się stało. Nie wiedziałam, czy Ace sam rozsiewa te plotki, czy też wymyślają je moi rówieśnicy - ludzie tacy jak Brianna, która nie cierpiała mnie jeszcze bardziej, odkąd próbowałam stanąć po jej stronie tamtego wieczoru w samochodzie. Teraz, odkąd Ace nie musiał już bronić mojego honoru, potrafiła mi naprawdę dopieć.

Rozumiałabym, gdyby to była sprawka Acea - może chciał zachować twarz, a może naprawdę tak postrzegał nasze zerwanie? W każdym razie nie próbowałam wyprowadzić ludzi z błędu. Mogli sobie myśleć, co tylko chcieli. Chrzanić ich.

W dalszym ciągu nie powiedziałam Willowi o sztuce. Może dlatego, że czułam się tak, jakbym go zdradzała, a może z czystego tchórzostwa. Spóźniałam się na co drugie zebranie zespołu redakcyjnego i pozwalałam mu myśleć, że jestem na korepetycjach albo u lekarza. Jeśli nawet drażniło go moje bumelanctwo, Will był zbyt dobrym przyjacielem, by zwrócić mi uwagę.

I pewnie wcale nie dowiedziałby się o moim udziale w sztuce, gdyby Bailey Plotkin nie zjawił się na próbie, by zrobić zdjęcia do rocznika. Bailey pełnił rolę fotografa dokumentującego wydarzenia kulturalne, tak jak ja w pierwszej klasie. Swoją drogą, gdybym przejmowała się sprawami związanymi z księgą pamiątkową, pewnie domyśliłabym się, że wcześniej czy później przyślą na próbę kogoś z zespołu redakcyjnego.

Bailey był z natury osobą spokojną i nie sprawiał wrażenia szczególnie zaskoczonego moim widokiem. „Nie wiedziałem, że występujesz w sztuce, Naomi. Fajnie” — powiedział tylko. Mimo to wiedziałam, że muszę powiedzieć Willowi, i to najlepiej jeszcze zanim zobaczy zdjęcia.

Poszłam do redakcji tuż po zakończeniu próby, a Will ledwie na mnie spojrział. Zapytał, czy miałam czas, żeby obejrzeć projekty okładek, a ponieważ nie miałam, zabrałam się za to od razu. Okładka, która najbardziej podobała się Willowi, była cała biała, ze słowem

Phoenix wydrukowanym na środku wielkimi, czarnymi literami, wyrównanymi do prawej. Wybrany przez niego projekt był bardzo prosty i nieczęsto widywało się podobne okładki szkolnych ksiąg pamiątkowych. Will wspominał, że jest to nawiązanie do jakiegoś albumu czy książki, ale nie słuchałam go dostatecznie uważnie, żeby zakodować szczegóły. Sama tak naprawdę nie wiedziałam jeszcze, co myśleć o tej okładce.

Przez kolejne dwie godziny spotkania zespołu redakcyjnego Will ani słowem nie wspominał o sztuce. Rozmawialiśmy wyłącznie o sprawach związanych z księgą - zadawał mi uprzejme pytania i nie żartował. To nie było do niego podobne i tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że o wszystkim wie i czeka jedynie, aż sama poruszę ten temat.

Na koniec poprosiłam go o podwiezienie do domu. „Żebyśmy mogli porozmawiać” - dodałam. W drodze na parking milczał. Był już koniec października i czułam chłód, ale nie z powodu pogody. Ta jesień była wyjątkowo łagodna, a poza tym miałam na sobie bluzę z kapturem i ciepłą kurtkę. Myślę, że chłód mógł być czymś w rodzaju *deja vu*. Czułam się tak, jakbym kiedyś przeżyła już podobny spacer.

i oczywiście tak było. Odkąd wróciłam do szkoły, Will odwoził mnie do domu wielokrotnie, ale w tym razie było coś szczególnie znajomego, czego nie potrafiłam zidentyfikować.

- Zimno ci? - zapytał mnie w połowie drogi na parking. - Powinienem był ci zaproponować swoje rękawiczki.

Pokręciłam głową. Will zawsze się o mnie troszczył — nawet teraz, gdy prawdopodobnie wiedział, że okłamywałam go od wielu tygodni, i nie był tym faktem zachwycony. Poczulałam się przez to naprawdę podle.

Kiedy dotarliśmy do samochodu, stał tam przez chwilę, nie otwierając drzwi.

- No więc? - odezwałam się.

- To ty chciałaś rozmawiać, Szefowo.

- W samochodzie też możemy to zrobić — odparłam.

- Wolałbym tutaj - powiedział Will.

- Gram w sztuce. Nie wiem, dlaczego nie powiedziałam ci o tym wcześniej. Kłamałam z tą dodatkową terapią. - Spojrzałam ponad dachem samochodu, by sprawdzić jego reakcję. Niczego nie zauważyłam, więc mówiłam dalej: - To się stało właściwie przez przypadek - ciągnęłam - ale

do premiery zostały już tylko dwa tygodnie, a później będę do twojej pełnej dyspozycji.

Will kiwał przez chwilę głową.

- Twoja pomoc przydałaby mi się jak diabli, Szefowo. - Rozluźnił krawat od szkolnego mundurka, a później roześmiał się, więc zapytałam, co go tak bawi. - Widzisz, bałem się, że od nas odejdiesz - powiedział.

- Dlaczego?

- Przez ostatnie kilka tygodni prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Teraz przynajmniej wiem, że miałś powód.

Założyłam, że chodzi mu o sztukę.

- Poza tym przez jakiś czas nie miałś do tego serca. Nic dziwnego, że zacząłem się zastanawiać. Musisz wiedzieć, że pewnie bym zrozumiał, gdybyś zastanawiała się nad odejściem po tym wszystkim, co cię spotkało, ale cieszę się, że tak nie jest.

Will otworzył drzwi i wsiedliśmy do samochodu.

- Granie w sztuce... czy to przyjemne? - zapytał.

- Mhm - przyznałam.

- Cieszę się. - Will kiwnął głową, a później zapalił silnik. Kiedy dojechaliśmy do mojego domu, zapytał, czy może wejść.

Powiedział, że dawno nie widział się z moim tatą.

Zapytałam go, dlaczego, u licha, miałby chcieć się widzieć z moim tatą.

- Naprawdę podobają mi się jego książki. Grant i ja jesteśmy kumplami.

- Wiesz, Will, tata prawdopodobnie teraz pisze.

- Daj spokój, Szefowo - odparł Will. - Ostatni raz byłem u ciebie wieki temu.

Weszliśmy do domu, ale taty w nim nie było. Zamiast wyjść, Will usiadł przy kuchennym stole.

- Słyszałem, że ty i Zuckerman zerwaliście - powiedział.
- Aha. - odparłam zdawkowo. Tak naprawdę nie miałam ochoty rozmawiać o tym z Willem, ale najwyraźniej to do niego nie docierało.
- Dlaczego? - zapytał.
- Bo nie podobały mu się moje włosy - odparłam.
- Zawsze uważałem go za frajera - powiedział Will.
- Frajera?
- Will spiekł raka.
- Może nie frajera, ale jedno jest pewne: nie zasługiwał na ciebie.
- Nie jest taki najgorszy.
- Czy jest ktoś inny? - zapytał nagle Will. Zdjął okulary i wytarł je o spodnie.
- Nie - odparłam. - I na razie nikogo nie szukam.
- Jakoś ci nie wierzę — skwitował.
- Możesz sobie wierzyć, w co chcesz. Mam dostatecznie dużo spraw na głowie i bez chłopaka. - Później wyjaśniłam Willowi, że muszę się skupić na nauce, co zresztą było prawdą.
- Kiedy wreszcie udało mi się go skierować do frontowych drzwi, odwrócił się i zapytał:
- Wiesz, dlaczego nazywam cię „Szełową”? Skinęłam głową.
- A zastanawiałaś się kiedyś, jak ty mnie nazywasz?
- Hm, „Will”?
- Mam raczej na myśli to, jak dawniej mnie nazywałaś. Jakoś nie.
- *CoacP*. Możesz mnie tak znowu nazywać, jeśli chcesz, Szełowo.
- Gdyby tylko przyszła ci na to ochota.
- Coach - powtórzyłam. Mimo że Will był najmniej wysportowanym facetem, jakiego znałam, przydomek świetnie do niego pasował. Dobre przydomek mówi coś o osobie, która je nosi, i tak właśnie było w tym przypadku. Will jest człowiekiem całkowicie oddanym wszyst-

³ Trener (ang.).

kiemu, co robi, i dobrym motywatorem: inteligentnym, pełnym pasji i rozważnym. Ma wszystkie zalety idealnego trenera. — To ksywka w sam raz dla ciebie - stwierdziłam. - Żałuję, że nie zapytałam cię o nią wcześniej.

— Istnieje jeszcze wiele rzeczy, które mogę ci powiedzieć — stwierdził Will. -Jeśli oczywiście kiedyś o nie zapytasz.

Premiera sztuki odbyła się w drugi weekend listopada. Każdy z aktorów otrzymał cztery darmowe bilety. Jeden dałam Willowi, a dwa tacie, a on jeden przekazał Rosie Riverze. Zastanawiałam się, czy nie podarować ostatniego biletu mamie, ale moja rola nie była tak wielka, by opłacało jej się przyjeżdżać aż z miasta. Poza tym i tak nie miałam już dodatkowych biletów dla Nigela i ich dziecka.

Sztukę wystawiano tylko dwa razy, więc występ w niej pod pewnymi względami nie różnił się od redagowania książki pamiątkowej - dużo wysiłku, a efekt niewielki. Ale i tak uważam, że była dobra, a to już coś. Will, jego matka, tata i Rosa Rivera przyszli drugiego wieczoru i wszyscy zgodnie stwierdzili, że przedstawienie było dobre, podobnie jak ja w swojej roli. W gruncie rzeczy wystąpiłam tylko w kilku scenach. Dla uczczenia mojego występu Will nagrał dla mnie nową składankę: *Piosenki dla aktorki, udającej, że jest u terapeutki, gdy tymczasem była na scenie*, którą podarował mi po skończonej sztuce. Tata powiedział, że bardzo mu się podobała instalacja wideo przygotowana przez Jamesa. Materiał filmowy wyglądał niesamowicie - aż trudno uwierzyć, że powstał w parku w Rye. James obrobił go w taki sposób, że wyglądał jak stary niemy film: obraz był czarno-biały, wyblakły i migoczący.

Przyjęcie dla ekipy odbyło się w domu Alice, konkretnie na jego tyłach, przy basenie. Ponieważ był już listopad, basen został przykryty zieloną winylową płachtą.

Yvette uścisnęła mnie i złożyła gratulacje. Odwdzięczyłam się jej, mówiąc, że kostiumy wyglądały wspaniale.

— Widziałaś Jamesa? — zapytała.

— A dlaczego go szukasz?

- Nie miałam okazji powiedzieć mu, jak piękne wyszły ujęcia. To była najlepsza część sztuki. Tylko nie mów Alice - dodała szeptem.

Przysięgłam, że tego nie zrobię.

Tak naprawdę nie widziałam Jamesa od tamtego dnia w parku. Nie musiał przychodzić na próby dla aktorów, a jeśli już brał w nich udział, był zajęty sprawami technicznymi. Szczerze mówiąc, sama byłam zbyt zajęta, żeby się tym przejmować. Poza tym dawno przestałam się łudzić, że między nami może do czegoś dojść.

Alice przyszła do mnie jako druga.

- Gdzie twój drink, aniołku? - Taka już była aktorska brać - nie pili piwa, za to woleli mocniejsze trunki.

- Nie piję - powiedziałam.

- Masz z tym problem? - zapytała Alice.

- Owszem. Moim problemem jest żenująco niska tolerancja alkoholu.

- W gruncie rzeczy nikt nie chce słuchać o cudzych problemach ze zdrowiem podczas przyjęcia.

Alice roześmiała się.

- Wygląda na to, że zabawnie byłoby cię spić, aniołku. Pokręciłam tylko głową.

Alice ucałowała mnie w oba policzki i powiedziała, że jest ze mnie bardzo dumna. Za chwilę zawołał ją koleś, który grał Guildensterna.

- Rosencrantz czy Guildenstern? Który z nich jest według ciebie przystojniejszy? - zwróciła się do mnie Alice. - Nie potrafię się zdecydować, którego wolę.

- A co z Yvette? - zapytałam.

- Yvette, Yvette, słodka Yvette. - Alice ciężko westchnęła. Obie odwróciłyśmy się, by spojrzeć na Yvette, która śmiała się, rozmawiając z dziewczyną, grającą w sztuce. - Obie chodzimy do szkoły średniej, a to oznacza, że nie muszę się jeszcze z nikim żenić.

Musiałam być w domu najpóźniej o północy i właśnie zamierałam poprosić Yvette o podwiezienie, kiedy ktoś poklepał mnie po ramieniu.

- Hej, Hamlecie — odezwał się James.

- Spóźniłeś się - odparłam.

Wzruszył ramionami.

- Nie sądziłem, że w ogóle się tu pojawię. - Wyciągnął z kieszeni kurtki papierosa i zapalił go.

- Nie poczęstujesz mnie? - zapytałam.

- Zrobiłbym to, ale wydawało mi się, że nie palisz.

- Mimo wszystko byłoby miło, gdybyś to zaproponował. Tego wymaga uprzejmość, wiesz?

- Szczerze mówiąc... - James zaciągnął się głęboko, a jego szare oczy rozświetlił płomień z papierosa - nie chcę być facetem, który zniszczy twoje śliczne, różowe płuca.

Słowa Jamesa zabrzmiały strasznie Hirciarsko. Już z nim to przerażałam, ale z marnym skutkiem.

Oznajmiłam mu, że muszę wracać do domu. Zaproponował mi podwiezienie, ale powiedziałam, że umówiłam się już z Yvette.

- Na wypadek gdybyśmy się już nie zobaczyli, chcę ci tylko powiedzieć, że moim zdaniem instalacja była piękna.

James wykręcił się od komplementu.

- Tak, wyszła całkiem przyzwoicie. Pomagam przy robieniu sztuki wyłącznie po to, by mieć co wpisać do podania na studia, jeśli nie dostałbym się na uczelnię, którą wybrałem.

- Cóż, nieważne, z jakiego powodu to robisz - powiedziałam. - I tak było pięknie. - Odwróciłam się, żeby odejść.

Skończył palić papierosa jednym zaciągnięciem.

- Zaczekaj chwilę. Nie pozwolisz mi się skomplementować? Potrząsnęłam głową i odparłam, że na to już za późno.

- Pewnie i tak pomyślałabym, że chcesz mi się tylko odwdzięczyć.

- Tego się obawiałem — odparł.

- Miło cię było zobaczyć, James. - Ruchem głowy wskazałam mu miejsce, gdzie znajdowały się drinki i goście, którzy mogli zostać na przyjęciu dłużej niż ja.

- Nie piję. Kiedyś tak, ale przestałem - powiedział. - A poza tym przyszedłem tu wyłącznie dla ciebie. Pamiętasz te zajęcia, o których ci opowiadałem?

Pamiętałam.

— We wtorek wieczór będą na nich wyświetlać *Hannę i jej siostry*. Powiedziałaś, że to jeden z twoich ulubionych filmów, prawda? Możesz przyprowadzić też swojego sportowca. Masz kawałek papieru? - Wyciągnęłam w jego stronę dłoń, wierzchem do góry, a James wyjął z kieszeni długopis i zapisał mi na ręku potrzebne informacje.

Nie zamierzałam tam iść. Przez udział w przedstawieniu zrobiły mi się jeszcze większe zaległości w nauce, poza tym miałam księgę pamiętkową, a James nie wydawał się dobrym materiałem na chłopaka ani nawet przyjaciela, choć przecież wcale nie szukałam ani jednego, ani drugiego. Szczerze mówiąc, tamtego wieczoru przed pójściem spać próbowałam zmyć notatkę z dłoni, ale długopis Jamesa zostawił na mojej skórze naprawdę trwałą ślad. Nadszedł wtorek, a ja w dalszym ciągu widziałam dające się odczytać pozostałości, więc ostatecznie pomyślałam, że co mi szkodzi.

Tata zawiózł mnie na miejsce i powiedział, żebym do niego zadzwoniła, kiedy skończy się film. To była prawdziwa udręka - nie móc samemu nigdzie pojechać, ale aż do lata nie miałam czasu, by zapisać się na lekcje jazdy.

Wyglądało na to, że w projekcji wzięli udział wszyscy starsi mieszkańcy Tarrytown. Widziałam ten film już wcześniej, więc nie musiałam się zbytnio koncentrować, i bardzo dobrze, bo seniorzy robili sporo hałasu, odwijając cukierki z papierków i szepcząc do siebie co chwilę. Zaczęłam rozmyślać o ostatnim razie, kiedy oglądałam ten film z mamą. W jej ulubionej scenie mężczyzna prosi bohaterkę (nie Hannah, tylko jedną z sióstr), żeby przeczytała pewną stronę w książce, ponieważ znajduje się na niej fragment wiersza przypominający mu o niej. Ów wers brzmiał: „Nikt, nawet deszcz, nie ma równie miękkich dłoni”, czy coś w tym rodzaju, i zawsze doprowadzał mamę do łez. Zastanawiałam się, czy Nigel mówił jej takie rzeczy i czy właśnie dla takich słów zostawiła tatę.

Projekcja dobiegła końca i postanowiłam zaczekać na Jamesa, aż wyjdzie z operatorskiej dziupli. Tak z czystej uprzejmości.

Kiedy wreszcie się pojawił, zapytał, jak oceniam film.

Chyba w dalszym ciągu byłam pod mocnym wrażeniem wspomnień o mamie, ponieważ opowiedziałam Jamesowi wszystko -o tacie, mamie i

Nigelu. O tym, jak żałowałam, że mama nie widziała sztuki, ponieważ naprawdę lubiła przedstawienia. O tym, że chciałam się z nią zobaczyć, ale nie wiedziałam, jak to zrobić bez wielkiego halo. O strasznym wyzwisku, jakim ją ostatnim razem obrzuciłam...

- To wszystko bez znaczenia. Jeśli chcesz się z nią spotkać, powinnaś tam pojechać. Po prostu to zrób. Nie czekaj. - James wszedł mi w słowo, przerywając tę lawinę żalu. Potem zaczął opowiadać o swoim bracie, ale w pewnej chwili przerwał. - Och, na pewno nie chcesz słuchać tych wszystkich smętów. Ja sam nie mam już siły o tym mówić. Chrzanić przeszłość, mam rację?

Chrzanić przeszłość. Ucieszyłam się, słysząc te słowa z ust kogoś innego. Od razu zrobiło mi się lżej na sercu, tak jak wtedy, gdy obciąłam włosy.

Szare oczy Jamesa zaszły na chwilę mgłą, a później się roześmiał.

- Słuchaj, Naomi, od pewnego czasu chciałbym ci zadać pewne bardzo ważne pytanie - powiedział, a jego głos znowu nabrał powagi.

- Jakie?

Wyszczерzył zęby w zawadiackim uśmiechu.

- Co się stało z koszulą, którą ci pożyczyłem?

- Uprałam ją i wisi w mojej szafie - powiedziałam. - Pojedziemy po nią, jeśli chcesz.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, tata siedział w swoim gabinecie, pogrążony w pracy.

- Chcesz poznać mojego tatę? - spytałam szeptem.

- Już go poznałem - przypomniał mi James. - W szpitalu.

- Racja. Ale na pewno chciałby ci podziękować.

- Następnym razem - powiedział nieśmiało. - Niezbyt dobrze sobie radzę w kontaktach z rodzicami.

Zaprowadziłam Jamesa do swojego pokoju i odszukałam jego koszulę głęboko w szafie. Kiedy mu ją podawałam, musnęłam palcami jego przedramię, ale chyba tego nie zauważył.

- Dzięki — powiedział.

Staliśmy oboje w drzwiach mojej szafy, a właściwie garderoby. James rozejrzał się po niej i zapytał:

- A cóż to takiego? - Wskazał na stertę bryków leżących na górnej półce.

- Wiem, co sobie myślisz. Skandal. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że nie pamiętam momentu ich kupowania.

James odłożył koszulę i sięgnął po leżący na wierzchu sterty zeszyt.

- *Rzeźnia numer pięć*. Na litość boską, kto kupuje streszczenie *Rzeźni numer pięć!*

- Najwyraźniej dziewczyny takie jak ja.

- Czyli ich najgorszy rodzaj - stwierdził James. Sięgnął po koszulę i odwrócił się, żeby wyjść z garderoby.

Przez te wszystkie miesiące, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania, James miewał zmienne nastroje, więc nie wiem, co mnie opętało, żeby się zachować tak, jak to zrobiłam za chwilę. Podobno ludzie po urazach mózgu czasami miewają dziwne wybuchy emocji i chyba tak właśnie było ze mną.

- Czy pamiętasz, o co mnie zapytałeś w szpitalu? Nie odpowiedział.

- Kiedy do sali wszedł mój tata? W dalszym ciągu milczał.

- O pocałowaniu mnie, gdybyś miał na to zgodę?

- Mhm - powiedział cicho. - Pamiętam.

- Cóż, dostałbyś ją. - Wzięłam głęboki oddech, a później dodałam: — Nie spotykam się już z Aceem.

Chwycił moją dłoń i zapytał:

- Myślisz, że o tym nie wiem, Naomi?

A później pocałowałam Jamesa, albo to on pocałował mnie.

(Jak ocenić, kto zaczął?)

Później pocałowałam Jamesa jeszcze raz albo on znowu pocałował mnie.

(Skoro nie wiadomo, kto zaczął, ciężko stwierdzić, co było potem). I ja, i on, i on, i ja.

(Już zawsze będę pamiętać, że smakował papierosami i czymś ulotnie słodkim, czego nie potrafiłam zidentyfikować). *Ijaionionija*.

Pewnie trwałoby to bez końca, gdyby do drzwi mojej sypialni nie zapukał tata.

— Skarbie?

James i ja odskoczyliśmy od siebie.

— Nie wiedziałem, że masz gościa — powiedział tata.

— Właściwie to nie mam. James tylko po coś wpadł i nie chciałam ci przeszkadzać, na wypadek gdybyś pracował. Poznałeś Jamesa w szpitalu, pamiętasz? - Trajkotałam jak nakręcona. Chociaż nic takiego nie robiliśmy, wiedziałam, że mam ten pocałunek wypisany na twarzy. I z jakiegoś powodu nie mogłam przestać się uśmiechać.

Tata kiwnął głową w roztargnieniu.

— No tak, cześć. - Wyciągnął rękę, by uścisnąć dłoń Jamesa. —
Dzięki za pomoc, synu.

James odwzajemnił uścisk.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Cóż, mam już koszulę.
-Wyciągnął ją przed siebie, chyba tylko przez wzgląd na tatę. — Będę się zbierał. Do zobaczenia w szkole, Naomi.

— Odprowadzę cię — powiedziałam. Kiedy szliśmy razem do drzwi, szepnął:

— Będziesz miała kłopoty?

— Mój tata jest fajny. — I tak było mi wszystko jedno. — Zresztą zawsze, gdy złamię którąś z jego zasad, mogę to zwalić na amnezję.

— Tak jak w przypadku bryków - zauważył James. -Ale...

- Nie wypieraj się, Naomi. Amnezja to doskonała wymówka na każdą okazję. Obrabowałaś bank? „Ależ panie władzo, *nie pamiętałam*, że nie wolno napadać na banki”. Szkoda, że sam nie mogę jej czasem użyć.

- Na przykład kiedy? Uniósł brwi.

- W różnych sytuacjach. Głównie tych z przeszłości. Ale nigdy nie wiadomo, co może przynieść los.

Przy drzwiach znowu mnie pocałował.

Tata czekał na mnie w moim pokoju. Oczywiście chciał wiedzieć, czy spotykam się z Jamesem, ale sama nie byłam jeszcze tego pewna.

- Technicznie rzecz biorąc, nie.

- Ten chłopak jest bardzo przystojny i wygląda na starszego od ciebie. Żadna z tych cech nie podoba się zbytnio twojemu drogiemu, staremu ojcu. Zakładam jednak, że wiesz, co robisz.

Kiwnęłam głową.

- W każdym razie przyszedłem z tobą porozmawiać na temat wesela. - Miał na myśli swoje wesele. Swoje i Rosy Rivery. Powiedział, że mają zamiar urządzać je w hotelu na wyspie o nazwie Winnica Marty w drugi weekend czerwca. Będziemy tylko on i ja, Rosa Rivera wraz z córkami, siostrą i bratem, matka taty, czyli babcia Rollie, a także „ich osoby towarzyszące”. Powiedział też, że Rosa Rivera chciałaby zobaczyć mnie i swoje córki w roli druzhen. Pomysł wydał mi się idiotyczny.

- Ale tato, ja ledwie znam tę kobietę!

- Mogłabyś to zrobić dla mnie.

- Nie mówiąc już o tym, ilu zostanie normalnych gości weselnych, jeśli prawie każdy z nich będzie druhną?

- Przecież nie w tym rzecz, Naomi.

- Jeszcze niedawno ukrywałaś przede mną, że w ogóle masz dziewczynę, a teraz chcesz, żebym przyszła na twój ślub. To takie niespodziewane i niesprawiedliwe, i...

Wtedy przypomniały mi się słowa Jamesa: „chrzanić przeszłość”, które tak dobrze pasowały do mojej obecnej sytuacji. Wiązałam swoją przyszłość z Jamesem, tak samo jak tata z Rosą Riverą, i chrzanić wszystko to, co było przedtem. Zamierzałam się skupić na *teraz* i na *jestem*.

- Powiedz Rosie, że z przyjemnością zostanę jej druhną.

Warto było powiedzieć te słowa chociażby po to, by zobaczyć zaskoczoną minę taty.

- Wydawało mi się, że będę cię musiał długo przekonywać, ale najwyraźniej się pomyliłem. Nie zrozum mnie źle, bardzo się cieszę, ale skąd ta nagle zmiana decyzji?

Czułam się tak beztroska i szczęśliwa, że pocałowałam tatę w policzek.

- Och, tato, a co za różnica? Po prostu ją zaakceptuj.

Rozległ się dźwięk telefonu. Byłam pewna, że dzwoni Will, więc powiedziałam tacie, że muszę odebrać. W odpowiedzi tylko kiwnął głową. Widziałam, że ciągle jest oszołomiony moją nieoczekiwaną zmianą frontu. W duchu obiecałam sobie, że częściej będę mu robić takie niespodzianki.

- Twój głos brzmi inaczej niż zwykle - odezwał się Will sceptycznie. — Jest pełen... sam nie wiem czego.

Roześmiałam. Coraz bardziej lubiłam być nieprzewidywalna, tajemnicza.

- To przez tego łobuza Jamesa - powiedział tylko Will.

Nie miałam pojęcia, jak się tego domyślił. Słowem nie wspomniałam mu o Jamesie od dnia, kiedy podwieźliśmy go do domu.

- W pewnym sensie - przyznałam. - Jak na to wpadłeś?

- Mam oczy, Szefowo. Widziałem wasze przedstawienie. Czytałem program. Jeśli się zakochałaś, to się cieszę. Nie musisz niczego ukrywać. Ten facet bez wątpienia wydaje się o wiele ciekawszy niż Zuckerman.

- Nie zakochałam się - powiedziałam wreszcie. - Po prostu go lubię.

- A te plotki na jego temat... Weszłam mu w słowo.

- Guzik mnie one obchodzą. To już przeszłość. - Tak właśnie brzmiała moja nowa filozofia. Jak mogłoby być inaczej?

- Słyszałem, że był kiedyś uzależniony od leków, wyrzucili go z dawnej szkoły i odesłali do...

- Nie słyszałeś, co powiedziałam? Nie dbam o to.

- Wcale nie rozsiewam plotek - powiedział Will. - Troszczyć się tylko o swoją przyjaciółkę. Osobiście uważam, że zawsze lepiej wiedzieć więcej niż mniej. Nie mówię, że powinnaś słuchać tych bredni, które wygadują dzieciaki w szkole, ale może warto byłoby zapytać Jamesa...

- Chryste, Will, czy mógłbyś przestać zachowywać się jak stary zgred? Zrzedzisz gorzej od mojego taty - wybuchłam. - Nawet nie byłam z Jamesem na randce.

- Przepraszam - powiedział chłodno.

- A właściwie po co dzwonisz? - Znowu na niego naskoczyłam.

- Zapomniałem - odparł po chwili. - Do zobaczenia w szkole. - Odłożył słuchawkę.

Gdy zastanawiałam się nad tym, jak kurczowo Will trzyma się przeszłości, podczas gdy ja potrzebuję się skoncentrować na chwili obecnej, mój telefon znowu się rozdzwonił. Nie rozpoznałam numeru, ale i tak odebrałam.

To był James.

- Miałaś przeze mnie kłopoty?

- Nieszczególnie.

- To dobrze, bo chciałbym cię gdzieś zabrać w sobotę.

Tego dnia wypadały moje siedemnaste urodziny. Miałam zamiar pójść z tatą na kolację, ale zawsze mogłam to odwołać. Ciągle przecież jadaliśmy razem kolacje.

- Niezły plan - powiedziałam.

Tata dał mi prezent tuż przed godziną, o której umówiłam się z Jamesem.

W tym roku książka od niego miała puste strony. Okładkę wykonano z miękkiego zamszu, ze skórzanym paskiem umożliwiającym zamknięcie. Krawędzie stron były pozłacane. W środku widniała dedykacja: „Spisz swoje życie. Tata”. Z wielu rozmaitych powodów poczułam się urażona jego prezentem i przez chwilę zastanawiałam się, czy go nie wyrzucić, lecz w końcu postanowiłam cisnąć brulion pod łóżko, by dzielił

towarzystwo z kurzem, skarpetkami nie do pary i innymi zagubionymi rzeczami.

- Nie podoba ci się? - spytał tata.

Wolałabym jakąś powieść. Wydaje mi się, że dawanie osobie z amnezją niezapisaną książki jest trochę w złym guście.

Oczywiście tylko chciałam mu tak odpowiedzieć. W rzeczywistości oznajmiłam:

- Jest ładna, ale chyba nie będę miała czasu, żeby w niej pisać. -To także była prawda.

Tata uśmiechnął się i powiedział:

- Będiesz miała na to i czas, i ochotę.

Uznałam, że to mało prawdopodobne. Pisanie zawsze kojarzyło mi się z patrzeniem w przeszłość, a tego z całych sił starałam się unikać. Kiedy jeszcze moi rodzice byli Wędrującymi Porterami, myślałam o lecie jako o czasie przeznaczonym do życia, reszta roku była zaś okresem cofania się, pisania.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Przyszedł James. Miał na sobie sztruksową marynarkę, zbyt cienką na tę porę roku. Był tak przystojny, że prawie ugięły się pode mną nogi. Do momentu, aż tamtego popołudnia zobaczyłam Jamesa, określenie „ugięły się pode mną nogi” nigdy nie przyszło mi do głowy, nie mówiąc już o tym, bym rzeczywiście mogła się tak poczuć.

Pachniał mydłem i tylko odrobinę papierosami. W dłoni trzymał zapakowaną płytę, którą mi podał.

- Skąd wiedziałaś, że są moje urodziny? - zapytałam.

- Nie wiedziałem. Płyta leżała pod drzwiami - wyjaśnił. - W takim razie wszystkiego najlepszego. Co to jest?

Rozerwałam papier.

- To tylko składanka od mojego przyjaciela. - Napis na płycie brzmiał: „*Piosenki dla nastolatki z amnezją, część 2: Ścieżka dźwiękowa do filmu. Najlepsze życzenia z okazji siedemnastych urodzin. Twój na zawsze wierny sługa, William B. Landsman*”. Nie było nawet listy na-

granych piosenek. Pewnie zabrakło mu czasu, by ją stworzyć. Odłożyłam płytę na stojącą w korytarzu ławkę.

- Możemy jej posłuchać w samochodzie - zaproponował James.

- OK. - Wzruszyłam ramionami. Will zwykle miał dobry gust muzyczny, a te piosenki i tak nic dla mnie nie znaczyły.

James włożył płytę do odtwarzacza w samochodzie, ale z głośników nie popłynął żaden dźwięk.

- Sprzęt jest stary i nie zawsze sobie radzi z płytami nagranyymi w domu. - Wyjął płytę i oddał mi ją. Zastanawiałam się, czy nie wyrzucić jej przez okno - w dalszym ciągu byłam wściekła na Willa za to, co powiedział wczoraj — ale ostatecznie schowałam ją do torebki.

James nie zdradził mi, dokąd jedziemy, a ja go o to nie zapytałam — zgodnie z moją nową życiową filozofią.

- Nie jesteś ciekawa, dokąd cię zabieram? - zapytał tym swoim głębokim głosem.

- Nie. Ufam ci.

Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. James obrócił głowę i wbił we mnie wzrok.

- Skąd wiesz, że można mi ufać?

- A skąd miałabym wiedzieć, że nie można? James niespodziewanie zjechał na sąsiedni pas.

- Jedziemy do Kalifornii, w tej chwili. Nawet nie mrugnęłam.

- Gdybym zawiózł cię teraz na lotnisko i kazał wsiąść na pokład samolotu do Kalifornii, zrobiłabyś to?

- A dlaczego nie?

- Niestety, zabieram cię tylko na kolację, Naomi. I może do kina. Gdybym wiedział, że masz dziś urodziny, zaplanowałbym coś bardziej ekscytującego.

Już samo przebywanie z Jamesem było ekscytujące. Podobało mi się, że jego przeszłość była równie tajemnicza co moja. I to, że w każdej chwili mógł zrobić coś całkowicie nieprzewidywalnego. Podobało mi się, że nie oczekuje ode mnie, bym zachowywała się w określony sposób. I to, że mi uwierzył, kiedy powiedziałam, że wsiadłabym na pokład samolotu i poleciała z nim do Kalifornii.

- Może kiedyś zabiorę cię do Kalifornii.

- A co tam jest?

- Fale takie, że głowa mała. Surfuję amatorsko i Atlantyk się do nich nie umywa — powiedział. - Mój lata też surfuje. Mieszka w Los Angeles.

- Stamtąd pochodzisz?

- Rzecz w tym, że pochodzę właściwie znikąd, wiesz, co mam na myśli?

Wiedziałam.

- Ale owszem, mieszkałem tam przez jakiś czas. Dopóki nie przeprowadziłem się tutaj, by zamieszkać z mamą, dziadkiem i... Chciałbym tam wrócić i pójść do szkoły. Marzą mi się studia filmowe na Uniwersytecie Kalifornijskim.

Już w drodze zaczął padać śnieg. Zanim skończył się film, miasto stało się zupełnie innym miejscem. Czułam się niemal tak, jakbym urodziła się na nowo, jakby to była pierwsza zima w moim życiu.

- Ciekawe, czy na schodach do szkoły napadało dostatecznie dużo śniegu, żeby można było z nich pojeźdzać — odezwał się James.

Zostawiliśmy samochód pod kinem i poszliśmy pod szkołę imienia Toma Purdue, odległą o jakąś milę. Zmarzłam na kość, ale nie przeszkadzało mi to. Założę się, że pogoda w Kratowie jest o wiele gorsza.

Przecieliśmy kampus i stanęliśmy przed wejściem do budynku szkoły, u podnóża schodów, całkowicie zaspanych śniegiem.

- To tutaj się poznaliśmy - zauważyłam.

- I pomyśleć, do czego jest zdolna dziewczyna, żeby poznać chłopaka - zażartował James z kamienną twarzą. - Potrzebujemy sanek.

- Skąd w tej chwili weźmiemy sanki? - zapytałam.

- Miałem na myśli tace ze stołówki, pokrywy od kosza na śmieci czy coś w tym rodzaju. Niestety, szkoła jest zamknięta.

Na szczęście jako szefowa redakcji książki pamiątkowej miałam klucze. Wbiegłam do środka i wypatrzyłam dwie plastikowe pokrywy, zaraz w korytarzu.

— Chodźmy - powiedziałam. Nie zwracałam sobie głowy tłumaczeniem Jamesowi, że ze względu na uraz powinnam unikać wszelkich sportów. Właściwie sama nie zwracałam na to teraz uwagi-

Podczas pierwszych kilku zjazdów nie potrafiłam przejąć kontroli nad swoimi „sankami” i szusowałam pod dziwnymi kątami. James był ode mnie lepszy. Pokazał mi, w jakiej pozycji ustawić tułów i plecy, żebym znalazła się pośrodku, pochylona do przodu. Kolejne próby były już o niebo lepsze.

— Komu potrzebny Pacyfik?! — krzyknął James. Zjeżdżaliśmy ze schodów aż do wpół do dwunastej. To było jak

wieczne odtwarzanie naszego pierwszego spotkania. Zjeżdżaliśmy tak długo, aż nie miałam już sił wdrapywać się na górę. Miałam rozpalone policzki, spierzchnięte usta, byłam przemoczona i oblepiona śniegiem. Ogarnęło mnie tak przenikliwe zimno, że całkiem przestałam je odczuwać. Leżałam w śniegu u podnóża schodów. Wydawało mi się, że zamieniam się w lodową istotę i jeśli na nowo zrobi się ciepło, rozpuszczę się i zniknę.

James jeździł jeszcze długo po tym, jak ja przestałam. Wspinał się na górę i zjeżdżał jeszcze pięć, sześć lub nawet więcej razy, zanim wylądował u moich stóp. Przez chwilę, która dłużyła się w nieskończoność, tylko mi się przyglądał.

— Kiedy tak tu leżysz, wyglądasz jak anioł — powiedział miękko. Milczałam.

— Najzabawniejsze jest to, że nie wierzę w anioły.

Podał mi dłoń i wróciliśmy do mojego domu, w jasnych od wszechobecnego śniegu, pierwszych godzinach niedzieli.

Kiedy dotarliśmy pod drzwi, pocałował mnie, i chociaż pora nie była najodpowiedniejsza na odwiedziny, wpuściłam go do środka. Tata wybrał się na randkę z Rosą Riverą i pewnie utknęli gdzieś we dwójkę, zasypani śniegiem. James zaczął się trząść prawie tak mocno jak ja. Przyniosłam mu więc trochę ubrań z szafy taty, żeby się przebrał.

- Kiedy wróci tata, poproszę go, żeby podwiózł cię do twojego samochodu.

James kiwnął głową i usiadł przy kuchennym stole.

- Siedemnaście lat — powiedział. - Ciągłe jesteś dzieckiem.

- Dlaczego? Ile ty masz lat?

- W lutym skończę dziewiętnaście.

- To nie tak dużo.

- Czasami czuję się strasznie staro - odparł. - Zimowałem jedną klasę.

— Wzruszył ramionami.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Słyszałam plotki na twój temat, wiesz?

- Naprawdę? Jakie?

Wymieniłam te najciekawsze: uzależnienie od leków, obsesja na punkcie jakiejś dziewczyny, wreszcie próba samobójcza i pobyt w szpitalu.

James przeczesał palcami włosy, nadal wilgotne od śniegu.

- To wszystko prawda. Technicznie rzecz biorąc, lekarstwa przepisał mi lekarz. Można też powiedzieć, że zabić próbowałem się dwa razy, ale właściwie wszystko się zgadza. Czy ma to dla ciebie znaczenie? - Jego głos brzmiał teraz inaczej. - Zastanów się. Zastanów się, zanim odpowiesz. Zrozumiem, jeśli będzie miało.

- Nie ma - odparłam.

- Powiedziałbym ci, ale to nie jest coś, o czym lubię rozmawiać na początku znajomości. Zresztą później też nie, a poza tym... - Twarz miał zwróconą w stronę okna, ale widziałam, że tak naprawdę mi się przypatruje. - Chciałem, żebyś mnie polubiła.

- Dlaczego?

- Sprawiałaś wrażenie osoby, przez którą miło jest być lubianym. Od dawna nie myślałem o nikim w ten sposób.

Objęłam go ramieniem. Przez długi czas żadne z nas się nie poruszyło ani nie odezwało.

- Mógłbym teraz wyjść - powiedział - a później zaczęlibyśmy wszystko od tego miejsca. Może zostalibyśmy przyjaciółmi?

Ujęłam w dłonie jego twarz i powiedziałam, że nic z tego, co powiedział, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

I wtedy zaczął mówić. Opowiedział mi o wszystkim. Jak na faceta, który „chrzanił przeszłość”, sporo się u Jamesa wydarzyło.

Wszystko zaczęło się w roku, gdy jego brat zmarł na raka płuc. James miał wtedy piętnaście lat, a Sasha osiemnaście — prawie tyle samo co James teraz.

W noc poprzedzającą pogrzeb Sashy James połknął całą fiolkę leków, które przepisano kiedyś jego bratu. Wszyscy myśleli, że próbował się zabić, ale tak nie było. Potrzebował tylko czegoś, co pomogłoby mu przespać noc. James wyznał mi, że kiedy miał w żołądku pigułki brata, w niewytłumaczalny sposób czuł się bliżej Sashy.

Jamesa znalazła mama i zawiozła go do szpitala na płukanie żołądka. Dostał skierowanie do lekarza, który przepisał mu pierwsze anty-depresanty. Miał iść na terapię, ale nigdy tego nie zrobił. Leki mieszały mu w głowie, wprawiały w rodzaj otępienia, co bardzo Jamesowi pasowało.

Przez pewien czas sprawy układały się dobrze, a przynajmniej nie tak źle. Lecz później James skończył szesnaście lat i poznał Serę. Powiedział, że wyznali sobie miłość, lecz z perspektywy czasu wie, że wcale się nie kochali. To była prędzej szczenięca fascynacja.

W pewnym momencie James zorientował się, że leki przestały działać. Ciągłe był zdenerwowany. Dzieciaki w szkole krzywo na niego patrzyły i pewnie także obgadywały. Pewnego dnia obrzucił jednego z nauczycieli wyzwiskami. Sera z nim zerwała.

Przestał brać leki w nadziei, że dziewczyna do niego wróci, lecz ona zaczęła się spotykać z innym facetem.

Pewnego wieczoru zakradł się do jej pokoju przez okno. Nie zastał jej. Podobno czuł się tak samotny, że chciał tylko otoczyć się przedmiotami należącymi do Sery. Zobaczył leżący na biurku scyzoryk i nagle uznał podcięcie sobie żył za doskonały pomysł.

Później świat zasnuła mgła.

W szpitalu dowiedział się, że znalazła go matka Sery. James w dalszym ciągu ma z tego powodu wyrzuty sumienia. Powiedział, że mama Sery była sympatyczną kobietą. Zresztą podobnie jak jej córka. James rozumiał, że za nic nie ponosiła winy.

Został odesłany na Wschodnie Wybrzeże, gdzie mieszkała jego mama. Przez sześć miesięcy przebywał w ośrodku, o czym nie lubił opowiadać. Kiedy z niego wyszedł, rodzice powiedzieli mu, że może wrócić do swojej dawnej szkoły, ale James nie widział w tym większego sensu. Miał już osiemnaście lat, zaważył rok, a wszyscy, którzy go pamiętali w dawnej szkole, uważali go za wariata.

Wtedy właśnie James poznał mnie. Tamtego dnia znalazł się w szkole tylko po to, by podrzucić do sekretariatu swoje dawne świadectwa. Nie miał zamiaru ani ochoty nawiązywać nowych znajomości. Gdyby nie zatrzymał się na papierosa, w ogóle by mnie nie poznał. Poklepał kieszeń, w której trzymał papierosy. „Zawsze wiedziałem, że przyniosą mi zgubę”. Uśmiechał się, gdy to mówił.

Nagle jego opowieść przerwał dzwonek mojego telefonu. Dzwonił tata, by powiedzieć mi, że z powodu śnieżycy zostanie na noc u Rosy Rivery.

- Mój tata nie może dzisiaj wrócić - poinformowałam Jamesa, gdy skończyłam rozmowę.

- W takim razie powinienem pójść piechotą. Nie chcę, żeby mama się o mnie martwiła.

- Zadzwoń do niej - poradziłam mu. - Powiedz, że zatrzymasz się na noc u przyjaciół.

- Ja nie kłamię - odparł, kręcąc głową.

- Chcesz powiedzieć, że nie jesteśmy przyjaciółmi?

- Chcę powiedzieć, że jesteśmy kimś więcej niż tylko przyjaciółmi.

- Mimo wszystko nie możesz wyjść w taką pogodę.

- Mama się o mnie martwi - powtórzył. Zachowywał się tak samo jak tamtego dnia, kiedy nie chciał się zgodzić na podwiezienie sa-

mochodem Willa, chociaż lało jak z cebra — zdecydowanie, wręcz masochistycznie uparł się, że pójdzie do domu. Jedyne, co mi zostało, to stać w oknie i patrzeć, jak znika w śnieżnej zamieci.

Ze wszystkich głupich rzeczy, które można było zawalić, zawałam fotografię.

Ostatniego dnia zajęć przed Świętem Dziękczynienia pan Weir kazał mi zostać po lekcji. Wiedziałam, o czym chce ze mną rozmawiać. W dalszym ciągu nie zgłosiłam propozycji tematu swojego projektu, a upłynęło już ponad pół semestru. Większość warsztatów przebiegała bardzo luźno - pan Weir pokazywał nam slajdy przedstawiające prace słynnych fotografów, takich jak Doisneau czy Mapplethorpe, a później o nich dyskutowaliśmy. Przez resztę zajęć komentowaliśmy swoje prace, chociaż przez cały semestr nie przyniosłam niczego, co można by było skomentować. Za każdym razem, gdy pan Weir pytał mnie o temat projektu (czyli mniej więcej raz w tygodniu), wymyślałam coś na poczekaniu. Charakter zajęć sprawiał, że obijanie się uchodziło mi na sucho.

Tamtego dnia Pan Weir wręczył mi świstek papieru.

- Przykro mi, że muszę to zrobić tuż przed świętami, Naomi - powiedział. - Otrzymuje to każdy, komu grozi na semestr ocena mierna lub niedostateczna. Wymagany jest podpis rodzica.

- Ale panie Weir, myślałam, że ocena zależy od tego jednego dużego projektu.

- Właśnie. I dlatego wręczam ci to teraz. Nadal masz czas, żeby go zrealizować.

James czekał na mnie pod salą pana Weira.

- Nie potrzebujesz przypadkiem podwiezienia? - zapytał.

- Mam spotkanie redakcyjne.

- Musisz na nim być? - nie ustępował James. - Wszyscy już pojechali na święta.

Szczerze mówiąc, byłam zavalona robotą związaną z księgą pamiątkową, nie wspominając o tym, że Will i tak był już na mnie wściekły. Wszystko zaczęło się tuż po moich urodzinach.

- Dostałaś moją składankę? - zapytał.

- Którą?

- Tę z okazji twoich urodzin.

- Tak, ale nie miałam czasu, żeby ją przesłuchać.

- Cóż, to nieuprzejme — powiedział wreszcie. — Poświęciłem na nią mnóstwo czasu.

Pomyślałam sobie wtedy: *Ile czasu mógł na nią poświęcić? Ten dzieciak daje mi składankę praktycznie co tydzień.* Od tamtej pory między mną a Willem wiało chłodem, a ja nie miałam czasu, by się tym zająć.

- Może wyskoczmy na kawę, zanim pójdziesz do redakcji? - zaproponował James. - Odwiozę cię o wpół do czwartej, słowo.

Miał na sobie czarny wełniany płaszcz, w którym wyglądał wyjątkowo smukło i przystojnie. Niektórym dziewczynom podobają się garnitury i smokingi, a ja uwielbiam, kiedy facet ma na sobie porządnie skrojony płaszcz. Wiedziałam, że nie zdołam mu się oprzeć. Poza tym po rozmowie z panem Weirem naprawdę musiałam się wyrwać ze szkoły.

Pojechaliśmy do centrum. James zamówił filiżankę czarnej kawy, a ja szklankę soku pomarańczowego. Później zabraliśmy swoje napoje i poszliśmy na spacer główną ulicą miasta. Chociaż dzień był szary i wilgotny, przebywanie na dworze, zamiast w redakcji - gdzie każda cząstka mnie sprawiała wrażenie wyschniętej i zmęczonej, a dłonie były zawsze naznaczone dokuczliwymi rankami zadanymi przez papier - sprawiało mi wielką przyjemność.

- Nie chce mi się wracać do redakcji - wyznałam.

- Więc nie wracaj - odparł James.

- Nie chodziło mi tylko o dzisiejszy dzień. Nie chcę tam już nigdy wracać.

- Więc nie wracaj - powtórzył.

- To nie jest takie proste - powiedziałam. — Zespół na mnie liczy.

- Szczerze mówiąc, Naomi, to tylko głupia szkolna księga pamiątkowa. Kilka zdjęć i okładka. Każdego roku na całym świecie powstają ich miliony. Chodziłem do trzech różnych szkół i za każdym razem roczniki wyglądały mniej więcej tak samo. Wierz mi, księga pamiątkowa zostanie wydana i bez twojej pomocy. Znajdą sobie kogoś na zastępstwo.

Nie odpowiedziałam. Myślałam o tym, że jeśli rzucę pracę w redakcji, zyskam mnóstwo czasu na inne rzeczy: szkołę, warsztaty fotograficzne, z których nie mogłam już zrezygnować, terapię. I Jamesa, rzecz jasna.

- Już wpół do czwartej - odezwał się James po upływie jakichś dziesięciu minut.

Zadecydowałam, że chcę jeszcze pospacerować, i tak właśnie zrobiliśmy. Nie rozmawialiśmy wiele: poza innymi swoimi zaletami James był dobry w zachowywaniu milczenia.

Podwiózł mnie pod szkołę około piątej.

Ponieważ był to ostatni dzień przed rozpoczęciem świąt, wiedziałam, że większość dzieciaków opuści redakcję wcześniej. Oczywiście z wyjątkiem Willa.

Od samego początku moja rozmowa z Willem nie ułożyła się pomyślnie. Staralam się być miła. Próbowałam mu wytłumaczyć, że potrzebuję więcej czasu na naukę i warsztaty fotograficzne. Usiłowałam powiedzieć, że doskonale poradzi sobie ze wszystkim sam, zresztą tak jak do tej pory. Will nie chciał tego słuchać i wkrótce zaczęłam się powoływać na argumenty Jamesa, które przed kilkoma godzinami, w świetle dnia, wydawały mi się słuszne.

- To tylko głupia księga pamiątkowa.

- Nie myślisz tak!

— To tylko parę zdjęć i okładka.

— Nie, to nie w porządku.

— Powiedziałeś, że zrozumiesz, jeśli będę musiała zrezygnować!

— Mówiłem to z grzeczności! — Milczał przez chwilę. — Czy powodem twojej decyzji jest James?

— Nie, po prostu od pewnego czasu nie jestem szczęśliwa w redakcji. Will unikał mojego wzroku.

— Co on takiego w sobie ma? Wy tłumacz mi.

— Nie muszę się przed tobą tłumaczyć, Will.

— Naprawdę chcę wiedzieć, co on w sobie ma. W moich oczach jest tylko humorzastym gościem z mydlanej opery.

-Kim?

— Dobrze słyszałaś. Ciągle tylko wałęsa się bez celu z tą swoją chmurną miną i wymuskanymi włosami. O co on się tak bez przerwy wścieka?

— Tak dla twojej wiadomości, choć nie powinieneś wtykać nosa w cudze sprawy, zmarła mu bliska osoba.

— Byłem z wami, kiedy o tym opowiadał, pamiętasz?! Hej, urządzmy z tego powodu cholerną paradę dla Jamesa. Mnóstwo ludzi straciło bliskie osoby, Naomi. Założę się, że w każdej rodzinie na tym parszywym świecie ktoś umarł. Ale nie każdego stać na to, by ciągle coś przez to zawałać. Nie wszyscy mogą sobie pozwolić na luksus czegoś tak kwintnego jak depresja.

— Zachowujesz się jak frajer. Atakujesz Jamesa tylko dlatego, że nie chcę redagować twojej książki!

— Naprawdę wydaje ci się, że go kochasz? — roześmiał się Will. — Bo jeśli tak, to chyba ten upadek pozbawił cię czegoś więcej niż tylko pamięci.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Mówię, że postępujesz głupio. Naomi, jaką znałem, wywiązywała się ze swoich obietnic.

— Zrozum to wreszcie: już nią nie jestem. Nie jestem Naomi, którą kiedyś znałeś.

— Co ty powiesz! — krzyknął. — Naomi, którą znałem, nie była samolubną flądą!

— Nienawidzę cię — powiedziałam.

— I dobrze. Ja też cię nie-nie-nie... I bardzo dobrze! Zaczęłam się zbierać do odejścia.

— Zaczekaj... Odwróciłam się.

— Jeśli naprawdę odchodzisz, musisz mi zwrócić klucze do redakcji.

Wyjęłam je z plecaka i rzuciłam Willowi w twarz.

Czasami sprawy przybierają niespodziewany obrót. Poszłam tam tylko po to, by zakończyć współpracę z redakcją książki pamiątkowej, a skończyło się zerwaniem mojej przyjaźni z Willem. Może byłam naiwna, sądząc, że uda mi się tego uniknąć.

Przed szkołą czekał na mnie James.

— Pomyślałem, że przyda ci się podwiezienie — powiedział.

— Ale nie do domu. Zabierz mnie tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłam.

Pojechaliśmy na Cmentarz Jeźdźca Bez Głowy. Dziwne miejsce na randkę, ale nic na to nie powiedziałam.

— Chciałbym ci pokazać pewien grób — powiedział James.

— Byłeś już tutaj? James kiwnął głową.

— Odwiedziłem już wiele cmentarzy. Razem z Serą wybraliśmy się kiedyś na grób Jima Morrisona w Paryżu, widzieliśmy też grób Oscara Wilde'a na Pere-Lachaise. Pomnik Jima Morrisona pokrywały ślady uszminkowanych ust.

— Dlaczego odwiedziłeś je wszystkie? — zapytałam.

— Cóż... to chyba przez śmierć mojego brata. Lubiłem myśleć o innych ludziach, którzy umarli tak jak on. Czułem się mniej samotny, wiedząc, że jest ich więcej niż nas, Naomi.

Zabrał mnie na grób Washingtona Irvinga, który opisał historię Jeźdźca Bez Głowy w *Legendzie o Sennej Kotlinie*. Nie wiem, z jakie-

go rodzaju kamienia wykonano jego pomnik, lecz upływ czasu sprawił, że stał się zupełnie biały. Nagrobek był tak wytarty, że ledwie zdołałam odczytać wygrawerowane na nim nazwisko pisarza oraz datę jego urodzenia i śmierci.

- Najstynniejsi ludzie zwykle nie umieszczają na swoich grobach epitafiów — zauważył James. — Ja też tak zrobię.

- Zastanawiałeś się już nad tym?

- Odrobinę - odparł z szelmowskim uśmieszkiem. Przyjemnie było na tym cmentarzu. Cisza. Pustka i jednocześnie

jej brak. W tym miejscu naprawdę można było zapomnieć o wielu sprawach. Ciszę przerwało nagle brzęczenie mojej komórki. Dzwonił Will. Wyłączyłam telefon.

- Ta historia przywodzi mi na myśl ciebie - powiedział James.

Nie przyjął tego jako komplement. Czytaliśmy *Legendę o Sennej Kotlinie* na zajęciach pani Landsman, w okolicach Halloween. Była to już tradycja w Tarrytown, gdzie rozgrywa się akcja opowieści (choć w książce chodziło o Północne Tarrytown). Legenda opowiadała o „duchu heskiego kawalerzysty, któremu wystrzał z armaty urwał głowę podczas którejś z bitew wojny o niepodległość”. Podobno od tamtej pory widywano go nocą, krążącego wokół pola bitwy w poszukiwaniu swojej głowy.

- Myślisz o mnie jako o jeźdźcu bez głowy? - zdziwiłam się.

- Myślę o tobie jako o osobie poszukującej - odparł James.

- Co masz na myśli?

James stał za moimi plecami i teraz oplótł mnie ramionami.

- Myślę o tobie jako o kimś, kto musi sobie wszystko na nowo układać, i to w bardzo trudnych okolicznościach. I chociaż się w tobie zakochuję, myślę, że stanę się w tym poszukiwaniu zaledwie krótkim rozdziałem. Chcę, żebyś była tego świadoma.

Po raz pierwszy mówił o „zakochiwaniu się” i chyba powinnam się z tego cieszyć. Jednak to, że nie użył słowa „kocham”, odebrało jego wypowiedzi nieco splendoru. Zapytałam go, co tak naprawdę chciał mi powiedzieć.

— Wiedz, że niczego od ciebie nie oczekuję. — James chwycił moją dłoń i odwrócił mnie tak, byśmy mogli spojrzeć sobie w oczy. — Muszę

brać leki, żeby zachowywać się spokojnie, ale ty działasz na mnie pobudzająco. Martwi mnie to. Martwię się o ciebie. Właśnie dlatego z tym walczyłem. Z tobą. Z nami. Nie jestem nawet pewien, czy mam do siebie zaufanie, ale... Gdyby sprawy przybrały zły obrót... To znaczy, gdybym ja zaczął zachowywać się źle, chcę, żebyś ze mną zerwała. Nie będę o ciebie walczył, przyrzekam.

— A jeśli ja będę walczyła o ciebie? Mam chyba do tego prawo? — zapytałam.

James pokręcił głową.

— Obiecuj mi, że tego nie zrobisz.

— Nie mogę ci tego obiecać.

— Musisz, w przeciwnym razie nie możemy być razem. Przysięgam na Boga, że zakończę nasz związek tu i teraz. Jeśli znowu zachoruję, nie chcę, żebyś mnie odwiedzała ani nawet zaprzętała sobie mną głowę. Chcę, byś wtedy zapomniała o tym, że kiedykolwiek się poznaliśmy. Zapomniała o mnie.

Wiedziałam, że to niemożliwe, ale dałam Jamesowi słowo, krzyżując jednocześnie palce za plecami.

Święto Dziękczynienia spędziłam z tatą. Rosa Rivera pojechała do Bostonu, by być w tym dniu ze swoimi dwiema córkami. James również wyjechał do Bostonu, żeby spotkać się z ojcem.

Tata ugotował o wiele za dużo jedzenia - skubnęliśmy z niego tyle co nic, a resztę zawiózł do miejscowego banku żywności.

Po południu, kiedy taty nie było w domu, na moją komórkę zadzwoniła mama. Od września ignorowałam jej wiadomości — każdego tygodnia zostawiała aż trzy — ale w te święta miałam kiepski humor, więc postanowiłam odebrać.

— Cześć — powiedziałam.

— Naomi. — Była wyraźnie zszokowana tym, że z nią rozmawiam.

— Właśnie miałam zostawić ci wiadomość.

- Mogę się rozłączyć, jeśli chcesz. Przez chwilę milczała.

- Co u ciebie?

- Wszystko dobrze - odparłam.

- Dostałaś płaszcz, który wysłałam ci na urodziny?

- Właśnie mam go na sobie. - Płaszcz był czerwony, z kościanymi guzikami i kapturem. Czułam się w nim jak Czerwony Kapturek, ale przynajmniej było mi ciepło.

- Twój tata lubi, kiedy w domu jest chłodno.

- Powoli się od tego odzwyczajają. To nie jego wina, tylko moja. Ciągłe mi zimno.

- Wiem. Tata mi powiedział.

- Powinam już kończyć. Mam trochę nauki.

- W porządku. Kocham cię, Naomi.

- Muszę już kończyć.

- OK. Och, zaczekaj, właściwie dzwonię w pewnej sprawie... -Tak?

- Tata powiedział, że masz jakiś problem związany z fotografią. Mogłabym ci pomóc. Wiesz, że się tym zajmuję.

- To żaden kłopot. Po prostu muszę złożyć pewien projekt. Ja... naprawdę muszę już kończyć.

- Dziękuję, że odebrałaś - powiedziała.

Pożegnałyśmy się i odłożyłam słuchawkę. Nie potrzebowałam jej cholernej pomocy. Bez przerwy szukała sposobów, by wślizgnąć się z powrotem do mojego życia.

A jednak zastanawiałam się...

Skoro przebaczyłam tacie kłamstwo w sprawie Rosy Rivery, dlaczego nie mogłam się zdobyć na choćby połowiczne pojednanie z mamą?

Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, nie byłam nawet pewna, dlaczego jestem z nią skłócona. Owszem, znałam powody, ale sam konflikt między nami nie był dla mnie niczym więcej jak tylko zasłyszana od innych historia.

Zastanawiałam się, czy nie oddzwonić do niej, kiedy do domu wrócił tata.

Włączył telewizor i zaczął oglądać program o surykatkach.

- Surykatki - mówił narrator - to jedne z niewielu ssaków poza ludźmi, które uczą swoje młode. Proszę zobaczyć, w jaki sposób dorosły osobnik uczy swoje młode, jak usunąć skorpionowi kolec jadowy.

- Słodkie, prawda? - odezwał się tata.

- A czego ty mnie zamierzasz nauczyć? — zapytałam. Zaczęły się reklamy i tata wyłączył dźwięk w telewizorze.

- Niestety, twój staruszek nie posiada zbyt wielu umiejętności. Wiem co nieco na temat gotowania i podróży. I bardzo niewiele na temat pisarstwa i zwierząt, ale poza tym chyba lepiej byś wyszła, mając za nauczyciela surykatkę zamiast mnie.

Obejrzelśmy jeszcze trzy programy przyrodnicze pod rząd — jeden o pandach (z wyglądu śliczne, z zachowania strasznie frajerskie), drugi o orłach, a trzeci o rysiach. Ten, który właśnie oglądaliśmy, nosił tytuł *Dziesięć najbardziej cuchnących zwierząt świata*. Idealnie trafiał w gusta taty, łączył w sobie bowiem sporządzanie list i tematykę przyrodniczą.

Podczas kolejnej przerwy na reklamę zapytałam tatę:

- Czy tak właśnie spędzałeś większość wolnego czasu, zanim spotkałeś Rosę Riverę?

Ponownie wyłączył dźwięk.

- Tak, przez chwilę nie najlepiej sobie radziłem - przyznał. Zastanowiłam się nad tym, co powiedział.

- Jaki jest mąż mamy? — zapytałam nagle. Tata pokiwał głową w zamyśleniu.

- Zajmuje się renowacją budynków. Miły facet, jak sądzę. Przystojny. Pewnie znalazłoby się wiele osób zachwyconych nim bardziej niż ja.

-A Chloe?

- Podobno bardzo mądra, ale ty też taka byłaś. Cass i ja uważaliśmy cię za najfajniejsze dziecko na świecie, wiesz? To, że ktoś zostawił

cię w tej walizce po maszynie do pisania, uznawaliśmy zawsze za wielkie szczęście.

Kiwnęłam głową.

— Will do nas dzisiaj wpadnie? — zapytał tata.

- Nie. - Nie powiedziałam tacie o tym, że zrezygnowałam z pracy w redakcji, ani o naszej kłótni.

- Nie spędzasz z nim tyle czasu co dawniej - zauważył tata.

— Nasze drogi chyba się rozeszły — odparłam.

- To się zdarza. Ale to dobry dzieciak. Odkąd zmarł jego ojciec, troszczy się o swoją mamę. Ciężko pracuje. Zawsze był wobec ciebie lojalny.

— Tata Willa nie żyje? — zdziwiłam się. Nigdy mi o tym nie powiedział.

- Tak, właśnie dlatego przeprowadzili się do Tarrytown. Jego matce zależało na porządnej szkole, w której Will będzie mógł się uczyć za darmo w zamian za to, że ona zostanie w niej nauczycielką.

Kiwnęłam głową.

Program ponownie się zaczął i tata włączył dźwięk.

Ponieważ było Święto Dziękczynienia, zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Willa i się z nim nie pogodzić, ale jakoś nie mogłam się do tego zmusić. Rany po naszej kłótni jeszcze się nie zabiły. Poza tym uważałam, że Will zrobił mi większą przykrość niż ja jemu.

Kiedy James wrócił w sobotę po południu, oznajmił mi, że ma pomysł na temat mojego projektu fotograficznego. W domu swojego taty w Kalifornii znalazł mnóstwo starych aparatów. Zapytał go, czy może je sobie wziąć, a jego tata zgodził się, bo co komu po starych aparatach fotograficznych. Właściwie miał z nimi same kłopoty — nie chciał ich wyrzucać ze względu na domniemaną wartość, więc w gruncie rzeczy tylko zajmowały u niego miejsce.

— Projekt ma przedstawiać osobistą historię, tak? — zapytał James. - Mój pomysł jest taki, żebyśmy poszli na schody prowadzące do szkoły ze starymi aparatami mojego taty, a później zrzucili je stamtąd, naśladując podróż, jaką sama przebyłaś od momentu wypadku. Aparat powinien wykonać zdjęcie, spadając lub w momencie zderzenia z podłożem. To

będzie ćwiczenie z perspektywy. Czy coś takiego mogłoby się spodobać panu Weirowi?

- Brzmi idealnie.

- W takim razie będziemy potrzebowali więcej aparatów — zauważył James.

W niedzielę rano ruszyliśmy na poszukiwania tanich aparatów, które moglibyśmy zrzucić ze schodów. Najpierw zajrzeliśmy do miejscowej drogerii, gdzie kupiliśmy pięć jednorazowych aparatów różnych firm za około dziesięć dolców od sztuki i piętnaście rolek filmu. James chciał za to wszystko zapłacić, ale mu nie pozwoliłam. W końcu chodziło o mój projekt.

Poszliśmy też do sklepu-serwisu z używanym sprzętem elektronicznym, znajdującego się na przedmieściach Tarrytown. Tam, w zakurzonym metalowym pojemniku, udało nam się znaleźć cztery aparaty po pięć dolców każdy. Mieliśmy nadzieję, że nadal działały, choć mogliśmy się o tym przekonać dopiero po wywołaniu filmu.

Właściciel sklepu dziwnie mi się przyglądał, kiedy płaciłam za zakupy. James wyszedł na papierosa.

- Gramofon — odezwał się wreszcie mężczyzna. — Nie przyszedłeś po niego.

- Jaki gramofon?

- Zapłaciłaś mi za naprawę gramofonu jakoś na początku sierpnia, ale go nie odebrałaś.

Poszedł na zaplecze i wrócił z gramofonem. Jego podstawa miała kolor wiśni, bok ozdobiono falistym ornamentem. Chyba można było powiedzieć, że był ładny, chociaż nie rozumiałam, dlaczego miałabym go naprawiać. Nie miałam ani jednej płyty winylowej.

Z przodu widniała nalepka z moim nazwiskiem: NAOMI PORTER.

Najwyraźniej więc gramofon należał do mnie. Zastanawiałam się, do czego był mi potrzebny.

- Niech się dobrze sprawuje - powiedział właściciel.

Kiedy wyszłam ze sklepu, James przyjrzał mi się podejrzliwie.

— Nieprzemyślany zakup? — zapytał, po tym jak pomógł mi zapakować gramofon na tylne siedzenie swojego samochodu.

Resztę popołudnia spędziliśmy na zrzucaniu aparatów fotograficznych ze schodów szkoły średniej imienia Toma Purdue. Niektóre z nich były wyposażone w mechanizm zegarowy, który mogliśmy ustawić przed zrzuceniem. W innych naciskaliśmy spust migawki i ciskaliśmy aparat naprawdę szybko, by uzyskać zdjęcie podczas lotu. Z pozostałymi w ogóle nie można było dojść do ładu — mieliśmy jedynie nadzieję, że wylądują na odpowiednim przycisku i zrobią zdjęcie w momencie zderzenia z ziemią. Nie miałam pojęcia, co z tego wyjdzie, ale przynajmniej dobrze się bawiliśmy.

Przy przedostatnim aparacie James rozciął sobie kciuk o roztrzaskany obiektyw. Niczego nie zauważył, dopóki sama nie zwróciłam mu na to uwagi.

— Jak mogłeś nic nie poczuć? — zapytałam. James roześmiał się.

— Przyzwyczailem się, moje serce cały czas przez ciebie krwawi. — Wyciągnął dłoń w moją stronę. Ucałowałam ją, w sam środek. Właśnie miałam przenieść pocałunek z dłoni na usta, kiedy zauważyłam Willa, stojącego we frontowych drzwiach szkoły i przyglądającego się nam. Kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, ruszył jak burza w kierunku schodów.

— Cześć, Naomi - powiedział. - Larkin - zwrócił się do Jamesa.

— Cześć — odparłam.

— Pracujesz w weekend? — zwrócił się do niego James.

— Praca w redakcji nie ma końca — odpowiedział sztywno. — Ty krwawisz, Larkin.

— To jej wina - oznajmił James.

— Naomi — powiedział miękko Will. — Czy naprawdę sądzisz, że bieganie po schodach bez kasku to dobry pomysł?

— Bez czego? — zdziwił się James.

— No wiesz, takiego na głowę. Jeśli znowu sobie uszkodzi...

- Nic mi nie jest, Will. - Nie pozwoliłam mu dokończyć. Will tylko kiwnął głową.

- Na razie. Naomi. James. - Wykonał jeszcze dwa skinięcia głową, kiedy wymieniał nasze imiona, i tyle go widzieliśmy.

- Całe szczęście, że nie widział, jak zjeżdżaliśmy po schodach. - James dotknął mojego czoła. - Właściwie to ślicznie byś wyglądała w hełmie.

Ze względu na zraniony palec spróbowałam odesłać Jamesa do domu, ale się nie zgodził. Uparł się, że pomoże mi pozbierać szczątki aparatów.

- Kiedy byłem dzieckiem - powiedział - zbyt często pozwalałem innym ludziom sprzątać bałagan, który sam narobiłem. Dziś staram się już tego unikać.

Aż do środy nie znalazłam czasu, by wywołać filmy w szkolnym laboratorium.

Okazało się, że niewiele jest do oglądania. Kilka ujęć nieba. Trochę betonu. Mnóstwo czerni. Ale przecież nie zawsze chodzi o to, by zdjęcia były piękne, prawda? Czasami liczył się sam proces ich tworzenia, tak jak w przypadku obrazów Jacksona Pollocka. Robiąc powiększenia fotografii, miałam nadzieję, że pan Weir właśnie tak na to spojrzy.

Pan Weir stwierdził jednak, że mój projekt jest do kitu.

- Efekt jest interesujący, ale nie takie było twoje zadanie. Miałaś opowiedzieć zdjęciami swoją osobistą historię.

- To jest osobista historia - stanęłam w obronie swojego projektu. - Przydarzyło mi się dokładnie coś takiego.

- Nie zrozum mnie źle, Naomi. Nie twierdzę, że to nie jest osobiste. Rzecz w tym, że od oceny tego projektu zależy twój końcowy stopień i oczekuję od ciebie czegoś głębszego.

Kiedy zadzwonił dzwonek, zabrałam zdjęcia i upchnęłam je do szafki.

- Co powiedział o twoim projekcie Weir? - zapytał James, który wyrósł za moimi plecami.

— Nie zrozumiał go.

Znowu czułam się tak, jakbym była czystą kartką.

W sobotę po południu James, Alice, Yvette i ja pojechaliśmy pociągiem do miasta, żeby obejrzeć przedstawienie. Nie zdecydowaliśmy się na nic konkretnego, a kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że bilety na większość spektakli i pokazów są już wyprzedane. Zostało tylko kilka na Świąteczną Rewię Spektakularnych Rockette w sali koncertowej Radio City, więc je kupiliśmy, chociaż Alice twierdziła, że takie przedstawienia są „poniżające dla kobiet”, James natomiast określił je mianem „przaśnych”.

Nawet jeśli nie przepada się za podstarzałymi tancerkami w zbyt mocnym makijażu, wymachującymi nogami na scenie, jest w tym coś imponującego. Spektakularnego. Zupełnie jakby obserwowało się efekt szalonego eksperymentu z klonowaniem.

W przerwie James wyszedł na papierosa, a ja poszłam do toalety. Alice i Yvette zostały w teatrze, by kłócić się o to, czy przedstawienie „uprzedmiotawiało kobiety” (jak twierdziła Alice) czy „celebrowało ich sprawność fizyczną” (opinia Yvette). W moim odczuciu te dwa zdania tak naprawdę niekoniecznie się wykluczały.

Przed toaletą ustawiała się długa kolejka. Zastanawiałam się, czy zdążę przed rozpoczęciem show. Tak naprawdę nie miało to większego znaczenia — tancerki nie przedstawiały swoim występem żadnej historii, po prostu stały w rzędzie, machając nogami.

Nagle ktoś położył dłoń na moim ramieniu.

— Naomi Porter?

Odwróciłam się i zobaczyłam Japończyka, może po trzydziestce. Miał na sobie markowe ciemne okulary, koszulkę Rolling Stonesów, czerwoną bluzę z kapturem, grafitowe spodnie w prążki i czarne buty sportowe. Trzymał za rękę małą dziewczynkę ubraną w szarą sukienkę w serduszka i różowe buty firmy Converse.

— Pewnie mnie nie pamiętasz — powiedział. — Nazywam się Nigel Fusakawa.

Nazwisko brzmiało znajomo.

- Jestem mężem Cass — dodał. — Wszyscy mówią na mnie Fuse. Wyciągnął dłoń, a ja bez namysłu ją uścisnęłam.

- Miała tu dzisiaj być, ale dopadło ją przeziębienie. Kiwnęłam głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Wyświadczysz mi pewną przysługę? — zapytał. — Jestem tutaj sam. Czy mogłabyś zaprowadzić Chloe do toalety?

-Ja...

- Bardzo byś nam pomogła.

Spojrzałam na dziewczynkę. Była słodka, sprawiała wrażenie bardziej nieśmiałej, niż kiedy rozmawiałam z nią przez telefon. Poza tym przecież nie ponosiła odpowiedzialności za żadną z rzeczy, które się wydarzyły. Kiwnęłam głową w stronę Fusea i wzięłam Chloe za rękę.

- Jak masz na imię? — zapytała piskliwym głosikiem.

- Jestem Naomi - odparłam. Dziewczynka otworzyła szeroko oczy.

- Nikt?

- Jasne, może być Nikt. Przepuściłam ją przed siebie.

- Potrzebujesz pomocy?

- Nie, od wieków robię to sama - poinformowała mnie rezolutnie. Zastanawiałam się, ile to jest „od wieków”. Rok? Sześć miesięcy?

-Mogłabym w ogóle wejść tu sama, ale tatuś nie chce, żeby ktoś mnie zgwałcił.

- Zgwałcił? - Z trudem opanowałam wybuch śmiechu. Czy ta dziewczynka wiedziała, co znaczy to słowo?

- Takie rzeczy dzieją się w toaletach bez przerwy — wyjaśniła z powagą.

Miała błękitne oczy mamy i czarne włosy, podobnie jak Fuse. Była naprawdę śliczna.

Nie musiałam jej przypominać o umyciu rąk po wyjściu z toalety.

- Tata mówi, że jesteś moją siostrą — powiedziała w drodze powrotnej.

Co miałam zrobić? Powiedzieć jej, że to nieprawda?

— No tak — odparłam.

— Nie chcę być niczyją siostrą - oświadczyła dziewczynka.

— Dlaczego?

— Bo chcę być jedyna w swoim rodzaju.

— Nadal taka będziesz — zapewniłam ją.

Zacisnęła swoje przypominające pączek róży usteczka. Nie wyglądała na ani trochę przekonaną.

Fuse czekał na nas pod drzwiami.

— Dzięki, że nie musiałem być jedynym mężczyzną w damskiej toalecie.

— Nie ma za co.

— Naomi, mam nadzieję, że nie poczujesz się urażona, ale może wpadłabyś do nas na kolację po przedstawieniu? Mieszkamy niedaleko stąd, a wiem, że Cass oszalałaby ze szczęścia na twój widok. Zresztą Chloe i ja też bylibyśmy zachwyceni.

— Ja nie jestem... Nie mogę... Jestem tu z przyjaciółmi - powiedziałam.

— Zabierz ich ze sobą. Mówię poważnie. Proszę. Cass by mnie zabiła, gdybym nie spróbował zaprosić cię do naszego domu. Ona naprawdę za tobą tęskni. Zaufaj mi. Wiem, że wasze stosunki nie układały się najlepiej, ale niedługo święta i może to szczęśliwy zbieg okoliczności, że na siebie tutaj wpadliśmy? Czy przypadkiem nie masz na sobie płaszcz, który Cass wysłała ci na urodziny?

Kiwnęłam głową. To zadziwiające, ile ten facet o mnie wie, gdy tymczasem ja praktycznie go nie znałam.

— Pomagałem jej wybierać. Na pewno by się ucieszyła, widząc cię w tym płaszczu. A swoją drogą, dostałaś zdjęcia od swojego przyjaciela?

Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

— Jakie zdjęcia?

— Och, nic takiego. Pewnie... Pewnie coś mi się pomyliło. Spotkamy się tutaj, dobrze? Przed drzwiami toalety sali koncertowej Radio City, naszego sekretnego miejsca - powiedział, puszczając do mnie oko.

Facet sprawiał wrażenie zdesperowanego, a dziewczynka przyglądała mi się bez słowa. Cała ta sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna. Zamrugało światło na znak, że antrakt dobiegł końca.

- Proszę, przyjdź. Wiem, że nie planowałaś tego spotkania, wiem, że nie tak chciałaś spędzić ten dzień. Ale skoro los skrzyżował nasze ścieżki, powinniśmy to wykorzystać. Proszę, Naomi.

Błagał mnie. W głębi duszy nie chciałam, żeby ta dziewczynka musiała oglądać swojego ojca tak desperacko błagającego o cokolwiek, więc przyjął jego zaproszenie.

W drugiej części pokazu ewolucje tancerek zaczęły mnie nudzić, a ich identyczne, namalowane uśmiechy przyprawiły o ból głowy. Przyszło mi na myśl, że gdyby jedna z Rockettek rozchorowała się lub nawet została zamordowana, nikt by tego nie zauważył. Po prostu znaleźliby identyczną zastępczynię, nałożyli jej na usta szminkę i pokaz trwałby dalej, nie tracąc na jakości. Gdzieś tam, głęboko pod ziemią, spoczywałyby martwa tancerka rewiowa, a jedynymi ludźmi, którzy z czasem zauważyliby jej brak, byłaby jej rodzina. Ta myśl głęboko mnie zasmuciła.

Szepnęłam Jamesowi, że muszę wyjść, a on przekazał tę wiadomość Alice i Yvette.

- Problemy z głową - powiedział. Była to moja stała, sprawdzająca się w każdej sytuacji wymówka.

- Chcesz, żebyśmy wyszli z tobą, aniołku? - zapytała współczująco Alice.

- Nie, obejrzyjcie resztę pokazu - odszepnęłam. - Wrócimy wcześniejszym pociągiem.

Nie wspomniałam Jamesowi o moim przypadkowym spotkaniu z Fuseem i Chloe. Kiedy wyszliśmy z teatru, powiedziałam:

- Nie mogłam tam już dłużej wytrzymać.

- Jasna sprawa — odparł.

- Ale nie mam jeszcze ochoty wracać do domu. - Byłam zbyt oszołomiona wpadnięciem na nową rodzinę mojej matki.

James spytał tylko, co chciałabym robić. Nic mi nie przychodziło do głowy - większość fajnych miejsc, jakie znałam, znajdowa-

ło się na Brooklynie - więc poprosiłam, żebyśmy pojeździli trochę metrem.

Pojechaliśmy aż do stacji South Ferry, później do Van Cortlandt Park i z powrotem do Grand Central. W sumie zajęło nam to trzy godziny.

Przez cały ten czas prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Obserwaliśmy ludzi wsiadających i wysiadających z wagonów. Jak przystało na tę porę roku, większość pasażerów dźwigała torby z zakupami. Zdawali się być zmęczeni, lecz mimo to optymistycznie nastawieni do świata. Przypomniał mi się Fuse, zapraszający mnie do domu mamy. Zastanawiałam się, jak długo on i Chloe czekali przed toaletą w sali koncertowej Radio City.

- Mam siostrę... - powiedziałam do Jamesa tuż przed tym, jak mieliśmy wysiąść z metra.

- Nigdy o tym nie mówiłaś.

- Cóż, właściwie to nie jesteśmy spokrewnione... - Wyjaśnienie tego nagle wydało mi się trudne. Od czego powinnam zacząć? Od walizki po maszynie do pisania w Okręgu Moskiewskim? Byłaby to bardzo długa opowieść. - Ma prawie cztery lata - powiedziałam. - Wiesz, że to mniej więcej tyle, ile sama straciłam? Gdyby można było wziąć ten czas i stworzyć człowieka, powstałaby ona.

- Ale nie można. - James pokręcił głową. - Mój brat... - zaczął, nim znowu potrząsnął głową. - Nie chcę o tym mówić.

- Powiedz, proszę.

- Sasha przeżył na tym świecie osiemnaście lat i nic po nim nie zostało. Cały ten czas jest dla mnie jedną wielką pustką. Ja... Żałuję, że w ogóle się urodził albo że ja się urodziłem. Nie chcę o tym rozmawiać.

Pocałował mnie i w pewnym sensie byłam zadowolona z takiego finału rozmowy.

Zanim wsiedliśmy do pociągu Linii Północnej, jadącego do Tarry-town, zrobiło się późno. Ponieważ rano odwiozła nas Alice, musieliśmy zadzwonić do mamy Jamesa, Rainy, żeby przyjechała po nas na stację.

Raina pachniała perfumami oraz dymem papierosowym i patrzyła na Jamesa w taki sposób, jakby zobaczyła go po raz pierwszy od bardzo długiego czasu.

- Czy wszystko w porządku? Co się stało z przyjaciółką, która was odwiozła? Nie wiedziałam, że wrócicie tak późno - powiedziała. - Wydawało mi się, że sztuka jest po południu. - Chociaż wyglądała młodo, w stosunku do Jamesa zachowywała się jak typowa matka.

- Wszystko w porządku, mamó. Nic takiego się nie stało - odparł James. - Mamó, to moja przyjaciółka, Naomi. Pamiętasz ją? Występowała w przedstawieniu, przy którym pracowałem.

Przyjrzała mi się, a później wymieniłyśmy uścisk dłoni.

- Raina — przedstawiła się.

- Miło mi panią poznać. Kiwnęła głową.

- Ładna fryzura.

Gdy Raina zatrzymała się przed moim domem, James wysiadł z auta i odprowadził mnie do drzwi.

- Przepraszam za moją mamę - powiedział. - Jest nadopiekuńcza.

- Rodzice już tacy są - odparłam.

- Nie w tym rzecz - rzekł James. - Raina jest nadopiekuńcza, ponieważ dałem jej do tego powody. Cały mój okres dojrzewania był jedną wielką katastrofą. Straciła już tak wiele. Myślę, że nigdy nie przestaje wypatrywać symptomów tego, że znowu stanę się zły. - Głos Jamesa dziwnie zadrżał przy słowie „zły”.

Pocałowałam go. Uwielbiałam się z nim całować. Uwielbiałam sposób, w jaki usta Jamesa dotykały moich. Jego wargi były miękkie, lecz zawsze leciutko spierzchnięte. Papierosy (i miętówki, które jadł, by zamaskować woń nikotyny) sprawiały, że pocałunki z Jamesem były słodko-gorzkie. Zastanawiałam się czasem, czy nie są one naszym nałogiem. Złym nawykiem, do którego wykorzystujemy nasze usta, zamiast ze sobą rozmawiać.

Czas pomiędzy Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem zawsze mija jak z bicza strzelił. Zanim się obejrzałam, James znowu wyjeżdżał w odwiedziny do swojego ojca w Los Angeles, a tata i ja jechaliśmy do Pleasantville, by spędzić święta z Rosą Riverą i jej bliźniaczkami, Fridą i Georgią (vel Freddie i George), które Rosa określała mianem „dziewczynek”.

Chociaż były bliźniaczkami jednojajowymi, Freddie i George wcale nie wyglądały jak dwie krople wody. George należała do studenckiej drużyny atletycznej i w związku z tym miała umięśnioną sylwetkę. Freddie była drobna, tak jak Rosa. Żadna natomiast nie krępowała się zadawać mnóstwa pytań, o czym przekonałam się podczas kolacji, kiedy to usadzono mnie między córkami narzeczonej taty.

— Mama powiedziała, że straciłaś pamięć — zagaiła George. Kiwnęłam głową.

— Nasz tata miał Alzheimera, mówiła ci o tym? - zapytała Freddie.

— Tak, wiem — odparłam. — Przykro mi.

— Okropna choroba — stwierdziła George. — Zamieniła tatę w straszego dupka.

— *George!* — wykrzyknęła Rosa Rivera, siedząca po przeciwnej stronie stołu.

— No co? Przecież to prawda.

— Ale ona na to nie choruje — przypomniała jej Freddie. — Mama powiedziała, że Naomi nie pamięta tylko ostatnich czterech lat. Cóż, te lata i tak są do kitu. Pamiętasz, George?

— Rany, w siódmej klasie nosiłyśmy takie idiotyczne fryzury. Co też przyszło mamie do głowy?

Freddie pokręciła głową.

— Masz pojęcie, jak to jest być jedną z bliźniaczek „krótko z przodu, długo z tyłu”?

— Wolałabym tego nie pamiętać - odezwała się George. Roześmiałam się.

— A skoro już o tym mowa, czy spotkałyśmy się wcześniej? — zapytałam.

- Tak. I nie bardzo przypadłaś nam do gustu - odpowiedziała bez ogródek Freddie.

- Uznałyśmy cię za typową, zadzierającą nosa panienkę - dodała George.

- Właściwie to frajerkę.

— *Georgia i Frida Rivera!* — krzyknęła Rosa Rivera. — To niegrzeczne z waszej strony.

— No co? Przecież tak było. A ona wcale nie czuje się urażona. To prawda. Doceniałam ich szczerłość.

— Ale teraz wydajesz się w porządku.

Z okazji świąt Rosa Rivera podarowała mi parę obszytych futerkiem rękawiczek, a tata dał mi pamiętnik opisujący wspinaczkę na Mount Everest. Mama przysłała mi rzeczy, które powinny pomóc w zaliczeniu warsztatów fotograficznych: monografie Cindy Sherman, Rineke Dijkstry i Diane Arbus oraz nowy aparat, którego nie wyjęłam jeszcze z pudełka. Dobrze, że projekt mój i Jamesa spalił na panewce, bo w przeciwnym wypadku ten nowiutki i błyszczący aparat mógłby odbyć swoją ostatnią wycieczkę schodami w dół. James kupił mi dwie złote rybki w szklanym akwarium w kształcie serca, z małym zameczkiem w środku. Nazwaliśmy je Sid i Nancy. Żadna z nich nie dożyła końca przerwy świątecznej.

Leżeliśmy obok siebie na łóżku w pokoju Jamesa. W szkole imienia Toma Purdue w styczniu obowiązuje tygodniowy okres samodzielnych powtórek przed egzaminami, kiedy nie chodzi się na zajęcia. Ja uczyłam się fizyki, James uczył się mnie.

— Nie lubię mieć takiego bzika na czyimś punkcie - odezwał się. — Nie lubię poczucia, że moje szczęście jest tak bardzo zależne od innej osoby.

Odparłam, żeby się nie martwił. James usiadł na łóżku.

- Ale ja mówię poważnie. Dzisiaj prawie zapomniałem wziąć lekarstwo. To, co do ciebie czuję... czasami mnie przeraża.

Zaczęłam go całować. Nie tylko w usta - moim zdaniem poświęca się im zdecydowanie zbyt wiele uwagi. Istnieje milion równie interesujących i rozkosznych miejsc, którymi można się zająć. Całowałam zagłębienia za kolanami i na dole pleców, które okazały się wąskie, lecz zdumiewająco muskularne. Całowałam okrągłą kość, wystającą z boku jego stopy. Całowałam jego brwi, ciemne i bujne - brakowało im zaledwie kilku włosków, by stworzyć nad oczami jedną, szeroką kreskę. Złożyłam też pocałunek na jego nadgarstku, na pięciocentymetrowej poziomej bliźnie, która przez niego przebiegała.

James wyrwał mi swoją rękę.

- Nie rób tego — poprosiłam. Roześmiał się.

- Boże, byłem wtedy taki głupi.

- Dlatego, że próbowałeś się zabić?

Śmiał się jeszcze przez chwilę, jednak tym razem jakby smutniej.

- Nie. Miałem na myśli to, że jeśli podcinasz sobie żyły, powinnaś to zrobić pionowo, a nie poziomo. Jeśli tniesz poziomo, nie krwawisz dostatecznie mocno. Rana sama zaczyna się zablizniać.

Przedmiotem, który sprawiał mi najwięcej kłopotów, poza fotografią, był francuski. Musiałam zakuwać jak szalona, żeby tylko zdać, a nawet wtedy nie znałam wystarczająco dużo słów, by poradzić sobie z najprostszymi rozmowami.

Traf chciał, że James świetnie mówił po francusku. W prywatnej szkole, do której uczęszczał w Kalifornii, nauka francuskiego rozpoczęła się niemal równocześnie z nauką angielskiego. Czasami pomagał mi w nauce, rozmawiając ze mną *en français* i wprowadzając słówka, których jeszcze nie znałam.

Jechaliśmy samochodem, kiedy zapytał mnie po francusku:

- Winisz za swój wypadek Willa Landsmana czy schody? Musiałam go poprosić o tłumaczenie, ponieważ wyraz „schody”

znajdował się poza moim ograniczonym słownictwem. Znałam jednak francuskie określenie wypadku.

Kiedy już spełnił moją prośbę, odparłam bez zastanowienia:

- *Ni lun, ni l'autre. L'appareil-photo* - co znaczyło: Ani jedno, ani drugie. Obwiniam aparat'.

James roześmiał się.

- Hej, dobrze sobie poradziłaś.

O dziwo, nie miałam pojęcia, że znam francuskie określenia słów „ani” i „aparat”, dopóki ich nie wypowiedziałam.

Jechaliśmy do pracy Jamesa, publicznego collegeu (w tamtym semestrze zajmował się kinem amerykańskim) i pamiętam, jak spojrzałam na drzewa i przypomniałam sobie nazywające je francuskie słowo - *arbres*.

Oraz że droga to *route*. A niebo - *ciel*. I marmur. I rzut monetą. I filiżanka kawy.

I pozostałe francuskie słowa, opisujące każdą rzecz pod słońcem. Właśnie zamierzałam powiedzieć Jamesowi, że ni stąd, ni zowąd wrócił cały mój francuski, kiedy moją głowę zalała lawina wspomnień. Przypomniałam sobie wszystko. Naprawdę WSZYSTKO. Włącznie z tamtym dniem.

Will i ja kłóciliśmy się o to, kto powinien wrócić do biura po aparat. Will wyciągnął dwudziestopięciocentówkę z kieszeni i bez pytania oznajmił, że on wybiera orła, a dla mnie zostaje reszka. Zażartowałam więc:

- Kto mianował cię Bogiem?

- Naomi, czy chcesz powiedzieć, że wolisz orła?

Niekoniecznie o to mi chodziło - w gruncie rzeczy było mi wszystko jedno - ale mój przyjaciel (i drugi szef redakcji) bywał czasami apodyktyczny, a wręcz despotyczny, i jako pierwszy szef redakcji (oraz jego przyjaciółka) doszłam do wniosku, że powinien nad tym popracować.

- Ludzie lubią, kiedy ktoś pyta ich o zdanie - powiedziałam. - Ze zwykłej uprzejmości, wiesz?

Will westchnął.

- Orzeł czy reszka?

Krzyknęłam: „orzeł” w chwili, gdy podrzucił monetę. Można powiedzieć, że był to całkiem porządny rzut - dostatecznie wysoki, bym natychmiast straciła monetę z oczu, chociaż mogła to być iluzja spowodowana tym, że srebro kiepsko widać o zmierzchu. Dostatecznie wysoki, że nie byłam pewna, czy Willowi, który nie słynął ze zręczności, uda się ją złapać. Nie udało mu się. Moneta wylądowała ze wstydliwym pluskiem w kałuży kilka metrów od nas, na granicy między parkingiem dla uczniów i parkingiem dla nauczycieli. Rzuciliśmy się do niej, żeby sprawdzić, kto wygrał. Treningi tenisa sprawiły, że biegałam szybciej od Willa i pierwsza dotarłam na miejsce. Nawet przez mętną wodę kałuży dostrzegłam niewyraźny zarys reszki.

- Powinnaś była zostać przy reszce - oznajmił Will, wylawiając George'a Washingtona z kałuży.

— Tak, tak.

Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni, zgodnie z naszym stałym zwyczajem.

Ruszyłam powoli, noga za nogą przez parking dla nauczycieli i dwa szkolne boiska — na pierwszym ćwiczyła nasza, pożałuj Boże, orkiestra dęta (licząca dwudziestu trzech członków), a na drugim trenowała nasza, równie kiepska, drużyna piłki nożnej (przeciętny wzrost zawodnika: metr siedemdziesiąt).

Wspięłam się na wzgórze, u podnóża którego znajdowały się budynki młodszych klas (od siódmej do dziewiątej), a na szczycie starszych (od dziesiątej do dwunastej) - imponujący przejaw topograficznego symbolizmu.

Pokonałam dwadzieścia pięć marmurowych schodów prowadzących ku drzwiom głównego budynku - ceglanej budowli, przypominającej siedzibę banku, której zdjęcie znajdowało się na okładce wszystkich broszur dotyczących szkoły średniej imienia Toma Purdue. Była już prawie siódma i korytarze świeciły pustkami. Otworzyłam drzwi do redakcji *Phoenix* - nikogo w niej było, ponieważ nie zaczął się jeszcze rok szkolny - i sięgnęłam po aparat. Był nowym nabytkiem i nie mieliśmy nawet czasu, by kupić do niego futerał lub pasek.

Zanim byłam gotowa do wyjścia, na dworze zrobiło się już całkiem ciemno. Wypadłam z budynku i zaczęłam zbiegać po marmurowych schodach.

Ludzie mówią, że się potknęłam - po szkole kilka dni po wypadku krążyło wypowiedane jednym tchem zdanie: *Słyszaleś-co-spotka-ło-Naomi-Porter-potknęła-się-zbiegając-ze-schodó w-i-ekspłodował-jej-mózg* — ale wcale tak nie było.

Zastanówcie się. Nie byłam osiemdziesięcioletnią staruszką z trzeszczącym biodrem, a na dodatek wspinałam się po schodach szkoły średniej imienia Toma Purdue od blisko czterech lat: w siódmej, ósmej, dziewiątej

i dziesiątej klasie. Wiedziałam, jakie są śliskie podczas deszczu. Wiedziałam, jak ciężko się po nich wchodzi w szpilkach i eleganckiej sukience. Wiedziałam, jak to jest wspinać się po nich, posypanych solą, w środku zimy.

Znałam te schody jak własną kieszeń i dlatego niemożliwe jest, bym się na nich potknęła.

Tak naprawdę ktoś zostawił na nich styropianowy kubek z kawą. Nie zauważyłam go w ciemności, więc przewróciłam go, wylewając zawartość na stopień. Pamiętam, że poślizgnęłam się na płynie i wtedy właśnie aparat wyślizgnął mi się z rąk. W ułamku sekundy, zanim runęłam głową w dół, myślałam wyłącznie o aparacie: o tym, że kosztował redakcję *Phoenix* mnóstwo pieniędzy, i że po prostu muszę go złapać, zanim roztrzaska się o schody.

Nie potknęłam się ani nie upadłam — potknięcia i upadki są przypadkowe.

Runęłam — runięcie jest intencjonalne. Idiotyczne, owszem, ale intencjonalne.

Runięcie jest połączeniem aktu wiary i grawitacji.

Rzuciłam się na spotkanie z czymś.

Może po to, by przed czymś uciec.

Poprzedniego wieczoru pocałowałam Willa.

Właściwie to on pocałował mnie, ale ja go nie powstrzymałam.

Stało się to błyskawicznie — fotografowaliśmy powakacyjną wybieżkę kółka fizycznego do planetarium. Zawsze kpiłam z obsesji Willa na punkcie dokumentowania poczynąń środowiska naukowego. Nazywałam to „Kampanią na rzecz kujonów”, chociaż była to pewnie z mojej strony czysta złośliwość. A poza tym spójrzmy prawdzie w oczy: sami do pewnego stopnia jesteśmy kujonami. W każdym razie postanowiliśmy zostać na pokazie gwiazd.

No więc się pocałowaliśmy. Myślę, że oboje daliśmy się ponieść ciemności i wszystkim tym zwodniczym sztucznym gwiazdom.

Ten pocałunek prawdopodobnie świadczył bardziej o niestałości moich uczuć do Ace'a niż o romantycznych ciągotach do Willa. A zresztą — nie znałam wtedy jeszcze Jamesa.

Jednak przez wszystkie te miesiące od wypadku Will ani razu nie wspomniał o tamtym pocałunku. Pewnie i tak był on bez znaczenia. Spotykałam się teraz z Jamesem, a Will i ja nawet nie byliśmy już przyjaciółmi.

Zdjęłam okulary przeciwsłoneczne, chociaż byliśmy w samym środku olśniewającego, białego, styczniowego zachodu słońca.

Zatrzymaliśmy się na światłach, kiedy James spojrzał na mnie:

— Jesteś strasznie milcząca.

Kiwnęłam głową bez słowa i spróbowałam się uśmiechnąć. Miałam wrażenie, że jeśli coś powiem, znowu wszystko zapomnę.

— Nie masz na sobie okularów — zauważył.

— Och — założyłam je z powrotem. Następnie pocałowałam Jamesa w usta, chyba nieco zbyt mocno.

Postanowiłam nie mówić nikomu o tym, co sobie przypomniałam. Do pewnego stopnia nie miało to znaczenia. Niczego nie zmieniło. To właśnie sobie wmówiłam.

Patrzyłam na Jamesa i znowu poczułam wdzięczność, że to właśnie on znalazł się wtedy u podnóża schodów. Na jego miejscu mógł być przecież każdy.

Z oczywistych powodów egzaminy poszły mi znacznie lepiej, niż się spodziewano, a szczególnie egzamin z francuskiego. Poradziłam sobie tak dobrze, że pani Greenberg postanowiła wystawić mi końcową ocenę wyłącznie na podstawie stopnia z ostatniego egzaminu. Była surową nauczycielką, ale zawsze, naprawdę zawsze sprawiedliwą.

— Wiele problemów zważyło ci się na głowę, Naomi - powiedziała po francusku — ale ciężko pracowałeś i wyszłaś z nich obronną ręką.

Doskonale ją zrozumiałam i wyraziłam swoją wdzięczność, również po francusku.

Na prośbę pana Weira poszłam się z nim spotkać w ostatnim dniu egzaminów.

— Gratulacje. Masz jeszcze osiemnaście tygodni, by mnie olśnić — oznajmił. Zamiast mnie oblać, wstrzymał się z wystawieniem mi oce-

ny. Nawiasem mówiąc, gdybym odzyskała pamięć we wrześniu, z całą pewnością zrezygnowałabym z jego warsztatów. Weir należał do najgorszego typu nauczycieli - takich, którzy oceną ze swoich zajęć bez skrupułów zaniżali uczniom średnią.

Kiedy tamtego wieczoru wróciłam do domu, tata pracował w swoim gabinecie. Cichutko zdjęłam kluczyki z haczyka przy kuchennych drzwiach i poszłam do samochodu.

Miło było ponownie usiąść za kółkiem.

Nie pojechałam w żadne szczególne miejsce. Zostałam na swoim osiedlu. Skręcałam w prawo na skrzyżowaniach tak długo, aż znalazłam się tam, skąd wyruszyłam.

Kiedy miałam jakieś siedem lat, zgubiłam się w muzeum. Moi rodzice zbierali materiały do trzeciej lub czwartej części serii o Wędrujących Porterach, poświęconej południu Francji. Wydawało mi się, że jestem z mamą, ale myliłam się. Omyłkowo poszłam za kobietą z torbą od aparatu podobną do tej, którą miała mama. Kiedy się odwróciła, zrozumiałam swój błąd i zaczęłam płakać.

Kobieta spojrzała na mnie i chociaż nie mówiła po angielsku (wydaje mi się, że nie była też Francuzką), udało mi się wyłuskać z jej wypowiedzi jedno słowo: *maman*?

Kiwnęłam żałośnie głową i wskazałam na aparat.

— *Lappareil-photo*?

Kiwnęłam głową jeszcze żałośniej. Traf chciał, że w tym momencie do galerii weszła moja mama i odnalazła mnie.

Przez wiele lat *Tappareil-photo* było jedynym francuskim słowem, jakie znałam.

Nie mam pojęcia, dlaczego odzyskałam pamięć akurat tamtego dnia w samochodzie Jamesa — być może istniało jakieś medyczne wyjaśnienie, związane z synapsami i neuronami — tak samo jak nie wiem, dlaczego w ogóle ją straciłam.

Wiedziałam tylko, że tęsknię za mamą.

Nie chciałam nikomu mówić o końcu amnezji, ale uktywanie powrotu pamięci było naprawdę uciążliwe. Gubiłam się już w tym, co powinnam, a czego nie powinnam pamiętać, a z głowy zaczęły mi wylatywać różne mało istotne szczegóły. Takie jak na przykład mój podręcznik do historii, który zgubiłam pierwszego dnia nowego semestru. Pomyślałam, że mogłam go zostawić w samochodzie Jamesa - spędziliśmy w nim tyle przyjemnych godzin. Poszłam do domu Jamesa z nadzieją odzyskania zguby.

James był w pracy, więc samochodu i tak nie było pod jego domem. Zapytałam Rainę, czy mogłabym poszukać podręcznika w pokoju Jamesa, na co odparła tylko: „Proszę bardzo”. Raina nie zachowywała się zbyt serdecznie, ale James zapewniał, że to nie z mojego powodu, więc nie powinnam się czuć urażona.

Gdy już znalazłam się w jego pokoju, w pierwszym odruchu zajrzałam pod łóżko. Choć może się to wydać nieprawdopodobne, właśnie tam znalazłam swoją książkę. Kiedy sięgałam po podręcznik, mój wzrok padł na coś jeszcze.

Była to wciąż zaklejona koperta z Uniwersytetu Południowej Kalifornii, na który złożył papiery James. Na stemplu pocztowym widniała data 13 grudnia. James nie otworzył listu przez siedem tygodni. Wyda-

wało mi się to — z braku lepszego określenia — nieco szalone. Wiedziałam, że bardzo zależało mu, by dostać się na studia filmowe, ale czy obawa przed odrzuceniem jego podania była na tyle silna, że postanowił wcale nie otwierać koperty?

Wiem, że powinnam ją zostawić na swoim miejscu, ale tego nie zrobiłam. Podniosłam list i schowałam go do kieszeni. Nie wiedziałam jeszcze, co z nim zrobić, ale nie mogłam znieść myśli, że będzie tak po prostu leżał pod łóżkiem.

Tamtego wieczoru James zadzwonił do mnie po powrocie z pracy. Powiedział, że Raina wspomniała mu o mojej wizycie, i wyraził swój żal, że go nie zastałam. Poinformowałam go, że kiedy szukałam w jego pokoju książki, przypadkowo natrafiłam na list.

W słuchawce zapadła grobowa cisza.

- Mogę go otworzyć, jeśli chcesz — zaproponowałam. James nie odezwał się słowem.

— Boisz się, że cię nie przyjęli?

Poradził mi ostrym tonem, żebym nie wtykała nosa w cudze sprawy, a później odłożył słuchawkę. Można powiedzieć, że była to nasza pierwsza kłótnia. Nigdy wcześniej nie podniósł na mnie głosu. W sumie miał prawo się na mnie zdenerwować.

Następnego dnia w szkole nie widziałam Jamesa aż do przerwy obiadowej. Oddałam mu list — w dalszym ciągu nieotwarty — i przeprosiłam za to, że naruszyłam jego prywatność.

James wziął ode mnie kopertę i otworzył ją bez słowa. W środku znajdowało się pismo potwierdzające przyjęcie na uczelnię. Położył je obojętnie na ziemi, jakby ta informacja zupełnie go nie obeszła. Wiatr chciał porwać list, więc przygniotłam go obcasem.

- To wspaniała wiadomość - powiedziałam. - Spełniło się twoje marzenie. - Przytuliłam Jamesa, ale jego ciało pozostało sztywne. -O co chodzi, Jims? — Sama wymyśliłam dla niego tę ksywkę. — Dlaczego się nie cieszysz?

— Nie bałam się odmowy, tylko tego, że mnie przyjmą — powiedział dziwnym, stłumionym głosem.

Pomyślałam, że chodzi mu o mnie - dopięto co się poznaliśmy, a teraz mieliśmy się znaleźć na dwóch różnych wybrzeżach.

Do samego końca przerwy obiadowej panował między nami chłód.

Po zajęciach, gdy wyjmowałam książki z szafki, podszedł do mnie Ace Zuckerman. Nie rozmawiałam z nim od miesiący, jeśli nie liczyć okazjonalnego skinienia głową podczas mijania się na szkolnym korytarzu. Jako że w dalszym ciągu absorbował mnie James i proces samoakceptacji, nie byłam w nastroju do rozmowy z Aceem.

Ace był w tym roku kapitanem drużyny tenisa i podszedł, by zapytać mnie, czy do niej dołączę.

Odparłam, że nie mam takich planów, co wprawiło go w prawdziwe oburzenie. Ten facet miał prawdziwą obsesję na punkcie tenisa -podobnie jak w przypadku moich włosów.

- Cóż, jesteś w tym świetna i byłoby szkoda, gdybyś zrezygnowała z gry przeze mnie.

- Przez ciebie? - roześmiałam się. - Nie pochlebiaj sobie. Po prostu nie chcę już grać w tenisa.

- Ty kochasz tenis, Naomi. Jak możesz o tym nie pamiętać? - Twarz Acea znajdowała się bardzo blisko mojej, kiedy nagle coś go ode mnie odciągnęło. To był James. W jego oczach tliło się szaleństwo i gniew.

- Odwal się od niej! - krzyknął.

Próbowałam wytłumaczyć Jamesowi, że Ace i ja rozmawialiśmy tylko o tenisie, lecz było już za późno. Takie sytuacje zwykle napędzają się same.

James może i był szczupły, ale na pewno nie słaby. Odciągnął ode mnie Acea, rzucił nim o szafkę, a później go uderzył.

Ace odwzajemnił cios, głównie po to, by powstrzymać Jamesa od kolejnego ataku.

- Ty tępaku! - krzyknął. - My tylko rozmawialiśmy o tenisie. Kiedy próbowałam odciągnąć Jamesa, niechcący uderzył mnie

łokciem w oko. Nie musiałam patrzeć w lustro, by wiedzieć, że zostanie mi po tym siniak.

Nagle jak spod ziemi wyrósł obok nas Will Landsman i rzucił się między Acea i Jamesa. Nie wiedziałam nawet, że był na korytarzu.

— Uspokójcie się obaj! — krzyknął. — Właśnie uderzyliście Naomi, cymbały! — Will odepchnął Jamesa obiema rękami.

W tym momencie z gabinetu wyłoniła się wicedyrektorka.

W rezultacie James został zawieszony w prawach ucznia na pięć dni, a Ace na trzy, ponieważ to nie on rozpoczął bójkę. Will i ja musieliśmy zostać jeden dzień po lekcjach, chociaż byliśmy tylko świadkami. Kiedy wróciłam do domu, tata był na mnie wściekły. Martwił się, że moja głowa nie zniesie kolejnych wstrząsów.

— Kto zaczął? — zapytał.

— Nie wiem. — Oczywiście zaczął James, ale nie chciałam o tym mówić. Powtórzyłam to, co przyszło mi do głowy podczas bójki: — Takie sytuacje zwykle napędzają się same, tato.

Następnego dnia Will i ja wspólnie odbyliśmy naszą karę. Musieliśmy pozbierać śmieci leżące wokół boiska.

— Bez sensu z tą karą. Próbowaliśmy ich przecież rozdzielić. W ogóle nie powinno mnie tutaj być.

— Kto ci się kazał wtrącać? Wszystko było pod kontrolą — powiedziałam zirytowana.

— Tere-fere — mruknął Will. — Mam milion lepszych rzeczy do roboty. Muszę zamknąć wszystkie strony poświęcone kółkom zainteresowań. Zdecydować, kogo wyślę do Filadelfii na finały ogólnokrajowe. A jak wiesz, brakuje nam ludzi.

— Wszyscy mamy mnóstwo spraw na głowie - powiedziałam.

— A ty? Czyżby twój terminarz pękał w szwach od spotkań z tym humorzastym gościem?

Nie odpowiedziałam. Will tylko szukał zaczepki.

Kiedy usłyszałam o naszej karze, zastanawiałam się, czy nie wykorzystać szansy, by pogodzić się z Willem. Przyszło mi nawet do głowy, że podaruję mu gramofon. Kiedy odzyskałam pamięć, przypomniałam sobie, że był przeznaczony właśnie dla niego. Will miał ogromną kolekcję płyt winylowych, które odziedziczył po tacie, ale ich nie słuchał. Powiesił je na ścianie, jak plakaty. Nigdy nie miał gramofonu. Planowałam mu go dać jako prezent z okazji powrotu do szkoły i zajęć redakcyjnych.

Patrząc na niego, widziałam jednak, że zbyt wiele złego wydarzyło się między nami. Byliśmy daleko od fazy przeprosin i gramofonów.

Przez resztę popołudnia nie odezwaliśmy się do siebie słowem.

Urodziny Jamesa wypadły w sobotę przed walentynkami. Nie powiedział mi o tym — nie przywiązywał wielkiej wagi do urodzin — ale zauważyłam datę na papierach, które przyszły z college'u. Chciałam mu sprawić z tej okazji przyjemność, bo ostatnio wydawał się przybity.

Tata pozwolił mi z nim pojechać do kina samochodowego w Pough-keepsie, oddalonego o jakieś siedemdziesiąt minut jazdy od Tarrytown. Akurat urządzano w nim Festiwal Dzieł Alfreda Hitchcocka, a James miał bzika na punkcie filmów.

To był wspaniały dzień, naprawdę ciepły, jak na lutowy. Zostaliśmy na dwóch filmach Hitchcocka: *Vertigo* i *Psychozie* („Próbujesz mi w ten sposób coś powiedzieć?” - zażartował James). Później zjedliśmy obiad w restauracji i wszystko układało się wspaniale, dopóki w drodze powrotnej nie zabrakło nam benzyny.

Szczerze mówiąc, początkowo nie uznałam tego za wielki problem.

- Po prostu zadzwonimy do twojej mamy - powiedziałam.

- Nie mogę, nie mogę. Ona i tak już uważa, że jestem niestabilny emocjonalnie, przez tę bójkę i moją dziwną reakcję na list z college'u. Nie mogę jej dać kolejnego powodu do niepokoju. Po prostu nie mogę. - James wpadł w panikę.

- W takim razie zadzwonię do taty. - Tak też zrobiłam, ale niestety nie zastałam go w domu, a komórkę miał wyłączoną. Jeszcze przed wybraniem numeru przypomniałam sobie, że pojechał na jeden z pokazów tanga Rosy Rivery. Później zadzwoniłam do Alice, która jednak także nie odbierała. W końcu James zgodził się zadzwonić do swojej mamy, ale i tak nie zastaliśmy jej pod telefonem.

Była pierwsza nad ranem, kiedy tata w końcu oddzwonił i obiecał nam pomoc. Do tej pory zdążyłam już zmarznąć na kość. W dalszym ciągu dokuczała mi nadmierna wrażliwość na chłód i James martwił

się o mnie. W jego oczach widziałam gniew, jakby miał ochotę komuś przyłożyć.

— Cholera, nie mogę uwierzyć, że zapomniałem zatankować — powiedział i spojrzał na mnie. — Ty cała drzysz.

— Jims — odparłam, szcękając zębami. — Nic mi nie jest.

— Nie można mi zaufać w żadnej sprawie.

— To nieprawda. Po prostu jest mi zimno. Nie umrę od tego. Każdemu zdarza się o czymś zapomnieć. — Położyłam mu dłoń na ramieniu, ale ją z niego zrzucił.

Jego reakcja wydawała mi się zupełnie nieadekwatna do sytuacji. Na litość boską, znajdowaliśmy się zaledwie czterdzieści pięć minut jazdy od domu. Wstydzę się do tego przyznać, ale czułam się lekko zażenowana, widząc Jamesa takim słabym.

Kiedy zjawił się mój tata, wcale nie wyglądał na rozgniewanego, ale czasami trudno go było rozgryźć. Po powrocie do naszego domu poprosił Jamesa o chwilę rozmowy w cztery oczy. Stałam w oknie i przysłuchiwałam się temu, co mówi.

Tata wygłosił Jamesowi pogadankę o tym, że w dalszym ciągu jestem krucha (poczułam się jak coś do jedzenia lub porcelanowa figurka) i jeśli James zamierza się ze mną spotykać, powinien się zachowywać bardziej odpowiedzialnie. Chociaż byłam pewna, że James był już wcześniej świadomy wszystkiego, co usłyszał, wiedziałam też, że tata musiał mu to powiedzieć.

— Naomi - zwrócił się do mnie tata, kiedy zostaliśmy sami - martwię się, skarbie. Trochę niepokoi mnie zachowanie Jamesa.

— Nic mu nie jest — zapewniłam go, pewnie nieco zbyt żarliwie. -Przeżywa teraz stres związany z college era.

Tata spojrzał mi w oczy.

— Pamiętaj, że ci ufam.

W czwartek po swoich urodzinach James postanowił pojechać na wycieczkę na Uniwersytet Kalifornijski. Zadzwoił do mnie jednak wieczór wcześniej z wątpliwościami.

— Nie wiem, czy w ogóle powinienem tam studiować po tym, co stało się ostatnio — powiedział. — Nie wiem, czy to dla mnie odpowiednie miejsce.

— Jims, wysiadł ci samochód. Nic takiego się nie stało — tłumaczyłam mu cierpliwie.

— On nie wysiadł. Skończyła się w nim benzyna, *ho ja* zapomniałem zatankować.

— To mogło się przydarzyć każdemu.

— Nie tylko w tym rzecz. Była jeszcze ta bójka i zawieszenie w prawach ucznia. A poza tym... wylali mnie z pracy, Naomi. Nie chciałem ci o tym mówić. Zbyt często sobie odpuszczałem.

— A co mnie obchodzi twoja praca? Za kilka miesięcy i tak miałeś się zwolnić.

— Moja mama się martwi i nawet ty wydajesz się jakaś inna. Sposób, w jaki na mnie patrzyłaś w niedzielę... Nie ty pierwsza zresztą. Nie podobało mi się to.

— Patrzyłam na ciebie w ten sposób wyłącznie dlatego, że wyglądałeś na zdenerwowanego. I wcale nie zachowuję się inaczej - zapewniłam. - Kocham cię. Posłuchaj, jeśli po dotarciu na miejsce wpadniesz w przygnębienie, to przyjadę. Słowo.

— Twój tata nigdy ci na to nie pozwoli.

— Nic mu nie powiem. Wymyślę coś, przysięgam. Powiem mu, że jadę na konferencję poświęconą księgom pamiątkowym, odwiedzić mamę, czy coś w tym rodzaju.

— Zrobiłabyś to dla mnie?

— Chryste, Jims, rzuciłam się ze schodów tylko po to, by cię poznać, prawda? - Był to nasz etatowy żart, ale tym razem James się nie roześmiał.

— W porządku - powiedział wreszcie. - W porządku, ale trzymam cię za słowo.

Pojechał i nie odzywał się przez cały dzień, co uznałam za dobry znak. Oznaczało to, że James miał mnóstwo zajęć i dobrze się bawił. Zadzwoił dopiero w piątek wieczorem.

- Jak leci? - zapytałam.
- Chcę, żebyś do mnie przyjechała.
- A co się stało?

Jeszcze nawet nie dotarł na uczelnię. Wyglądało na to, że od chwili przyjazdu do Kalifornii przesiadywał w domu swojego taty.

- Po prostu mam drobne kłopoty ze zrobieniem pierwszego kroku. Jednak nie chodziło tylko o to. W jego głosie pobrzmiwało coś, co mnie przeraziło.

- Dobrze się czujesz, Jims? - zapytałam. Nie odpowiedział mi.

- Słuchaj, wszystko już sprawdziłem - oznajmił po chwili. - Jutro rano masz samolot z lotniska JFK. Zapłacę za twój bilet. Musiałabyś tylko tu przylecieć.

Zgodziłam się. Wrzuciłam do plecaka parę koszulek, laptopa, kilka przypadkowo wybranych płyt (zapodziałam gdzieś i Poda), słuchawki i parę džinsów na zmianę.

Zapukałam do drzwi gabinetu taty - rozmawiał przez telefon, ale natychmiast przerwał.

Chociaż kłamałam już od miesiąca, w dalszym ciągu nie wychodziło mi to najlepiej. Moje opowieści były zbyt rozbudowane i zapomniałam ich szczegóły, jękałam się, pocilałam, zbyt często się uśmiechałam, nie nawiązywałam kontaktu wzrokowego lub z nim przesadzałam. Tamtego dnia jednak zrobiłam wszystko dokładnie tak, jak trzeba.

- Tato - powiedziałam - zapomniałam cię uprzedzić, że powinnam jutro pojechać do San Diego na konferencję poświęconą księgom pamiątkowym. Wrócę we wtorek. - Dobrze, że nie poinformowałam go o swoim odejściu z redakcji.

Tata nawet nie mrugnął okiem.

- Potrzebujesz pieniędzy? Podwieźć cię na lotnisko?

Pieniądze przyjąłam, na lotnisko podwiozły mnie Alice i Yvette, chociaż Alice dopiero co zerwała z Yvette, po raz drugi zresztą od czasu wystawienia naszej sztuki.

- Jesteś pewna, że wiesz, co robisz, aniołku?

— Jego głos brzmiał naprawdę kiepsko — odparłam.

— Skoro tak, to może powinnaś zadzwonić do matki Jamesa? — zasugerowała Yvette.

— To tylko pogorszyłyby sprawę.

Kiedy dotarliśmy na lotnisko, Alice wysiadła z samochodu, żeby mnie uścisnąć.

— Posłuchaj, aniołku, my też kochamy Jamesa, ale czy któraś z nas naprawdę go zna?

— Ja tak!

— OK, OK, skoro jesteś tego pewna.

— Zadzwoń do nas, jak już dotrzesz na miejsce, Naomi! — krzyknęła Yvette z samochodu.

Czekając, aż wsiądę do samolotu, denerwowałam się jak diabli.

Moje zdenerwowanie wynikało z dziesięciu głównych powodów, spośród których wiele można było umieścić pod wspólnym nagłówkiem „W razie katastrofy”:

1. Nigdy jeszcze nie leciałam sama.
2. W razie katastrofy tata nawet nie będzie świadomy, że znajdowałam się na pokładzie feralnego samolotu, skoro myśli, że pojechałam do San Diego na konferencję poświęconą szkolnym rocznikom.
3. W razie katastrofy tata zapamięta mnie jako kłamczuchę.
4. Nie spakowałam wystarczająco dużo ubrań, w szczególności skarpetek i bielizny.
5. W razie katastrofy odejdę z tego świata skłócona z mamą.
6. W razie katastrofy na świecie zostanie moja siostra, która nigdy mnie już nie pozna.
7. James.
8. W razie katastrofy w dalszym ciągu będę skłócona z Willem.
9. W razie katastrofy nie zdołam już olśnić pana Weira. Przez całą wieczność będę pozbawiona oceny z warsztatów fotograficznych.
10. Nie zabrałam nic do czytania.

Analizując wszystkie punkty, doszłam do wniosku, że mogę zmienić przynajmniej ostatni z nich, poszłam więc do najbliższej lotniskowej księgarni.

Na stoliku leżała książka taty, oprawiona w miękką okładkę. *Kres wędrówek - pamiętnik*. Odwróciłam ją i przeczytałam recenzję: „Znany pisarz, który wspólnie ze swoją żoną Cassandrą Miles-Porter stworzył bestsellerową serię podróżniczą *Wędrujący Porterowie*, tym razem oddaje w Wasze ręce przejmująco osobisty pamiętnik, opisujący koniec jego małżeństwa, widziany przez pryzmat wydarzeń z szerokiego świata. ..” ple-ple-ple „... jak on i jego córka odzyskali spokój ducha, podczas gdy...” ple-ple-ple „...i do pewnego stopnia wszyscy wędrujemy...” ple--ple-ple. Brzmiało to przygnębiająco. Przeczytałam też notkę biograficzną o moim tacie, znajdującą się u dołu okładki: „Grant Porter mieszka ze swoją córką Naomi w Tarrytown, w stanie Nowy Jork”. *Córką Naomi —podłą, zepsutą do szpiku kości kłamczuchą — która od wielu tygodni go oszukuje* - dodałam w myślach.

W bezsensownym akcie pokuty zaniósłam książkę do kasy i zapłaciłam za nią pieniędzmi, które dopiero co ofiarował mi jej autor.

Wylądowałam w Kalifornii około dziesiątej rano. Chociaż James sam ustalił dla mnie lot, spóźnił się na lotnisko aż dwie godziny. Uścisnął mnie z całych sił na powitanie.

- Jims, miałeś przyjechać dwie godziny temu.

- Korki - odparł, wykonując niedbały gest dłonią. - Tak to już jest w LA. Cholernie się cieszę, że przyjechałaś. - Rzeczywiście wyglądał na szczęśliwego, czuł się chyba lepiej niż przed wyjazdem. Błyszczały mu oczy.

Wsiedliśmy do samochodu. Odkąd skończyliśmy rozmawiać przez telefon, układałam sobie w głowie to, co powiem Jamesowi. Mój plan był taki, żeby popchnąć go w odpowiednim kierunku. Sądziłam, że beczynność może okazać się dla Jamesa niebezpieczna.

- Może byśmy zaczęli od wycieczki na kampus? - zaproponowałam.

- Czy tego właśnie chcesz? — zapytał.

- Cóż, nigdy nie byłam na Uniwersytecie Kalifornijskim. Poza tym, czy to nie z tego powodu tu przyjechałeś?

- Chyba... Chyba tak. Myślałem, że pójdziemy na plażę, może trochę posurfujemy. Odkąd się poznaliśmy, chciałem cię zabrać na deskę. Na uniwersytet możemy przecież pojechać jutro, co? Tak bym wolał.

- W porządku — odparłam.

Pojechaliśmy więc na plażę, ale w drodze zaczęło mi się trochę kręcić w głowie. Zanim dotarliśmy na miejsce, miałam już serdecznie dosyć jazdy samochodem.

- Chryste — odezwał się James tuż po zaparkowaniu.

- Co się stało?

- Powinienem był zabrać sprzęt surfingowy z domu taty, zanim tu przyjechaliśmy.

- To nic. Posiedźmy przez chwilę, dobra? Trochę kiepsko się czuję.

James usiadł obok mnie na plaży, ale widziałam, że jest zniecierpliwiony. Przez cały czas kreślił na piasku okręgi wskazującym palcem prawej dłoni. W końcu zerwał się na równe nogi.

- A może ja pojedę z powrotem do domu taty, a ty tu zaczekasz? Wrócę ze sprzętem i czymś do jedzenia.

- Jak długo cię nie będzie?

- Pewnie z godzinę.

Zgodziłam się. Od długiego czasu byłam w podróży i nie miałam ochoty wracać do samochodu.

Plaża świeciła pustkami — niska temperatura nie sprzyjała spacerom. Powietrze było ostre i słone. Piasek różnił się od tego na Wschodnim Wybrzeżu - wydawał się delikatniejszy, lecz jednocześnie bardziej masywny. Po chwili zapadłam w sen, kołysana szumem oceanu.

Obudziłam się tylko dlatego, że jakaś para urządziła sobie piknik nieopodal mnie. Wydało mi się dziwne, że się na to zdecydowali, mając do dyspozycji całą plażę, ale mniejsza o to. On miał jakieś czterdzieści pięć lat, a ona pewnie z dziesięć mniej. Facet naprawdę się postarał.

Przyniósł butelkę wina, koc w kratę, odtwarzacz, z którego dobiegał głos jakiegoś gościa śpiewającego arię operową, róże i koszyk piknikowy. To było naprawdę słodkie. Widać było, że włożył w to wszystko dużo wysiłku.

- Przepraszam - zawołał do mnie. - Obudziliśmy cię? Pokręciłam głową.

- Nic się nie stało. Nie wiedzą państwo przypadkiem, która jest godzina? - Zostawiłam plecak w samochodzie Jamesa.

- Koło czwartej - odparła kobieta.

- Dzięki. - Jamesa nie było od jakichś dwóch i pół godziny. Może znowu utknął w korku? Nie mógł do mnie zadzwonić. Nikt

nie mógł. Mój telefon został przecież w plecaku, w samochodzie Jamesa.

Postanowiłam nie wpadać w panikę. Położę się po prostu na plaży i zaczekam. Szczerze żałowałam, że nie zabrałam swojej torby, przynajmniej miałabym słuchawki.

Upłynęły chyba kolejne dwie godziny, zapadł zmierzch i piknikowicze zaczęli się zbierać do odejścia, a James ciągle nie wracał.

- Może miałabyś ochotę coś przekąsić?! - krzyknął do mnie mężczyzna. Pewnie wziął mnie za dziecko ulicy. - Przywieźliśmy o wiele za dużo jedzenia.

Pokręciłam głową. Wcale nie byłam głodna. Za bardzo martwiłam się o Jamesa, by odczuwać głód.

- Nic mi nie jest. Po prostu na kogoś czekam. Mężczyzna pokiwał współczująco głową.

- Nie powinno się zmuszać damy do czekania - powiedział.

- Święte słowa - wtrąciła kobieta.

Mimo moich zapewnień przed odejściem zostawili mi resztę sałatki Cezar i pół opakowania truskawek.

- Na wypadek gdyby długo się nie zjawiał - wyjaśnili.

Nie tknęłam jedzenia. Od samego patrzenia na nie zbierało mi się na płacz.

Oczywiście byłam przerażona tym, co mogło się przytrafić Jamesowi, ale powoli zaczęłam się też bać o siebie. Zastanawiałam się, co zrobię, jeśli po mnie nie wróci. Do kogo powinnam zadzwonić? Może do Alice?

Albo do mojej matki? Na pewno nie do taty. Za bardzo by się zdenerwował. Nie mogłam też znieść myśli o przyznaniu mu się do kłamstwa. Może zadzwonię do Willa? Zaczęłam zastanawiać się nad tym, gdzie może być najbliższy telefon, chociaż tak naprawdę nie wiedziałam nawet, gdzie sama się znajduję. Zapewne gdzieś na wybrzeżu Pacyfiku, niedaleko Los Angeles. W ten sposób zawężyłam swoją lokalizację do jakiegoś tysiąca miejsc.

Właśnie wtedy, gdy byłam na granicy niekontrolowanej paniki, zjawił się James. Niósł torbę z jakiejś restauracji szybkiej obsługi.

- Hamburgery wystygły - oznajmił. - Wyrzuciłem więc pierwszą porcję i pojechałem po następną.

Nie jadałam hamburgerów, ale chyba o tym nie wiedział. Poderwałam się z ziemi, rzuciłam mu się na szyję i obsypałam jego twarz pocałunkami.

- Przepraszam — powiedział. Nawet w ciemności widziałam, że jego oczy nabiegły krwią. — Ja... próbowałem do ciebie dzwonić, ale miałaś wyłączony telefon.

- Zostawiłam go w twoim samochodzie - wyjaśniłam.

- No tak.

- Wygląda na to, że już jadłaś - stwierdził, wskazując na resztki z piknikowego koszyka.

- Jacyś ludzie ulitowali się nade mną - odparłam. - Myśleli, że nie mam domu.

- Jesteś na mnie zła? - spytał James. - Proszę, powiedz, że nie.

- Tylko trochę. Głównie umierałam ze strachu o ciebie. James usiadł na piasku. Po chwili przysiadłam się do niego.

- Przepraszam - szepnął. - Jestem beznadziejny.

- Wcale nie - powiedziałam.

- Jestem. Jestem. Jestem.

- Nie mów tak, James - poprosiłam.

Podciągnął kolana do góry i położył na nich głowę, tak żebym nie widziała jego twarzy.

— Czy mógłbyś na mnie spojrzeć, James?

Nie zrobił tego. Czułam się dziwnie, lecz mimo to spróbowałam wsunąć głowę bliżej jego twarzy, żeby musiał na mnie popatrzeć. Jednak James ani drgnął. Pocałowałam go w kark. A później w ramię.

Po chwili podniósł głowę. W oczach miał łzy.

— Co się właściwie stało? — starałam się, by zabrzmiało to łagodnie, ale w moim głosie na pewno słychać było mnóstwo emocji.

— Jechałem do domu mojego taty w Westwood po sprzęt surfingowy. Przypadkiem zobaczyłem cmentarz, więc postanowiłem się zatrzymać. Pochowano na nim Marilyn Monroe. Już tam kiedyś byłem, ale dopiero tym razem zauważyłem, jak różowy jest marmur, z którego wykonano jej nagrobek, ponieważ ludzie ciągle go całują i dotykają, no wiesz... I ten widok zasmucił mnie jak diabli. Mój brat leży pochowany jakąś milę stamtąd, na innym cmentarzu. Nikt nie całuje ani nie dotyka jego grobu, bo wszyscy mają go gdzieś, rozumiesz? Był po prostu dzieciakiem, który umarł. Pewnie pomyślisz, że mi odbiło, ale pojechałem na jego grób. Z początku nawet nie mogłem go odnaleźć. Zapomniałem, gdzie jest. Znajdował się na tyłach cmentarza. Zacząłem go całować i dotykać, próbując zmienić kolor kamienia... Już wtedy, gdy to robiłem, wiedziałem, że zachowuję się jak szaleniec, ale ostatnio często myślę o swoim bracie. Nie miał nawet tylu lat co ja teraz, czy to nie pokręcone? Czasami od tego wariuję. Ta choroba, która mnie dotknęła... depresja... czuję, że wraca. To jak z surfowaniem. Chcesz się utrzymać na grzbiecie fali jak najdłużej, ale natura fal jest taka, że wcześniej czy później zawsze opadają.

Objęłam Jamesa ramieniem. Wydał mi się taki drobny.

— Kocham cię - powiedziałam. James zaśmiał się w potworny sposób.

— Nie mogę przestać myśleć o tym, czy powiedziałabyś to samo, gdybyś wszystko pamiętała. Gdybyś nie miała problemów z głową.

Mogłam mu wtedy powiedzieć prawdę, ale moment nie wydawał mi się odpowiedni.

- A ty mnie nie kochasz? - zapytałam.

- Kocham.

- Jedźmy stąd, dobra?

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, James wyglądał na bardzo zmęczonego, więc zaproponowałam, że zastąpię go za kierownicą, jeśli powie mi, jak jechać.

- Wydawało mi się, że zapomniałaś, jak się prowadzi samochód — powiedział.

- Przypomniałam sobie - odparłam. Nie wypytywał mnie o nic więcej. Kalifornijski dom taty Jamesa był taki sam jak dom jego mamy. Przestronny i pusty. Nikogo w nim nie było.

- Tata wyjechał w interesach - wyjaśnił James.

- Siedziałaś tu sam przez cały czas? Wzruszył ramionami.

Usmażyłam jajka, ale James nawet ich nie tknął. Przez cały wieczór niewiele się odzywał. Widziałam, że nad czymś rozmyśla, ale nie chciałam mu przeszkadzać. Mimo to czułam, że z każdą przemilczaną sekundą oddalamy się od siebie.

Około dziesiątej James oznajmił, że idzie się położyć. Poszłam za nim do jego sypialni.

- Muszę się trochę przespać - powiedział. - Nie zmrużyłem oka od wielu dni.

- Może położylibyśmy się razem? - zaproponowałam, całując go. Moje zachowanie było pewnie żalosne, ale desperacko usiłowałam wyciągnąć Jamesa na powierzchnię. Teraz, gdy wydawał się taki bezbronny, kochałam go jeszcze bardziej. Może dlatego, że mnie potrzebował.

James pokręcił głową.

- Naomi - powiedział czule. - Naomi... Gdybym tylko mógł. Chwycił mnie za rękę. W jego uścisku nie było zbyt wiele siły. Zaprowadził mnie do jednego z pokoi gościnnych.

- Dobranoc — powiedział, po czym zamknął drzwi.

Miałam wyłączony telefon od chwili, gdy wsiadłam do samolotu. Czekają na mnie dwadzieścia osiem wiadomości. Właśnie miałam je odsłuchać, kiedy zadzwonił tata.

- Cześć - powiedziałam. Wiedziałam już, że wszystko się wydało. A było to tak:

Tata próbował się ze mną skontaktować przez cały dzień. Niepokoił się, że nie odbieram. Zadzwonił do Willa.

Willa nie było w domu, ale tata zastał panią Landsman.

Pani Landsman nie słyszała o żadnej konferencji w San Diego. Co więcej, powiedziała mojemu tacie, że zrezygnowałam z pracy w redakcji rocznika już jakiś czas temu.

Tata zadzwonił do mamy Jamesa.

Ta powiedziała mu, że James pojechał do Kalifornii.

- Interesuje mnie jedno: czy tam właśnie jesteś? - zapytał ostro.

- Tak - przyznałam, a później rozplakałam się, bardziej z powodu napięcia, które towarzyszyło mi przez cały ten dzień, niż tarapatów, w jakich się znalazłam. Chodziło także o głos taty. I o to, że okłamywałam wszystkich wokół. Zastanawiałam się, jak to się stało, że sprawy tak się pochrzały. Z Jamesem, mamą, Willem, tatą, szkołą, księgą pamiątkową, tenisem, a nawet z biednym Aceem. Płakałam przez wszystkie słowa, których nie wypowiedziałam na głos, chociaż bardzo chciałam. Ścisnęły mnie za gardło tak długo, aż jedyne, co mogłam zrobić, to rozplakać się lub udławić się nimi. Płakałam przez w połowie opróżniony pojemnik z truskawkami i przez rzut monetą, w którym przegrałam, a także przez to, że zostałam porzucona: pierwszy raz w walizce po maszynie do pisania, a drugi przez moją własną, szaloną, piękną, zdradziecką, malującą ściany matkę. Opłakiwałam okulary, które zostawiłam tamtego dnia na plaży. Po zachodzie słońca już ich nie potrzebovałam.

Płakałam też przez Jamesa. Powiedział, że „dziwnie” mu się przyglądałam, ale wiedziałam, że on też patrzył na mnie w ten sposób.

Tata zarezerwował dla mnie bilet powrotny na najwcześniejszy samolot, jaki udało mu się znaleźć. Odlatywał następnego dnia w południe.

Rano James wyglądał już lepiej. Powiedziałam mu, że tata o wszystkim się dowiedział i muszę wracać do domu.

- Wiem o tym - odparł. - Dzwoniła do mnie Raina. Twój tata pewnie mnie nienawidzi.

- To nie ty go okłamałeś - powiedziałam.

James odwiózł mnie na lotnisko okrężną drogą. Pojechaliśmy na krótką wycieczkę na Uniwersytet Kalifornijski.

- Zrobiłeś pierwszy krok — zauważyłam.

- Raczej kroczek - poprawił mnie. - Przede mną jeszcze dużo pracy.

Przez cały czas trzymałam go za rękę. Kampus był naprawdę imponujący, a słońce świeciło tak jasno i pięknie, że pozwalało zapomnieć niemal o wszystkim.

Na lotnisku James mnie pocałował, ale wyczułam w tym geście pożegnanie.

- Do zobaczenia we wtorek w szkole - powiedziałam. - O ile do tego czasu tata wypuści mnie z pokoju.

Ochrona lotniska kazała Jamesowi przestawić samochód, musiał więc odjechać. Jakaś częśćka mnie podświadomie bała się, że nie zobaczę go już nigdy więcej.

Pod drzwiami terminala zorientowałam się, że zostawiłam w samochodzie Jamesa książkę mojego taty.

Lecąc do domu, martwiłam się na zmianę Jamesem i tarapatami, w jakich się znalazłam - bardziej jednak Jamesem. Zamiast rozmyślać, wolałabym spać, ale nie mogłam zmrużyć oka.

Założyłam słuchawki i umieściłam płytę w stacji dysków laptopa. Wychodząc z domu, nie zwracałam uwagi na to, co pakuję, ale udało mi się zgarnąć nie jedną, lecz dwie głupie składanki Willa. Jako pierwszą odtworzyłam tę, którą nagrał dla mnie, kiedy okłamałam go na temat sztuki. Coś mnie jednak w niej drażniło (być może dobór piosenek był spowodowany tym, że, jakby na to nie patrzeć, Will był na mnie wściekły). Zamieniłam ją więc na drugą z płyt, którą dostałam w prezencie urodzinowym: *Piosenki dla nastolatki z amnezją, część 2*. Na ekranie komputera pojawiło się pytanie, czy chcę włączyć odtwarzacz DVD.

Kliknęłam „tak”.

Okazało się, że na płycie znajduje się film, nie dłuższy niż kwadrans.

Film to może za dużo powiedziane. Nie można go było nazwać profesjonalnym nagraniem, na pewno nie w porównaniu choćby z instalacjami, jakie wykonał do naszej sztuki James. Był to prosty pokaz slajdów do utworu *That's the Story of My Life*¹² kapeli Velvet Underground. Will dodał do nich trochę tekstu, ale skoncentrował się głównie na obrazach.

Przedstawiły lata, które wyleciały mi z pamięci. Will zebrał wszystkie filmy i zdjęcia, którymi dysponował on, szkoła, a nawet moja mama (tak, skontaktował się z moją matką) i poukładał je chronologicznie.

Oto ja.

Oto ja w dniu rozdania świadectw na zakończenie jednej z niższych klas w szkole imienia Toma Purdue. Łatwo mnie dostrzec. Jestem najwyższą dziewczynką na zdjęciu.

A to mama świeżo po porodzie Chloe. *Mojej siostry Chloe*. Wiedziała, że nie było mnie przy niej tamtego dnia, lecz teraz, w niezaprzeczalny sposób, udało mi się to nadrobić.

¹² Oto historia mojego życia (ang.)

A to już przeprowadzka moja i taty do nowego domu - nasze całe życie zapakowane w pudełka. Ace ciągnący mnie za kucyk na boisku do tenisa. Ja robiąca zdjęcie komuś, kto robił zdjęcie mnie. Ta osoba to Will - jakżeby inaczej! Widzę jego niewyraźne odbicie w obiektywie swojego aparatu.

A oto ja w czarnej wieczorowej sukience. Moje włosy są w kolorze ciemnego blondu, ale i tak widać na nich odrosty.

Można by powiedzieć, że te zdjęcia nie przedstawiają niczego szczególnie ekscytującego. Ale oto ja.

Oto ja, oto ja.

Kiedy tylko pokaz slajdów się skończył, uruchomiłam go od początku.

A później jeszcze raz.

To naprawdę surrealistyczne: oglądać całe swoje życie, zebrane przez Willa, na pokładzie samolotu unoszącego się dziesięć tysięcy stóp nad ziemią.

Will w dalszym ciągu nie wiedział przecież, że odzyskałam pamięć. Pewnie poświęcił na ten film mnóstwo czasu. Był to prawdopodobnie najmiłszy, najbardziej przemyślany prezent, jaki w życiu dostałam, a ja przez trzy miesiące nawet nie zadałam sobie trudu, żeby rzucić na niego okiem. Nic dziwnego, że był na mnie wściekły. Zachowałam się jak frajerka, niegodna takiego wysiłku.

Przez kolejne trzy godziny czułam się okropnie. Próbowałam zadzwonić z telefonu umieszczonego na siedzeniu przede mną, ale nie chciał zadziałać.

Tuż po lądowaniu włączyłam komórkę, ale, jak na złość, wyczerpała się w niej bateria. Wiedziałam, że tata będzie na mnie czekał przed stanowiskiem odpraw i że na jakiś czas mogę pożegnać się z wolnością. Zatrzymałam się więc przy najbliższym automacie telefonicznym. Nie miałam drobnych, dlatego musiałam zadzwonić na koszt odbiorcy.

- Mam na linii Naomi Porter. Williamie Landsman, czy zgadza się pan na obciążenie kosztami rozmowy? - zapytała operatorka.

- Czemu nie? - odparł Will. - Mów, czego chcesz.

- Przepraszam, że dzwonię na twój koszt - powiedziałam. - Komórka mi padła.

- W porządku.

- Ja... Dostałam prezent urodzinowy od ciebie. Właściwie dostałam go już wcześniej, ale obejrzałam dopiero dzisiaj. Chciałam ci tylko powiedzieć, że bardzo to doceniam. — Wyszło to inaczej, niżbym sobie życzyła. Moje słowa zabrzmiały sztywno i nie wyrażały tego, co czułam.

- No cóż... W porządku. Czy to już wszystko? Właściwie szykuję się do wyjścia.

- Will, ja...

- No co jeszcze? - wybuchnął. - Umówiłem się z Winnie.

- Tą od książki pamiątkowej? Winnifred Momoi z redakcji?

- Owszem, Winnie Momoi. Spotykam się z nią od początku semestru. Nie jesteś jedyną osobą na świecie, która ma swoją drugą połówkę.

- Na razie, Coach.

- Na razie. - Pierwszy odłożył słuchawkę.

Wyszłam do holu na spotkanie z tatą. Czułam się jak podeszwa bardzo znoszonego buta.

Tata najpierw mocno mnie uściskał, a później poprosił o moją komórkę.

- Nie działa — oznajmiłam, podając mu telefon.

- I tak już zostanie, skarbie. - Schował telefon do kieszeni. - Tak naprawdę jeszcze nigdy nie musiałem ci wymierzyć poważnej kary i nawet nie jestem pewien, czy wiem, jak się do tego zabrać.

- Komórka to chyba dobry początek - powiedziałam.

- Nie wolno ci też korzystać z telefonu stacjonarnego, a przynajmniej niezbyt często. - Tata wziął mój plecak i nie odezwał się do mnie, dopóki nie wsiedliśmy do samochodu.

Na autostradzie zaczął się rozwodzić nad swoimi planami ukarania mnie. Oświadczył, że mam „całkowity szlaban” na co najmniej miesiąc.

- Co to właściwie oznacza? - zapytał mnie po chwili.

- Nie jestem pewna - przyznałam.

- Zakaz spotykania się z Jamesem, jak sądzę - odpowiedział sam sobie. - Poza tym chcę, żebyś wracała ze szkoły prosto do domu. Będę cię do niej zawoził i przywoził z niej po zajęciach.

- Mogę chodzić pieszo, żeby zaoszczędzić ci fatygi - zaproponowałam.

- Nie, to już kwestia zaufania. Zrozum, Naomi, że już ci nie ufam. Jego słowa zaboląły mnie, ale wiedziałam, że na nie zasłużyłam.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zrezygnowałaś z pracy w redakcji? - zapytał.

- Nie wiem.

- Jak mam z tobą postępować, Naomi? Nie sądziłem, że doczekam dnia, w którym dasz nogę do Kalifornii, nic mi o tym nie mówiąc. Taki wyskok zasługuje na surową karę.

- Wiem o tym.

- Czy jesteś w stanie jakoś mi to wyjaśnić?

- Martwiłam się o Jamesa - zaczęłam. - Widziałam, że jest w kiepskim stanie...

- Dlaczego nie przyszłaś z tym do mnie? Nie wierzyłaś, że ci pomogę?

- Nie chodziło tylko o Jamesa, tato. O mnie też... Powiedziałam mu o wszystkim.

Także o tym, że wszystko sobie przypomniałam.

- Och, skarbie, dlaczego to przede mną ukryłaś? - zapytał, jednocześnie zaskoczony i uradowany.

- Moje życie biegło własnym torem i zaczynanie wszystkiego od nowa lub spoglądanie wstecz wydawało mi się zbyt trudne. A poza tym... nie chciałam stracić Jamesa. - Nie dodałam, że wydaje mi się, jakbym i tak tego nie uniknęła.

- Nie jestem pewny, czy dobrze cię zrozumiałem. Dlaczego miałabyś stracić Jamesa? - zapytał cicho tata.

- Ponieważ... może to nie będzie miało dla ciebie sensu, tato, ale brak przeszłości zawsze był czymś, co nas łączyło. - Bolało mnie samo wypowiedzenie kolejnych słów. - Myślę, że w dużej mierze dlatego mnie polubił.

- Bardzo w to wątpię. — Tata uśmiechał się przez sekundę, a później westchnął. - Znowu potrafisz prowadzić?

Kiwnęłam głową.

- W takim razie szkoda, że masz szlaban.

Nie zamieniłam z Jamesem słowa aż do wtorku wieczór, kiedy wrócił do Tarrytown i zadzwonił do mnie. Pewnie nie miałabym okazji z nim porozmawiać także wtedy, ale tata zostawił mnie samą na jakieś dziesięć minut i pojechał do sklepu po kawę.

Z początku James się nie odzywał, ale i tak wiedziałam, że to on.

- Nie mogę długo rozmawiać przez telefon, Jims — przerwałam wreszcie milczenie. — Właściwie wcale nie powinnam tego robić.

Przeprosił mnie, a później jeszcze bardziej ucichł - do tego stopnia, że słyszałam, jak Raina ogląda telewizję w swojej sypialni, lodówka cicho bzyczy, a kot Rainy - Louis - chłepce wodę z miski. Kiedy James wreszcie przemówił, jego głos zabrzmiał bardzo dziwnie.

- Co wiesz o sobie tak na pewno? - zapytał.

- Wiem, jak mam na imię - odparłam. Roześmiałam się, by zasygnalizować Jamesowi, że to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

Chyba wziął postawioną przeze mnie kropkę za wielokropkę, ponieważ mówił dalej:

- Poza twoim imieniem. Poza imieniem, poza faktami, co takiego o sobie wiesz, co jest prawdziwe, z gruntu prawdziwe?

Zwykle to lubiałam... takie pewnego rodzaju filozofowanie, ale tamtego wieczoru zaczęło mnie to przerażać.

- Wiem, że cię kocham - powiedziałam, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- Zastanawiam się - odparł. - Po prostu się zastanawiam. Czy gdybyś wszystko pamiętała, nadal czułabyś to samo?

Powinłam była mu się przyznać, że owszem, pamiętam wszystko. Ale tego nie zrobiłam.

Następnie James zapytał:

- Skąd wiesz, że zakochanie się we mnie nie było jednym wielkim urojeniem?

Poczułam się urażona, jakby powiedział, że to, co się między nami zdarzyło, nie było nic warte. Zrozumiałam jego słowa opacznie i nie wyraziłam tego, co myślałam naprawdę. Ze miłość to miłość i nie chodzi w niej o pamiętanie, a poza tym wiem wszystko, co powinłam wiedzieć.

Zamiast tego odparłam, że muszę już kończyć - tata mógł wrócić w każdej chwili, a ja i bez potajemnych rozmów miałam dość kłopotów.

A później James powiedział tym swoim czystym, mocnym, pewnym siebie głosem, że też mnie kocha (to też w dalszym ciągu sprawia mi ból) i że spotkamy się następnego dnia w szkole.

Nazajutrz podczas przerwy obiadowej zadzwoniłam na komórkę Jamesa ze szkolnego aparatu telefonicznego. Odebrała Raina.

- Naomi - powiedziała - właśnie miałam do ciebie dzwonić. To był zwariowany dzień. - Jej głos był słaby i zachrypnięty, jakby intensywnie rozmawiała przez całą noc.

- Czy coś się stało Jamesowi? - Znając historię Jamesa, do głowy natychmiast przyszły mi wszystkie najokropniejsze scenariusze.

- Nie - odparła. - Nic mu nie jest.

Okazało się, że James postanowił wrócić do Sweet Lake, ośrodka w Albany przeznaczonego dla osób psychicznie chorych, w którym przebywał rok temu.

- Dlaczego? - zapytałam. - Przecież dobrze się czuł.

- Myślę, że to wszystko nieco go przerosło - powiedziała.

- Czuł się dobrze - powtórzyłam.

- I właściwie nadal tak się czuje, ale nie chciał, by jego stan zdrowia się pogorszył. Kiedyś już się tak stało, wiesz? To dobrze, skarbie, że stara się być odpowiedzialny. - Powiedziała, że być może James zostanie tam tylko przez kilka dni i że umieszczono go w budynku przejściowym, a nie na oddziale pod pełnym nadzorem psychiatrycznym. Różnica polegała na tym, że w budynku przejściowym James mógł się uczyć i telefonować. - W gruncie rzeczy to tylko zwykły dom, Naomi -dodała. - Pewnie zadzwoni do ciebie za kilka dni, kiedy już się urządzi.

Byłam oszołomiona i oburzona zarazem. Nie mogłam uwierzyć, że po wczorajszym telefonie tak po prostu wyjechał do ośrodka, o niczym mi nie mówiąc.

Minął tydzień bez najmniejszej wiadomości od Jamesa. Postanowiłam, że jeśli on nie zadzwoni, ja to zrobię. Istniały sprawy, o których powinien wiedzieć, i te, które musiałam z siebie wyrzucić. Dlatego za każdym razem, gdy tata pracował lub wychodził z domu, dzwoniłam do Sweet Lake.

Przez kolejne trzy dni wykonałam pewnie z trzydzieści połączeń, ale James ani razu nie oddzwonił. Nie można się było łączyć bezpośrednio z jego pokojem. W końcu zapytałam recepcjonistę wprost, czy James w ogóle dostaje moje wiadomości. Recepcjonista ciężko westchnął, albo prychnął - przez telefon te dwa dźwięki brzmią dokładnie tak samo - i odparł, że James otrzymuje wiadomości, ale pacjenci czasami nie mają ochoty odpowiadać na telefony.

Chrzanić to. W takim razie pojedę do niego.

Nie zapomniałam o złożonej Jamesowi obietnicy. Nie zapomniałam jego reguł. Nie chciałam jednak, by siedział w zamknięciu, nie znając prawdy. A prawda była taka, że nie spotykałam się z nim z powodu urojeń czy amnezji. Kochałam go. Myślę, że naprawdę go kochałam.

I chrzanić Jamesa. To były jego reguły, nie moje. Nie wspominając o tym, że kiedy składałam Jamesowi obietnicę, miałam skrzyżowane palce.

Wiedziałam, że tata nie pozwoli mi jechać samej do Albany, a już na pewno nie w odwiedziny do Jamesa. Zadzwoiłam więc do Willa.

- Coachu. - Wiedziałam, że trochę przeginam z tym określeniem, ale chciałam wprawić go w jak najlepszy nastrój.

- Czego chcesz? - zapytał Will.

- Rzecz w tym, że potrzebuję twojej pomocy. Chciałabym, żebyś zawiózł mnie jutro do Albany.

- Niby dlaczego miałbym to zrobić? - zapytał.

- Nie wiem. - Naprawdę nie wiedziałam. Właściwie działałam pod wpływem impulsu. Zachowałam się wobec Willa jak ostatnia frajerka. Pożegnałam się z nim więc i już prawie się rozłączyłam, kiedy mnie zawołał:

- Zaczekaj chwilę. Nie powiedziałem przecież „nie”.

- W porządku.

- Co takiego jest w Albany? Wyjaśniłam mu.

- Naomi - odkąd odeszłam z redakcji, przestał zwracać się do mnie „Szefowo”, a teraz, gdy przypominałam sobie, jak dobrymi byliśmy przyjaciółmi, bolało mnie to - czy naprawdę sądzisz, że nie mam w sobotę lepszych rzeczy do roboty, niż wozić cię na spotkania z twoim szalonym chłopakiem?

- Jestem pewna, że masz. - Chciałam dodać, że James nie jest szalony, ale z tonu Willa wywnioskowałam, że zaczyna się łamać.

- Muszę zredagować księgę pamiątkową. Sam, powinienem dodać.

- Wiem o tym.

- A teraz mam też dziewczynę.

- No tak. - Widziałam go z Winnie Momoi. Wszyscy powtarzali, jak słodko wyglądali razem Winnie i Will. Nawet ich imiona brzmiały podobnie.

- Chciałem się tylko upewnić, że zauważyłaś pewną rzecz: moje życie nie kręci się już wokół ciebie — powiedział. - Zapłacisz za benzynę. I za posiłki. A także inne nieprzewidziane wydatki.

- Nieprzewidziane, czyli jakie?

- Takie tam... różności, witaminy, długopisy. Sam nie wiem. Teoretyzowałem. A właściwie jak długo jedzie się do Albany?

- Pewnie ze dwie godziny.

- OK, to będą dwie płyty. Muszę się zabrać za nagrywanie składanek na jutro. Pojadę tam z tobą, ale pamiętaj, że nadal się do ciebie nie odzywam, Naomi.

Postanowiłam nie otwierać mu oczu na rzecz oczywistą: właśnie ze mną rozmawiał.

Słyszałam w tle, jak Will grzebie w swoich płytach.

- *Piosenki dla Naomi odwiedzającej swojego szalonego chłopaka w Albany.* - Will i te jego składanki.

- Chwytny tytuł - powiedziałam.

- Zapelnę ją utworami słynnych szalonych muzyków, również tych, którzy popełnili samobójstwo: Jeffa Buckleya, Elliotta Smitha, Nicka Drakea. I może dorzucę kilka piosenek o miłości. Ale tylko takich, od których słuchania człowiek naprawdę ma ochotę ze sobą skończyć.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chcę cię prosić - przerwałam mu. — Zadzwoń do mojego taty i powiedz mu, że muszę coś załatwić w związku z księgą.

- Chryste, Naomi, nie zamierzam dla ciebie kłamać.

- Proszę, Will... Tobie mój tata uwierzy. Inaczej nie będę mogła pojechać.

- On wie, że odeszłaś z redakcji - odezwał się Will po chwili.

- Tak, wiem o tym. Po prostu powiedz mu, że chodzi o coś, co zobowiązałam się zrobić już wcześniej i z czym nikt inny sobie nie poradzi.

— Zastanowię się. Niczego nie obiecuję. Nie mówiąc już o tym, że nie podoba mi się pomysł okłamywania twojego taty.

Tamtego wieczoru Will zadzwonił do taty i opowiedział mu krótką historyjkę o tym, jak zobowiązałam się sfotografować Olimpiadę Specjalną. Tata nie zadawał mu żadnych pytań. Wszyscy wiedzieli, że William Blake Landsman nie jest kłamczuchem. Poza tym chyba zauważył, że potrzebuję wyrwać się z domu.

Wyjechaliśmy w sobotę o dwunastej. Przez większość czasu udawałam, że śpię. Byłam zbyt zdenerwowana, by zaryzykować rozmowę z Willem.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, Will powiedział, że zaczeka w samochodzie.

— Chcę, żebyś poszedł ze mną — oznajmiłam.

— Dlaczego? Masz pietra?

— Nie... Cóż, myślę, że istnieje niewielkie ryzyko tego, że James nie będzie chciał mnie widzieć, więc lepiej, jeśli podasz na recepcji swoje nazwisko.

— On nie wie, że przyjeżdżasz? — zapytał Will z niedowierzaniem.

— Niezupełnie - przyznałam.

— Gratulacje. Dopięłaś wszystko na ostatni guzik - powiedział, otwierając drzwi samochodu.

Spodziewałam się więzienia, ale Sweet Lake przypominało mi raczej dom Thomasa Jeffersona — Monticello — dokąd w czwartej klasie wybraliśmy się na szkolną wycieczkę. A może po prostu przywodziło na myśl wielki pensjonat.

Godziny wizyt w sobotę przypadały między dwunastą a dziewiętnastą. Zadzwoniłam wcześniej, żeby to sprawdzić. Na recepcji rozpoznałam tego samego mężczyznę, z którym tyle razy rozmawiałam przez telefon, i jestem prawie pewna, że on też rozpoznał mój głos, bo zapytał:

— Zdajecie sobie sprawę z tego, że pacjenci mają prawo odmówić spotkania?

Will podał na recepcji swoje nazwisko, a później poszliśmy do poczekalni.

- Will - usłyszałam głos Jamesa, gdy wszedł do pokoju. - Czy coś się stało z... - Wtedy mnie zauważył. Na początku myślałam, że wróci tam, skąd przyszedł, ale jednak został.

Podszedł do kanapy, na której siedziałam z Willem. Po chwili i on usiadł, ale nawet na mnie nie popatrzył. Zrobił to po upływie jakichś pięciu minut, ale jego spojrzenie nie było zbyt przyjemne.

- No więc? — rzucił.

Zastanawiałam się, czy nie poprosić Willa, żeby wyszedł, ale tego nie zrobiłam. Odkąd postanowiłam, że tu przyjadę, powtarzałam w głowie to, co chciałam powiedzieć Jamesowi. Wzięłam głęboki wdech.

- Wydaje mi się, że odniosłeś błędne wrażenie - zwróciłam się do Jamesa. Nie dbałam o to, czy chce na mnie patrzeć, czy nie - że gdybym wszystko pamiętała, nie chciałabym z tobą być. A skoro tak, nie powinnam marnować sobie życia, spotykając się z kimś, kto jest taki... felerny. Mam rację?

Kiwnął głową i wymamrotał pod nosem:

- Coś w tym rodzaju.

- No to posłuchaj. Od stycznia nie mam już amnezji. Kocham cię. To nie wdzięczność czy utrata pamięci, lecz miłość. Wiem, że jesteś pokrecony. Wszyscy jesteśmy. Nie przeszkadza mi to.

- Jesteś cholerną kłamczuchą - powiedział James.

- Nie mogę w to uwierzyć - wtrącił Will. - Jak mogłaś mi nie powiedzieć?

Spojrzałam na niego.

- Nie wiem. Przepraszam.

Twarz Willa była czerwona jak burak.

- Zaczekam na ciebie w samochodzie - oznajmił, a później wyszedł.

James nie odzywał się do mnie przez długą chwilę. Wreszcie powiedział:

— Wyjdźmy na zewnątrz. Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej. Dzień był ładny, chociaż nie słoneczny. Było wilgotno i niezbyt

chłodno, jakby zima miała już dosyć siebie samej i tęskniła za wiosną, tak jak wszyscy na ziemi. Usiedliśmy przy stoliku piknikowym.

Chciałam dotknąć Jamesa, ale czułam, że mi na to nie pozwoli. W końcu sam chwycił mnie za rękę.

— Jest zimno — zaczął. Objął swoimi suchymi i ciepłymi dłońmi moją dłoń. — Czasami — odezwał się po chwili - czułem się zazdrosny o twoją amnezję. Wiem, jak wariacko to brzmi. Przez bardzo długi okres mojego życia pragnąłem jedynie zapomnieć o wszystkim, co mnie spotkało... Po śmierci mojego brata bez trudu wyobrażałem sobie, jak sam umieram w młodym wieku. Ale ostatnio dotarło do mnie, że pewnie tak się nie stanie, o ile sam nie przyłożę do tego ręki. Dla ciebie to pewnie oczywiste, ale dla mnie, no cóż, to coś nowego. A skoro nie umrę młodo, to znaczy, że będę musiał żyć z konsekwencjami swoich działań. Czyli powinienem sobie wszystko poukładać, wiesz?

Wiedziałam.

— Bo teraz jestem starszy niż mój brat w momencie swojej śmierci. I zamierzam pójść do collegeu, czego on nigdy nie zrobił. Z mojego punktu widzenia nadszedł naprawdę dobry czas, by się tym wszystkim zająć. Jeśli chodzi o ciebie... Cóż, nie chcę, byś stała się drugą Serą - przyznał. - Ale mi to utrudniasz. Żałuję, że nie poznaliśmy się na innym etapie mojego życia. Kiedy już będę starszy i jakoś to sobie ogarnę. Albo gdy byłem młodszy, zanim wszystko się pochrzaniło. Pewnego dnia - dodał - wpadniemy na siebie, wiem o tym. Może będę starszy, mądrzejszy i po prostu lepszy. Jeśli tak się stanie, będę wówczas na ciebie zasługiwał, Naomi. Ale teraz, w tym momencie, nie możesz połączyć swojej łodzi z moją, bo istnieje ryzyko, że przeze mnie obie poszłyby na dno.

Obiecałam Jamesowi, że zostawię go samego, dopóki stąd nie wyjdzie. A później, ponieważ nie mogłam się powstrzymać, zapytałam, kiedy to może nastąpić. Wstyd się przyznać, ale zastanawiałam się już nad tym, czy będzie mógł ze mną pójść na majowy bal młodszych klas.

Odparł, że ponieważ realizuje program przejściowy, uczy się przez Internet i ma nadzieję wrócić do szkoły na rozdanie dyplomów, może wcześniej, ale nie jest pewien.

— Ja... cieszę się, że cię widzę, Naomi, ale i tak wstydzę się tego miejsca — powiedział. — Chciałem, żebyś uważała mnie za kogoś doskonałego.

— Wiedziałam, że nie jesteś doskonały.

— Tak, ale chciałem, byś przynajmniej uważała mnie za takiego. Siedzieliśmy przy stole piknikowym przez długi czas, dopóki świat nie zaczął się pograżać w coraz większej ciemności. Przez sekundę marzyłam o tym, by czas się zatrzymał i już na zawsze pozostał zmierzch. Może mogłabym przeżyć całe swoje życie na tej parkowej ławce u boku Jamesa, którego kochałam. Słońce zaszło.

Godziny odwiedzin dobiegły końca.

Pocałowałam Jamesa na pożegnanie i pojechałam z Willem do domu.

W drodze powrotnej Will nie odzywał się do mnie przez pierwsze półtorej godziny, a kiedy wreszcie przemówił, to tylko po to, by poinformować mnie, że chce się zatrzymać w przydrożnym barze.

— Chcę ci tylko przypomnieć, że mam prawo wybrać z menu, co tylko zechcę — zaznaczył.

Na szczęście zamówił tylko hamburgera i koktajl czekoladowy, bo miałam przy sobie zaledwie czterdzieści dolców, które musiały nam starczyć także na benzynę. Nie dopisywał mi apetyt, więc tylko patrzyłam, jak Will je.

— Skoro... skoro... skoro wróciła ci pamięć, czy to znaczy, że przypomniałaś sobie wszystko?

Spojrzałam mu w oczy. -Tak.

— *Wszystko* wszystko?

Byłam prawie pewna, że ma na myśli tamten wieczór i nasz pocałunek, ale niekoniecznie chciałam z nim o tym teraz rozmawiać.

-Tak.

Will kiwnął głową i zjadł kilka frytek.

- A tamten dzień, gdy kazałem ci wrócić po aparat? Normalnie sam bym to zrobił. Byłem wtedy taki uparty, bo nie chciałem, żebyś myślała, że coś się między nami zmieniło. Chyba trochę przesadziłem.

- To nie była twoja wina - odparłam. - Sama się potknęłam. Will kiwnął głową.

- Byłem urażony - oznajmił. - Mogę powiedzieć, że tamtego dnia czułem się szczerze urażony. Zakochałem się w tobie, a ty następnego dnia zachowywałaś się tak, jakby nasz pocałunek nic nie znaczył.

- Will... - westchnęłam. - Oczywiście, że znaczył. Jak mogłoby być inaczej? Jesteś moim najlepszym przyjacielem, mam rację?

- Wiem, że powinienem był coś powiedzieć wtedy na parkingu, ale zanim nadarzyła się odpowiednia okazja, ty o wszystkim zapomniałaś. Wcale mnie nie pamiętałaś. A później odeszłaś z redakcji. Poznałaś Jamesa. Było już za późno. Ale najgorsze w tym wszystkim jest to, że... po tym, jak ty i ten idiota Zuckerman zerwaliście ze sobą, może miałem wtedy szansę? Tylko że wtedy też nic nie powiedziałem. Ale już cię nie kocham - oświadczył zdecydowanie.

-Will...

- Już cię tak mocno nie kocham - dodał.

Nie potrafiłam wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi. Do pewnego stopnia żałowałam, że nie jestem zakochana w Willu zamiast w Jamesie. Tak byłoby łatwiej dla wszystkich.

W następnym tygodniu James przysłał mi pocztówkę.

Z początku rysunek mnie rozśmieszył, co pewnie było zamiarem Jamesa. Przedstawiał parę wielkookich, przypominających aniołki szkrabów o blond włosach (rodzeństwo, a może coś więcej?) na plaży. Napis nadrukowany u dołu zdjęcia głosił: *Szkoda, że Cię tu nie ma... Albany, stan Nowy Jork*. Czy w Albany w ogóle są plaże? Biorąc pod uwagę miejsce, w którym przebywał James, wątpiłam, by naprawdę żałował, że mnie *tam* nie ma.

Odwróciłam kartkę i zobaczyłam wiadomość, która składała się z zaledwie dwóch słów, bez podpisu. „Zapomnij mnie” — to wszystko, co napisał do mnie James.

Była to najgorsza rzecz, o jaką mógł mnie poprosić ten, kto mnie znał. Owszem, zostawię Jamesa w spokoju.

Nie, nie zapomnę o nim. To nie zależało od niego.

Jedyną osobą, z którą miałam ochotę o tym porozmawiać, był Will.

Zadzwoiłam do niego, ale nie odebrał telefonu. Pobiegłam do szkoły - wysiłek dobrze mi zrobił - i zastałam go w redakcji książki pamiątkowej, pogrążonego w rozmowie z Winnie Momoi. Nie chciałam im przeszkadzać, więc zaczekałam w korytarzu, aż któreś z nich wyjdzie. Will pewnie zauważył mnie przez szybę w drzwiach, bo wyszedł z redakcji już po kilkunastu sekundach. Od razu wybuchnęłam płaczem, chociaż zauważyłam, że Winnie podejrzliwie się nam przygląda.

Widziałam, że Will chce mnie zapytać, co się stało, ale tego nie zrobił. Objął mnie ramieniem i zaczęliśmy iść w stronę jego samochodu. Jedyne słowa, jakie do mnie wypowiedział, brzmiały: „Nie masz na sobie płaszcza”. A później pobiegł do biura i wrócił ze swoją zamszową kurtką w zwariowanym, pomarańczowym kolorze, z kołnierzem z owczej wełny, i kazał mi ją założyć. Kurtka musiała ważyć z trzydzieści kilo. Will wyglądał w niej strasznie masywnie, więc sama właściwie w niej utonęłam.

- To już naprawdę koniec - oznajmiłam w drodze do domu.

- Wiem - odparł Will.

- Frajerka ze mnie.

- To nieprawda, Szefowo. Jesteś wspaniałą dziewczyną.

Jego słowa wywołały kolejny atak płaczu. Wcale nie czułam się wspaniale.

Nie płakałam jednak z powodu rozstania z Jamesem. Sądzę, że przyczyną moich łez było to, że wcale mnie nie znał, a ja nie znałam jego i zachowywałam się jak idiotka. Wszystko między nami pogmatwało się do tego stopnia, że nie mogłam mu się nawet przyznać do odzyskania pamięci.

Płakałam także z powodu chłopca, którym chciałam, żeby się stał, lecz nigdy mu się to nie udało.

I grawitacji, która ściągnęła mnie ze schodów w dół. Wcześniej wydawało mi się, że to coś znaczy, ale może wszystko spadało w takim właśnie kierunku bez żadnej konkretnej przyczyny?

Moje serce było nadłamane (czy to w ogóle możliwe?), ale mimo to musiałam iść do szkoły. Skryłam je szczelnie pod zapiętą koszulą i zimowym płaszczem. Miałam nadzieję, że nie rzuca się za bardzo w oczy.

Następnego popołudnia spotkało mnie coś zabawnego. Stałam przy swojej szafce i rozmawiałam z Alice, kiedy podeszła do mnie Winnie, dziewczyna Willa.

Winnie miała długie ciemne włosy, które przywoływały wspomnienie o mojej mamie i sprawiały, że trochę tęskniłam za moją dawną fryzurą. Moje włosy zaczęły ostatnio wyglądać okropnie - nie były już ani krótkie, ani długie. Kiedy je obcinałam, nie zastanawiałam się niestety, ile czasu potrzebują, by odrosnąć.

Wróćmy jednak do Winnie. Chociaż była o trzynaście centymetrów niższa niż ja, i tak na mnie naskoczyła.

- Posłuchaj, Naomi - powiedziała. - Will był w tobie zakochany, obie o tym wiemy. Wszyscy o tym wiedzą. Ale Will jest człowiekiem honoru, a ty go odtrąciłaś, kiedy zaczęłaś spotykać się z Jamesem, więc teraz powinnaś zostawić go w spokoju.

- Rękawica rzucona - wypaliła Alice, wydając z siebie ciche gwizdnięcie.

Byłam zszokowana. Winnie zawsze wydawała się taka słodka i uważałam ją za ostatnią osobę, która mogłaby naskoczyć na kogoś na szkolnym korytarzu z hasłem: „Odczep się od mojego faceta”.

Powiedziałam jej, że Will i ja tylko się przyjaźnimy, o ile w ogóle można to nazwać przyjaźnią.

Winnie zmrużyła oczy, zmierzyła mnie piorunującym spojrzeniem i odeszła.

- Chcesz, żebym skopała jej tyłek, aniołku? - zwróciła się do mnie Alice. - Jesteśmy podobnego wzrostu, ale jestem odważniejsza, niż na to wyglądam.

Pokręciłam głową. Chociaż podejrzenia Winnie były absurdalne, a mnie faktycznie przydałby się przyjaciel, postanowiłam, że będę trzymać się z daleka od Willa. Potrzebowałam jego przyjaźni, ale nie byłam pewna, czy na nią zasługuję.

Będe

Nadal miałam szlaban, choć to i tak było bez znaczenia. Nie istniało ani jedno miejsce, do którego chciałabym się wybrać.

Dla zabicia czasu uczyłam się, próbowałam wymyślić nowy temat projektu fotograficznego i wałęsałam się po okolicy.

Skończyłam też czytać książkę napisaną przez tatę. Chociaż kupiony przeze mnie egzemplarz został w samochodzie Jamesa, na szczęście w domu znalazłam jeszcze jeden. Jej treść w dużej mierze odpowiadała opisowi z okładki, ale był w niej fragment, w którym tata mówił o „emocjonalnej niewierności” wobec mamy, jeszcze zanim się rozstali. Pisał o tym, że wiecznie flirtował, pragnąc, by ludzie go lubili. Zależało mu nawet na tym, by dziecko (czyli ja) kochało go bardziej. „Rola mojej żony musiała być momentami trudna” — przyznał. Dziwnie było dowiedzieć się, że mój tata myślał takimi kategoriami.

Słuchałam dużo muzyki. Najpierw przebrnęłam przez wszystkie swoje płyty, a później przez te, które nagrał dla mnie Will, a kiedy już skończyłam, przesłuchałam je od początku. Słuchanie tych składanek teraz, gdy odzyskałam pamięć, było dla mnie kompletnie nowym przeżyciem. Każda z piosenek coś dla mnie znaczyła. Stanowiły rodzaj więzi między mną i Willem, wspólnego języka, którego istnienia nigdy wcześniej bym się nie domyśliła. Ostatnia piosenka na pierwszej skła-

dance, jaką mi podarował {*Piosenki dla nastolatki z amnezją, część 1*}, nosiła tytuł / *Will*. Była słodka i staroświecka, trochę tak jak sam Will.

Jakiś miesiąc od wyznaczenia mi kary tacie znudziło się patrzeć, jak bez celu snuję się po domu.

- W ten weekend pozwałam ci wyjść - oznajmił któregoś dnia. Zapytałam go, czy to znaczy, że mój szlaban się skończył.

- Nie - odparł - ale wysyłam cię do mamy.

Pewnie mogłam się nie zgodzić, zrobić wielką awanturę, tylko po co? Wiedziałam, że i tak wystarczająco długo zwlekałam z tą wizytą.

Kiedy dotarłam do mieszkania mamy, to właśnie ona otworzyła mi drzwi. Posyłając mi uśmiech, powiedziała, że wysłała gdzieś Fusea i Chloe na cały dzień, żebyśmy mogły pobyć same.

- Pomyślałam, że mogłybyśmy porozmawiać o twoim projekcie fotograficznym. Powiedz mi, co to ma być, Naomi. - Wypowiedź mamy zabrzmiała sztywno, jakby ćwiczyła ją od wielu dni. Jej zdenerwowanie w pewien sposób mnie wzruszyło.

Poszłyśmy do jej studia, gdzie pokazała mi zdjęcia — swoje i cudze, i zaczęłyśmy snuć wizje dotyczące mojego projektu.

Jeden z prywatnych albumów mamy zawierał zdjęcia z okresu jej ciąży. Każdego dnia przez osiem miesięcy robiła sobie jedno zdjęcie. W dniu, w którym dowiedziała się od lekarza, że na pewno spodziewa się dziecka, umieściła jeden ze swoich aparatów na statywie i wycelowała jego obiektyw w obity aksamitem fotel koloru burgunda. Zapamiętałam ten mebel z naszego dawnego domu, ponieważ tata zawsze go nienawidził. Kiedy przeglądałam album, mama właśnie siedziała w tym fotelu.

Wszystkie zdjęcia miały jednakową kompozycję - moja mama siedząca w fotelu. Zmieniały się tylko ubrania i rozmiar brzucha. Gdzieś tam na zdjęciach pojawiała się dłoń Fusea spoczywająca na brzuchu mamy. Łącznie w albumie znajdowało się dwieście dwadzieścia pięć fotografii. Gdyby ułożyć je jedna na drugiej i naprawdę szybko przewertować, powstałby film w obrazkach, nie pokazujący niczego poza cudem ludzkiego życia. Oczywiście jeśli kogoś kręciły takie tematy. ...

Ostatnie zdjęcie przedstawiało szare niebo i moją mamę ubraną w niebieskie dzinsy i białą koszulkę w serek, która, jak się domyślałam,

należała do Fusea. Wyraz jej twarzy nie był jednoznacznie wesoły czy smutny - plasował się gdzieś pomiędzy powitaniem dawno niewidzianej osoby a stłumieniem ziewnięcia.

Mama zbliżyła się, żeby spojrzeć mi przez ramię.

- Te zdjęcia pochodzą sprzed wielu lat. Nie było cię jeszcze wtedy na świecie.

- A więc to nie jest Chloe? - zdziwiłam się.

Mama pokręciła głową. W jej oczach pojawiło się tęskne spojrzenie.

- Straciliśmy je z twoim tatą.

Nie wiedziałam o tym. Wydawało mi się, że nie mogli mieć dzieci. Jakie to dziwne, że można nie wiedzieć o kimś tylu rzeczy, nawet jeśli mieszka się z tą osobą pod jednym dachem. Historia tego dziecka w pewien sposób stanowiła początek mojej własnej. Chociaż ani ja, ani nikt inny nigdy by się tego nie domyślił, patrząc na te fotografie. Chyba że ktoś dodałby do nich przypis.

I wtedy właśnie wpadłam na pomysł tematu mojego projektu fotograficznego. Każde z moich zdjęć będzie stanowiło przypis do następnego. Innymi słowy, wszystkie fotografie będą się wzajemnie uzupełniać, tłumaczyć jedna przez drugą.

Pierwsze zdjęcie projektu przedstawiało moje „narodziny”. Udało mi się kupić walizkę po maszynie do pisania w sklepie z używanymi rzeczami i zawiozłam ją do nowojorskiego mieszkania mamy. Chloe odgrywała rolę niemowlęcia, chociaż była na to za duża. Nie mogła się zmieścić do walizki, więc ostatecznie na niej stanęła.

Kolejna fotografia wiązała się już głównie z Chloe. Przedstawiała mnie i ją w aksamitnym fotelu mamy. Chciałam w ten sposób pokazać, że jesteśmy ze sobą spokrewnione, ale tylko przez ten fotel, a nie przez

więzy krwi. Ustawiłam aparat tak, żeby z przodu zdjęcia było widać plecy mamy i statyw jej aparatu.

Jedno ze zdjęć poświęciłam aparatowi leżącemu u podnóża schodów szkoły imienia Toma Purdue. Tamtego dnia padało, dzięki czemu ujęcie wyszło wprost doskonale. Na początku wydawało mi się, że ta fotografia mówi o Jamesie, ale teraz myślę, że jednak bardziej o mnie.

Kolejne zdjęcie zrobiłam w tym samym parku w Rye, do którego pojechałam z Jamesem. Położyłam maszynę do pisania na środku pola, a walizkę po niej możliwie najdalej, tak by oba przedmioty zmieściły się w kadrze. To zdjęcie poświęcone było chyba Willowi. A może tylko stanowiło nawiązanie do maszyny do pisania?

Zrobiłam jeszcze około dwudziestu pięciu fotografii. Zabrało mi to prawie cały miesiąc, ale byłam zadowolona z efektów.

Kiedy prezentowałam swój projekt na zajęciach z panem Weirem, z początku trochę się bałam — dzieciaki z warsztatów potrafiły ostro krytykować.

— Kiedy byłam młodsza — zaczęłam — moi rodzice napisali serię książek. Tata stworzył teksty, a mama zdjęcia, chociaż czasami dołączała też przypisy. Tak naprawdę pojawiają się na kartach tych książek wyłącznie w przypisach. A także na zdjęciu znajdującym się na skrzydełku okładki. Zatyłowałam swój projekt *Przypisy do utraconej młodości*, ale w dalszym ciągu się nad nim zastanawiam. Może się wydać nieco pretensjonalny...

Pan Weir wystawił mi czwórkę. „Byłaby piątka — powiedział — ale musiałem ci obniżyć ocenę za to, że tak długo zwlekałaś z oddaniem projektu”. Umieścił też moje zdjęcia w szkolnej galerii. Dziwnie było widzieć coś tak osobistego wystawionego na widok publiczny, ale najfajniejszą rzeczą w sztuce jest to, że i tak nikt do końca nie wie, co autor miał na myśli.

Tata i Rosa Rivera odwiedzili wystawę, podobnie jak Alice, Yvette i wszystkie dzieciaki, z którymi występowałam w sztuce.

Will także przyszedł obejrzeć moje zdjęcia. Nie miałam o tym pojęcia, ale pewnego razu znalazłam w skrzynce na listy składankę zatytułowaną *Przypisy do utraconej młodości*. Na pierwszym miejscu listy znalazła się

Yoshimi Battles the Pink Robots, part 1, piosenka, nad którą zastanawiał się wiele miesięcy temu. Poczulałam, że mi wybaczył.

Nawet mama i Fuse przyjechali z miasta, żeby zobaczyć moje fotografie. Po wszystkim zabrali mnie na kolację. Pomyśleć, że ze wszystkich możliwych tematów do rozmowy wybraliśmy opowieść o tym, jak się spotkali.

Pierwszy raz w szkole średniej, o czym wiedziałam już wcześniej. Fuse powiedział, że drugi raz nastąpił dwadzieścia lat później na stacji metra w Brooklynie. Mama chciała dojechać na swoją wystawę, a Fuse czekał na pociąg w przeciwnym kierunku, który miał go zawieźć na Manhattan, na spotkanie z klientami. Tuż przed przyjazdem metra mamy Fuse zapisał jej swój numer na świstku papieru i podniósł go do góry, żeby mogła zobaczyć, ale nie miał pojęcia, czy mama zapisze numer ani czy zadzwoni. Później pociąg mamy odjechał ze stacji, a ona wciąż stała na peronie, grzebiąc w torebce. Krzyknęła ponad torami: „Nie mogłam znaleźć długopisu”. Fuse podniósł palec do góry, mając na myśli to, że powinni się spotkać przed wejściem na stację.

- Tak więc, w zależności od punktu widzenia, historia naszej miłości trwała dwadzieścia lat lub trzydzieści sekund - zażartowała mama.

- Czyli bardzo długo lub bardzo krótko - odparłam.

- Historie miłosne pisane są w milimetrach i milisekundach, za pomocą szybkich i precyzyjnych ołówków, których ślady ledwie można dostrzec gołym okiem - odezwał się Fuse. - A także w milach i eonach, drążone dłutami w górskich szczytach.

- Kochanie - powiedziała mama z rozbawieniem - to było strasznie poetyckie. - Odkasznęła. - I pretensjonalne.

- Wszystko przez te studia filozoficzne - odparł Fuse, oblewając się rumieńcem.

Tydzień później poszłam do szkolnej galerii po odbiór zdjęć. Kiedy dotarłam do tego, które przedstawiało Chloe i mnie, zamyśliłam się nad różnicą między naszym pochodzeniem.

Dla Chloe mama znosiła ból, pot i przybrała na wadze szesnaście kilogramów. Ale musiała przejechać ledwie kilka przecznic dzielących jej mieszkanie od szpitala.

Dla mnie wypełniła dziesiątki formularzy, mocno trzymała kciuki, zapłaciła piętnaście tysięcy dolarów, musiała przewyciężyć barierę językową i poradzić sobie z bandą oportunistycznych rosyjskich biurokratów. A po tym wszystkim przesiedzieć trzydzieści godzin w autokarze.

Dołączyliśmy do niej w tak różny sposób, ale efekt był w gruncie rzeczy ten sam. Tak jak powiedział Fuse, historię miłosną można wyrazić w milimetrach lub w milach.

Któregoś dnia Ace ponownie zaczepił mnie z pytaniem, czy nie chciałabym dołączyć do drużyny tenisa. Jego partnerka do mieszanego debla, Melissa Berenboim, zerwała więzadło krzyżowe. Kontuzja wyeliminowała ją z trzech ostatnich meczów i Ace szybko potrzebował za nią zastępstwa.

— Stwierdził, że jako para nie powinniśmy razem grać, ale teraz to chyba bez znaczenia - powiedział.

— A co z naszą kłótnią i całą resztą?

— Podejrzewałem, że o to zapytasz, ale muszę być przede wszystkim dobrym kapitanem dla swojej drużyny. A dla niej najważniejsze jest teraz to, by znaleźć zastępstwo za Missy. Naomi, istnieją rzeczy o wiele ważniejsze niż głupie sprzeczki między nami.

— Na przykład jakie? — Byłam ciekawa jego odpowiedzi.

— Tenis. I mocne kolana.

— Ostrzegam cię, że kompletnie wyszłam z wprawy.

— Przywrócę cię do formy w mgnieniu oka, Porter.

Prawdę mówiąc, już od jakiegoś czasu chciałam wrócić do tenisa. Nie byłam najlepszą zawodniczką na świecie, ale kochałam grać. I Ace doskonale o tym wiedział.

— W sumie dlaczego nie? — odparłam.

Ace to wymarzony partner do debla: nie był samolubny, nie próbował odbić każdej zagrywki, instynktownie wiedział, do której piłki

dobiegnę, a do której nie. Stanowiliśmy dobry tandem. Odnieśliśmy więcej zwycięstw niż porażek - nie lada sukces, zważywszy na to, jak niewiele czasu poświęciliśmy treningom.

Poza tym oboje świetnie się bawiliśmy na korcie. Jeśli na przykład wynik meczu wynosił czterdzieści do zera¹³, Ace rzucał żart w rodzaju:

- Może to i miłość, ale raczej nie, skoro dziewczyna rzuca cię w noc po balu.

- Ha, ha, ha - odpowiadałam wtedy. Pewnego dnia założyłam opaski od Acea.

- Zauważyłeś coś szczególnego? - zapytałam go, podnosząc ręce. Ace zagwizdał i odparł:

- Facet, który ci je kupił, musiał być niezłym romantykiem. Może i te dowcipy były banalne, ale przynajmniej nas bawiły. Łatwo było sobie przypomnieć, dlaczego kiedyś mi się podobał.

W drodze powrotnej z meczu, kiedy siedzieliśmy w szkolnej furgonetce, Ace powiedział:

- Słyszałem o Jamesie.

- Mhm - mruknęłam, mając nadzieję, że nie będzie drażył tego tematu.

- Może mogłabyś go odwiedzić?

Wyjaśniłam mu, że już to zrobiłam, ale postanowiliśmy trochę od siebie odpocząć.

Ace kiwnął głową, po czym dodał:

- Widać, że naprawdę go kochasz. Wiem, jak wyglądasz, kiedy jesteś zakochana. Znam cię. Naomi... Po naszym zerwaniu mogłem powiedzieć o tobie kilka niemiłych rzeczy. Przepraszam cię za to.

Oczywiście wybaczyłam mu to już wieki temu. Ale powiedziałam, że i ja go przepraszam.

- Już wcześniej nam się nie układało, co? Mam na myśli czasy przed moim wypadkiem.

Ace uśmiechnął się głupkowato i tylko pokręcił głową.

W trzecim tygodniu maja pomagałam Alice malować scenografię do jej nowej sztuki, *Hamleta*, kiedy nagle do teatru wkroczył James.

Nie wiedziałam, że wraca do domu akurat tamtego dnia.

¹³ W żargonie tenisowym wynik zerowy określa się jako *love* - miłość (ang.)

W dalszym ciągu był przystojny jak diabli. Mniej wychudzony, co tylko wyszło mu na dobre. Zapytał mnie, czy chciałabym wypić z nim kawę. Odparłam, że muszę najpierw skończyć malowanie, i tak właśnie zrobiłam.

W kawiarni James opowiedział mi o Sweet Lake, a ja opowiedziałam mu o swoich zdjęciach.

Oznajmił mi, że rzucił palenie, a ja jemu, że zaczęłam zapuszczać włosy.

Wyznał mi, że kiedy nie było go w Tarrytown, zaprzyjaźnił się z dziewczyną o imieniu Elizabeth, a ja wyznałam mu, że w zeszłym tygodniu wysłałam Chloe wiersz Emily Dickinson.

— Który? — zainteresował się James.

- *Jestem nikim*. To właściwie rodzaj przezwiska, które dla mnie wymyśliła. Czytaliśmy ten wiersz na zajęciach z panią Landsman, więc skserowałam go i wysłałam Chloe. Jako dziecko uwielbiałam dostawać listy, a ty?

James kiwnął głową.

Wkrótce potem skończyły nam się tematy do rozmowy.

Dziwnym trafem nasz czas minął. Byłam już inną osobą. On też. Poza naszym „szaleństwem” (bo jak inaczej to nazwać?) niewiele nas już łączyło. A może po prostu zbyt wiele rzeczy wydarzyło się w zbyt krótkim czasie. To trochę jak wybrać się na wycieczkę z osobą, którą niezbyt dobrze się zna. Czasami można szybko się do niej zbliżyć, ale później, kiedy wycieczka się kończy, zaczynamy rozumieć, że był to fałszywy rodzaj bliskości, intymność zbudowana bardziej na samej podróży niż na jej uczestnikach.

Niezależnie od powodów wiedziałam, że James czuje to samo.

Kiedy wypiliśmy kawę, odwiózł mnie do domu.

- Masz rękę brudną od farby - zauważył. - Tak jak ja podczas naszego pierwszego spotkania.

- Tylko że u ciebie to była krew - odparłam. - Farbę łatwo można zmyć.

- To prawda. Moja rana też zagoiła się całkiem szybko. - Pocałował mnie w policzek.

Na bal wybrałam się sama, ale koniec końców spędziłam go w towarzystwie Yvette i Alice.

Pierwszą osobą, na którą wpadłam, był Ace. Spotykał się teraz z tenisistką z innej szkoły. Ace przedstawił mnie jako swoją byłą dziewczynę i obecną partnerkę do mieszanego debła.

- Pewnie nie byłaś tego wszystkiego ciekawa - powiedziałam do dziewczyny Acea, przewracając oczami.

Will przyszedł na bal z Winnie. Założył smoking w kolorze pudrowego błękitu, a ona wyglądała na bardzo drobną w dobranej pod kolor tiulowej sukience z rozkloszowaną spódnicą w stylu vintage. (Ja jestem zbyt wysoka do większości takich ubrań). Co prawda od tego błękitu aż mieniło się w oczach, ale oboje wyglądali rozkosznie. Will i ja nie mieliśmy jednak okazji, by ze sobą porozmawiać. W pewnym momencie mrugnął do mnie z drugiego końca sali. Odpowiedziałam mu tym samym.

Will zachowywał się jak pierwszorzędny chłopak. Przynosił Winnie poncz, znajdował miejsce siedzące, kiedy chciała odpocząć, i pilnował jej torebki, kiedy szła do toalety.

Był dla Winnie naprawdę dobrym chłopakiem, pewnie takim, jakim mógłby być - gdzieś tam, w innym świecie - dla mnie.

Rosa Rivera, mój tata i ja oglądaliśmy program przyrodniczy. Tata w dalszym ciągu je oglądał, chociaż już rzadziej i w towarzystwie Rosy Rivery lub moim.

Program poświęcony był jeżozwierzom. Kiedy pan jeżozwierz chce się skojarzyć w parę z jakąś samiczką, śpiewa dla niej piosenkę. Jeśli pani jeżozwierz nie jest w nastroju do zalotów lub upatrzyła sobie innego samca, wówczas udaje, że go nie słyszy, a później ucieka. Czasami zdarza się, że z jeżozwierzem wszystko jest w porządku, a ona i tak daje nogę, ponieważ nie jest gotowa na gody. Ale jeśli i czas, i samiec są odpowiednie, samica staje z nim pyszczek w pyszczek, tak blisko, że stykają się brzuskami. Naprawdę nie żałują czasu na to, by przyglądać się sobie.

- To takie słodkie - zauważyła Rosa Rivera. - W ten sposób on okazuje jej szacunek. Dlaczego ty tak nie robisz? - odwróciła tatę w taki sposób, by patrzył jej w oczy, zwyczajem jeżozwierzy.

- Kiedy już dokładnie się sobie przyjrzą - kontynuował narrator -samiec jeżozwierza od stóp do głów pokrywa samicę własnym moczem.

- Nigdy tego nie rób, kochanie - zwróciła się Rosa do taty.

- Własnym moczem? - powtórzył tata. - Czy to nie oczywiste? Niby czyjzego moczu miałby użyć?

Następnie narrator zalecił widzom, by „nigdy nie podchodzili zbyt blisko jeżozwierzy w okresie godowym”. Uznałam jego radę za rozsądną, choć także oczywistą.

Nie dowiedziałam się, co następuje po rytuale obsikania, ponieważ rozdzwoniła się moja komórka i wyszłam do jadalni, by ją odebrać. Dzwoniła dziewczyna Willa, Winnie.

— Jestem ciekawa, czy nie masz jakichś wieści od Willa — oświadczyła sztywno bez słowa wstępu.

Nie rozmawiałam z Willem od przerwy obiadowej i nie było w tym nic niezwykłego, skoro nie należałam już do redakcji księgi pamiątkowej i nie mieliśmy wspólnych zajęć. Czasami dzwonił do mnie wieczorem, ale równie często tego nie robił.

— Nie — powiedziałam. — A dlaczego pytasz?

— Od czasu przyjazdu karetki z nikim się nie kontaktował. Myślałam, że może zadzwonił do ciebie.

— O czym ty mówisz, Winnie? Jakiej karetki?

— A więc o niczym nie słyszałaś? - zapytała. *Najwyraźniej nie.* Dlaczego ludzie zawsze zadają to pytanie?

— Nie - odparłam. - Opowiedz mi.

Wszystko podobno zaczęło się po lekcjach w redakcji *Phoenix*. Najpierw Will dostał ataku kaszlu, a później powiedział, że ma problemy z oddychaniem. Próbował dalej pracować, chociaż wszyscy widzieli, że nie jest sobą. W końcu stracił przytomność. Odzyskał ją tuż przed przyjazdem karetki. Winnie powiedziała, że kazał wszystkim zostać w redakcji i nie chciał, by ktokolwiek jechał z nim do szpitala. Obiecał też, że zadzwoni do nich później z dalszymi instrukcjami.

— Czy to nie w jego stylu? - zapytała Winnie. - Tylko że do nikogo nie zadzwonił, co wydaje się do niego zupełnie niepodobne, a teraz wszyscy odchodzą od zmysłów. Powinnam była z nim jechać. Nie mogę się dodzwonić do pani Landsman. Myślisz, że on umiera, Naomi?

— Przepraszam cię, Winnie, muszę natychmiast kończyć. Zadzwonię do ciebie, jeśli czegoś się dowiem. - Rozłączyłam telefon drżącymi palcami.

Tata wyłączył dźwięk w programie o jeźozwierzach i zawołał do mnie z salonu:

- Wszystko w porządku, Naomi?

Wzięłam głęboki oddech. Wybrałam numer domowy Willa, ale nikt nie odbierał.

- Czy wszystko w porządku? - powtórzył tata, wchodząc do jadalni.

- Chodzi o Willa - wyjaśniłam. - Został... - odchrząknęłam. - Został odwieziony do szpitala. Jest chory. Musimy tam natychmiast jechać.

Tata spojrzał na zegarek.

- Jestem pewien, że to nic poważnego. Poza tym już prawie dziesiąta, Naomi. I tak nie pozwolą ci go odwiedzić aż do jutra rana.

- Muszę się dowiedzieć, co mu jest. - Ruszyłam w kierunku drzwi.

- Zaczekaj! - powiedział tata. - Zadzwoń najpierw do szpitala. Kiedy tata szukał numeru i dzwonił do szpitala, ja myślałam

o tym, co może się stać. Will wszystko o mnie wiedział i gdyby odszedł, częśćka mnie odeszłaby razem z nim już na zawsze. Zastanawiałam się, czy osoba, która naprawdę nas kocha, to ta, która zna wszystkie nasze dzieje i która chce je wszystkie poznać.

Tata odłożył słuchawkę kuchennego telefonu i powiedział:

- Mają na oddziale Williama Landsmana, ale oczywiście nie chcieli mi nic powiedzieć na temat stanu jego zdrowia. Nie możemy zadzwonić do jego sali ze względu na późną porę. Ale skoro tam leży, to z pewnością żyje, Naomi.

- A co jeśli on umiera, tato? Jadę tam. Tata westchnął.

- Już dziesiąta. Godziny odwiedzin dawno się skończyły. Poza tym leje. - Akurat rozpętała się gwałtowna późnowiosenna burza, z porywistym wiatrem, błyskawicami i resztą efektów specjalnych.

- Może natkniemy się w poczekalni na jego mamę? Powiedziałyby nam, co się stało - nie dawałam za wygraną.

Tata spojrzał mi głęboko w oczy.

- Niech będzie - powiedział wreszcie, zabierając kluczyki do samochodu ze stołu w jadalni. - Rosa, wychodzimy.

W pośpiechu zapomnieliśmy parasoli, więc w drodze z parkingu do szpitala zdążyliśmy przemoknąć do suchej nitki.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, w poczekalni oddziału pediatrycznego nie było żywego ducha. Szepnęłam do taty, że powinien zapytać siedzącą za biurkiem pielęgniarkę, czy powie nam coś o stanie Willa. Uznałam, że prędzej udzieli takiej informacji dorosłemu mężczyźnie niż nastolatce. Ale kiedy pielęgniarka zapytała tatę, czy jest prawnym opiekunem Willa, pokręcił głową jak skończony idiota.

Rozplakałam się. Tata potrafił być taki irytujący.

Pielęgniarka spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Poznaję cię. Uraz głowy w sierpniu, mam rację? Kiwnęłam potakująco.

- Mam fotograficzną pamięć do twarzy — oznajmiła. — Jak się miewasz, skarbie?

- Właściwie dobrze. Poza tym, że mój przyjaciel Will może być umierający i nikt nie chce mi nic powiedzieć.

- Skarbie, on wcale nie umiera. Ma tylko... - zniżyła głos do szeptu — zapalenie płuc. Ciężki przypadek. Zapadło mu się jedno płuco. Teraz śpi. I jakby co, nie dowiedziałaś się tego ode mnie.

Przechyliłam się nad biurkiem i ucałowałam ją w oba rozkosznie brzoskwiniowe policzki, chociaż nie przepadałam za fizycznym kontaktem z kompletnie obcymi osobami.

- Dziękuję - powiedziałam. - Stokrotne dzięki.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła. - Tego też nie usłyszałaś ode mnie.

- Czy mogę mu zostawić wiadomość, by wiedział, że tu byłam?

- Jasna sprawa, skarbie. — Podała mi kartkę papieru ze szpitalnym logo. Tak naprawdę nie wiedziałam, co napisać. Chciałam powiedzieć

Willowi tyle rzeczy prosto z serca, lecz kiedy przyszło do przelania ich na papier, byłam zupełnie bezradna. W końcu napisałam:

*Najdroższy Coachu!
Zobaczmy się jutro, jeśli
mnie przyjmiesz.
Na zawsze Twoja, Szefowa*

Wręczyłam wiadomość pielęgniarce. Widziałam, że ją czyta, zanim złożyła kartkę na pół i wypisała na drugiej stronie imię Willa.

- Odwiedziny rozpoczynają się o jedenastej — oznajmiła. Przymomniło mi się, jak Will przyjechał do mnie o dziesiątej pięćdziesiąt, kiedy tu leżałam, i obiecałam sobie, że też tak zrobię.

W drodze powrotnej tata bez przerwy rzucał mi ukradkowe spojrzenia.

- Czy między tobą a Willem coś jest?

- Nie - pokręciłam głową. Zastanawiałam się, czy nie napisałam w swojej wiadomości kilku słów za dużo. Co, u diabła, miałam na myśli, pisząc „jeśli mnie przyjmiesz”? Oczywiście, że mnie przyjmie. Leży przecież w szpitalu. Tam przyjmuje się każdą wizytę. Jak Will, który wszystko szczegółowo analizował, odbierze moją głupią wiadomość?

-Nie - powtórzyłam stanowczo.

- Jesteś pewna?

- Przepraszam, tato. Muszę do kogoś zadzwonić - powiedziałam to, żeby zmienić temat, ale także dlatego, że naprawdę musiałam. Wybrałam numer Winnie. - Winnie? Mówi Naomi Porter. Nic mu nie będzie — oznajmiłam.

Wiedziałam, że tata za nic w świecie nie pozwoli mi opuścić dwóch lekcji, więc nawet go o to nie prosiłam. Zamiast tego sfałszowałam zaświadczenie o wizycie lekarskiej (częściowo była to prawda -w końcu wybierałam się do szpitala).

W windzie wciąż rozmyślałam na temat wiadomości, którą zostawiłam Willowi poprzedniego wieczoru, i o tym, że zawierała ona dwa najbardziej żenujące sformułowania w dziejach ludzkości. Dlaczego napisałam: „Najdroższy Coachu”? W świetle dnia „najdroższy” brzmiało okropnie sentymentalnie. Chodziło w końcu o Willa. A co z „Na zawsze Twoja, Szefowa”? Czy Will nie pomyśli, że komunikuję mu tym samym, że należę do niego, a on należy do mnie? Nawiasem mówiąc, tak właśnie było, ale nie chciałam jeszcze, żeby się o tym dowiedział.

Spróbowałam odsunąć od siebie te myśli. Może Will w ogóle nie dostał mojej wiadomości? Nie wysłałam jej przecież listem poleconym.

Kiedy weszłam do jego sali, siedział na łóżku z laptopem rozłożonym na tacy. Miał na sobie szpitalną piżamę, na którą zarzucił bonżurkę. Wyglądał jak dawny Will, tylko bardzo blady. Uśmiechnął się do mnie i nagle poczułam się w jego towarzystwie dziwnie nieswojo.

— Cześć. - Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić. Nie patrzyłam na niego. Wbiłam spojrzenie w nogi łóżka. W końcu jednak uznałam, że zachowuję się idiotycznie, i spojrzałam na Willa najmniej sentymentalnym wzrokiem, na jaki potrafiłam się zdobyć. — No więc co ci się stało?

Podeszłam bliżej, a Will wszystko mi opowiedział. Od jakiegoś czasu kiepsko się czuł, ale to ignorował, myśląc, że to tylko stres, grypa czy inne przeziębienie. A wczoraj, ni stąd, ni zowąd, stracił przytomność.

— Lekarze nie mają pojęcia, jakim cudem wytrzymałam tak długo — oznajmił niemal z dumą. — Zapadło mi się płuco, tak dużo w nim było bakterii.

— Urocze - skwitowałam.

— Prawda? Mój przypadek jest o wiele bardziej skomplikowany niż zwykle zapalenie płuc.

— Zawsze byłeś ponadprzeciętny — zauważyłam.

Przez chwilę kontynuowaliśmy tę rozmowę właściwie o niczym. Jeśli nawet Will dostał moją wiadomość, to o niej nie wspomniał. Być może uznał, że nie warto o niej gadać. Ja także nie poruszyłam tego tematu.

A jednak coś się we mnie zmieniło. Czułam się jak bohaterka tego filmu, który oglądaliśmy kiedyś na fizyce, poświęconego teorii sznurka. Mam na myśli fragment z naukowcami błędzącymi po omacku. Wydawało mi się, że to, co czuję do Willa, jest tylko pograżonym w ciemności pokojem, a okazało się, że jest domem. Will okazał się takim domem. Teraz, kiedy już o tym wiedziałam, trudno było wrócić do tego, co było wcześniej.

Pod koniec mojej wizyty Will powiedział, że musi ze mną porozmawiać o czymś ważnym. *Zaczyna się* - pomyślałam w duchu. - *Ja i moja głupia wiadomość.*

Ale on powiedział tylko:

- Chcę cię prosić o pewną naprawdę istotną przysługę.

- Jasne - odparłam. - Chcesz, żebym ci przynosiła notatki z lekcji? Will pokręcił głową.

- Nie, tym zajmie się Winnie. Chciałbym, żebyś zajęła się księgą pamiątkową, póki ja nie będę w stanie. Prawdopodobnie nie będę chodził do szkoły przez co najmniej dwa tygodnie. Księga jest już właściwie gotowa. Została tylko dystrybucja, dodatki związane z ceremonią wręczenia świadectw i tym podobne rzeczy. To dla ciebie bułka z masłem, Szefowo. - Nie nazywał mnie tak od bardzo dawna.

- Jasne, Coachu - powiedziałam. - Wracam do gry.

I tak właśnie z byłej współszefowej redakcji stałam się jedyną i wyłączną szefową *Phoenix*.

Kilka osób w redakcji nie było szczególnie zadowolonych z mojego powrotu. Uważali mnie za zdrajczynię i dezterkę, zresztą mieli do tego prawo. Jednak większość zespołu rozumiała, że zastępuję Willa, bo mnie o to poprosił. Może nie urządzili na moją cześć parady, ale z szacunku dla Willa mieli szacunek i dla mnie.

Will wysyłał mi e-maile niemal co godzinę. Ponieważ matka zabroniła mu korzystać z telefonu przez pierwsze kilka dni rekonwalescencji, każdego wieczoru odwiedzałam go, by zdać raport z postępów prac i zasięgnąć jego opinii, chociaż tak naprawdę nie potrzebowałam pomocy. Zgodnie z tym, co powiedział Will, moja praca wiązała się głównie z księgowością i dystrybucją. Tylko że on miał na ich punkcie bzika.

Piątego czerwca wypadały urodziny Willa.

Staralam się jak najdokładniej zapakować gramofon, ale jego ramię i tak wyraźnie odznaczało się pod papierem. Włożyłam prezent do samochodu i pojechałam do mieszkania Willa. Zastałam w nim Winnie, panią Landsman i kilka osób z zespołu redakcyjnego.

Przyjęcie urodzinowe nie było zbyt wystawne. Ucieszyło mnie to. Will wyszedł ze szpitala ledwie przed tygodniem i w dalszym ciągu się o niego martwiłam. Winnie podarowała mu słomkowy kapelusz z czarno-białą obwódką wokół runda, który bez wątpienia trafiał w gust Willa, a pani Landsman - lornetkę. Mój prezent zostawił sobie na koniec, ale przez całe przyjęcie nie przestawał z niego żartować.

— Ciekawe, cóż to takiego... Może toster? Albo rakietka tenisowa? Kiedy wreszcie rozdarł papier, powiedział:

— Oczywiście zdajesz sobie sprawę z tego, że jestem kompletnie zszokowany.

— Znalazłabym odpowiednie pudełko, ale pomyślałam, że nadmierna ekscytacja może ci zaszkodzić, Landsman.

Winnie objęła Willa ramieniem.

— Wreszcie będziemy mogli posłuchać tych wszystkich płyt, kotku.

Usiłowałam posłać Winnie serdeczny uśmiech, ale utknął gdzieś po drodze.

— Powinłam już iść — powiedziałam.

— Nie - zaprotestował Will. - Nie idź jeszcze, Szefowo. Skąd go wzięłaś?

— Wiele miesięcy temu, jeszcze przed wypadkiem, kiedy tata zaczął się spotykać z Rosą Riverą, wspomniałam jej o twojej kolekcji płyt, a ona pokazała mi ten zwariowany stary gramofon. Rosa Rivera zawsze próbuje rozdawać innym to, co sama posiada.

— A więc to prezent przechodni? - zapytała Winnie.

— Nie całkiem, musiałam go naprawić. Zamierzałam ci go dać na początku roku szkolnego — no wiesz, żeby uczcić fakt objęcia przez nas redakcji *Phoenix* - ale gość ze sklepu musiał zamówić jakąś część i zabrało mu to więcej czasu, niż się spodziewałam. Zanim skończył, zapomniałam, że w ogóle oddałam gramofon do naprawy. Odzyskałam go tylko dlatego, że w listopadzie przypadkiem kupowałam coś w tamtym sklepie i właściciel mnie rozpoznał. Ale wtedy nie pamiętałam nawet, dla kogo był ten gramofon.

- Nie domyśliłaś się, że dla mnie? Kto inny ma płyty winylowe?

- Nie pamiętałam wtedy o twojej kolekcji. A kiedy już sobie przypomniałam, właściwie ze sobą nie rozmawialiśmy.

- Cóż za niesamowita historia - oznajmiła pani Landsman. - Tyle błędzenia, zupełnie jak w komediach Szekspira.

Will założył kapelusz, prezent od Winnie.

- Do twarzy ci w nim, kotku - zauważyła.

Nie podobał mi się sposób, w jaki się do niego zwracała. Nie mówiąc już o tym, że skoro tak bardzo się o niego troszczyła, dlaczego przez cały ten czas nie zauważyła, że chorował? Może byłam niesprawiedliwa. W towarzystwie Winnie i Willa często nachodziły mnie podobne myśli.

- Naprawdę powinnam już iść - powiedziałam.

- Nie zjesz z nami tortu? - zapytała pani Landsman. Pokręciłam głową.

- Muszę dziś załatwić kilka spraw związanych z księgą. Jutro powinna dotrzeć do szkoły. - Nazywaliśmy ten dzień Dniem Zero.

- Powinienem tam jutro być, mamó - odezwał się Will.

- Zostajesz w domu - oświadczyła stanowczo pani Landsman.

- Ale pani Landsman... - zaprotestował niczym uczeń błagający o lepszy stopień.

Uścisnęłam dłoń Willa i jeszcze raz złożyłam mu najlepsze życzenia urodzinowe.

Will zadzwonił do mnie jeszcze tego samego wieczoru.

- Naprawdę podoba mi się twój prezent - szepnął, żeby nie usłyszała go mama. Na czas rekonwalescencji wyznaczyła mu szlaban na rozmowy telefoniczne po dziewiątej wieczorem, a było już wpół do jedenastej.

- Miło mi to słyszeć.

- Wiesz, że te płyty należały do mojego taty.

- Tak, Will. - Oczywiście, że wiedziałam. Wiedziałam o nim wszystko. - Ale pomyślałam sobie... Minęło tyle czasu... Pomyślałam, że może powinieneś je zdjąć ze ściany i czasami ich posłuchać?

Will nie odzywał się przez okrągłą minutę.

- Winnie przy...

W tym momencie do rozmowy włączyła się pani Landsman.

- Williamie Blake'u Landsmanie, dawno już powinieneś spać.

- Mamo!

- Dobry wieczór, pani Landsman - przywitałam się z moją nauczycielką.

- Witaj, skarbie. Powiedz mojemu synowi, że musi już kończyć, dobrze?

Cóż mi pozostało? Byłam ciekawa, co Will zamierzał mi powiedzieć na temat Winnie, ale ta kobieta miała mi wystawić końcowy stopień za niespełna dwa tygodnie.

- Powinieneś odpocząć, Will - powiedziałam.

- Dziękuję — odezwała się mama Willa. — A teraz powiedz Naomi dobranoc i odłóż słuchawkę, Williamie.

- Dobranoc, Szefowo.

Następny dzień upłynął pod znakiem chaosu związanego z dostarczeniem książek pamiątkowych. Kiedy otworzyłam pierwsze tekturowe pudło, zrobiło mi się smutno, że nie ma przy tym Willa. W końcu było to jego dziecko i wydawało mi się niesprawiedliwe, bym oglądała je jako pierwsza. Nikt nie kochał tej książki bardziej niż on i to jego praca stworzyła tę piękną pamiątkę, która zostanie z uczniami naszej szkoły na zawsze. Okładka była biała. W prawym dolnym rogu widniał napis: *Phoenix*, wydrukowany prostą, czarną czcionką typu Arial, a na grzbiecie znajdował się niewielki srebrny ptak wylatujący z płomienia w tym samym kolorze. Karty książki były szare, a w lewym górnym rogu pierwszej strony umieszczono nazwę szkoły i datę wydania. Jej projekt był prosty i elegancki — zaczęliśmy go obmyślać wiele miesięcy, a nawet lat wcześniej, na długo przed tym, jak zostaliśmy szefami redakcji.

Oczywiście musiałam zadzwonić do Willa.

- Mam tylko chwilę. Zaraz rozpęta się piekło.

- Wiem - powiedział chytrze. - Zastanawiałem się, czy nie zajrzeć na moment do szkoły...

- Ani mi się waż!

- Ale postanowiłem tego nie robić. Nawet gdybym dotarł na miejsce, moja kochana matka pewnie by mnie zamordowała. Jak wygląda książka?

- Wspaniale - zapewniłam go. - Jestem z ciebie taka dumna. Zajrzę do ciebie, kiedy tylko rozpakujemy wszystkie egzemplarze.

- Cieszę się, że tam jesteś. - Will zakasłał, ale jego kaszel brzmiał już dużo lepiej. — Tak sobie myślałem... Czy ro nie szczęście, że oboje postanowiliśmy zostać szefami redakcji księgi? Jeśli jedno z nas uderzy się w głowę, drugie zawsze może je zastąpić. Jeśli płuco drugiego nie spodziewanie się zapadnie, zmiennik już czeka w pogotowiu. To idealny układ, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

Roześmiałam się.

- Hej, Will, mogę przekazać księgę Winnie. Pewnie będzie u ciebie przede mną. Sam wiesz, jak wygląda Dzień Zero.

- Nie. Wolałbym, żebyś sama mi ją przyniosła, Szefowo - powiedział.

- Albo twojej mamie, jeśli wolisz. Mogę wysłać Pattena lub Plotkina, żeby podrzucili księgę do jej sali.

- Nie - powtórzył z uporem. - Chcę, żebyś to była ty.

Dotarłam do domu Willa dopiero o siódmej trzydzieści, kompletnie wykończona.

- Czeka na ciebie - oznajmiła jego mama. Kazała mi obiecać, że wyjdę przed dziewiątą, żeby Will mógł wypocząć. - Tobie chyba też przydałaby się chwila wytchnienia.

Weszłam do pokoju Willa.

Ściany w dalszym ciągu obwieszane były kolekcją płyt jego taty. Gramofon stał na komodzie.

- W porządku - odezwał się Will. - Pokaż mi ją.

Wręczyłam mu księgę. Will zaczął przeglądać strony jedna po drugiej. Leżał na brzuchu na swoim łóżku, więc położyłam się tak samo, by też je widzieć. Narzekaliśmy na okazjonalne literówki lub sposób,

w jaki wydrukowano niektóre zdjęcia, ale były to rzeczy, na które nikt poza nami nie zwróciłby uwagi. Na koniec przyjrzelśmy się okładce.

- Podjęliśmy chyba dobrą decyzję, wybierając biel, nie sądzisz? Kiwnęłam głową.

- Okładka bardzo mi się podoba. Zresztą tak jak wszystkim.

- Nie zapomniałaś o naszym żarcie, co? - uśmiechnął się do mnie Will.

Nie zapomniałam. Tytuł w rogu okładki został wydrukowany w taki sposób, że wyglądał niemal jak pozostawiona na dole strony...

- Sierota - powiedziałam.

- Właśnie. - Głos Willa nieco się zmienił. - Nie zapomniałaś też o *White Album*?

Cały projekt okładki tworzyliśmy w odwołaniu do beatlesowskie-go *White Album*, ulubionej płyty Willa. Spojrzałam na ściany pokoju, żeby go odszukać - Will powiesił albumy alfabetycznie, według tytułów - ale w kolekcji powstała luka, w miejscu, gdzie powinna znajdować się właśnie ta płyta.

- Gdzie on się podział? - zapytałam.

Will powiedział, że zdjął album ze ściany, chcąc go odtworzyć jako pierwszy krążek na swoim gramofonie.

- Czekałem tylko, aż się zjawisz.

Album składał się z dwóch płyt i Will nastawił go na trzeciej stronie (lub pierwszej stronie drugiej płyty), a później opuścił igłę.

Słuchaliśmy przez chwilę muzyki, przerzucając strony książki i wymieniając co jakiś czas komentarze.

- Naprawdę żałuję, że tata nie mógł tego zobaczyć - powiedział Will, po czym zdjął okulary i wytarł je o spodnie.

Przedostatni kawałek na trzeciej stronie albumu nosił tytuł / *Will*. Kiedy rozległ się jego dźwięk, przypomniałam Willowi, że był to ostatni utwór na pierwszej składance, jaką dla mnie nagrał po moim wypadku.

- Próbowaleś mi w ten sposób przypomnieć o okładce książki? -zapytałam.

- Tak jakby - przyznał nieśmiało, z tym swoim zabawnym, krzywym uśmiechem. — Ale głównie chciałem ci przypomnieć o sobie. No wiesz: /, *Will*.

- Gdybyś wpisał mi się do księgi pamiątkowej z poprzedniego roku, zamiast zostawiać wielkie puste pole, prawdopodobnie osiągnąłbyś podobny efekt — powiedziałam.

- Może i tak.

- A właściwie czemu tego nie zrobiłeś?

- Miałem ci zbyt wiele do powiedzenia - oświadczył Will, stanowczo kiwając głową. — Ale nie potrafiłem znaleźć właściwych słów. Wolałem wybrać idealną piosenkę, która załatwiłaby to za mnie.

Piosenka była urocza i jednocześnie smutna, o równie uroczym i smutnym tekście. Trochę oklepana, lecz także ponadczasowa. Do pewnego stopnia przypominała mi Willa. Kiedy tylko się skończyła, miałam ochotę posłuchać jej od nowa, ale zrobiła się już dziewiąta. Uścisnęłam dłoń Willa - naprawdę przytrzymał ją dłużej, niż to było konieczne, czy tylko wyobraźnia splatała mi figla? - i pojechałam do domu.

Do czwartku udało nam się rozdystrybuować większość ksiąg pamiątkowych. Po raz pierwszy od ponad tygodnia miałam czas, by zjeść obiad z Alice i Yvette, które znowu były razem.

- Księga wygląda wspaniale, aniołku - odezwała się Alice.

- To głównie zasługa Willa - powiedziałam.

- Cóż, przekaż mu, że jesteśmy nią zachwycone - poprosiła. Obiecałam, że to zrobię.

- Słyszałyście o tym, że Winnie Momoi z nim zerwała? - zapytała Yvette.

- Kiedy był chory? Wiedziałaś o tym, aniołku? - Alice wlepiła we mnie wzrok.

Pokręciłam głową i skoncentrowałam się na żuciu kanapki.

- To szczerza prawda - kontynuowała Yvette. - Chodzimy razem na matkę i widziałam, jak przepłakała cały poniedziałek.

- Dlaczego płakała, skoro to ona z nim zerwała? - zdziwiła się Alice.

- Może z poczucia winy? Ty płaczesz za każdym razem, kiedy ze mną zrywasz, Ali.

- *Touche*¹⁴ - odparła Alice, natychmiast zmieniając temat. - Nie nawidzę słowa *touche*, a wy? Nie mam pojęcia, co mnie podkusiło, by go użyć. Brzmi jak „tusza” albo coś, co można powiedzieć, jedząc ser.

- Właściwie jest to termin szermierczy - wyjaśniła Yvette. - Wiedziałaś o tym, gdybyś zaczęła przychodzić na moje walki.

- Ależ ja przychodzę na twoje walki! - powiedziała Alice. - Byłam przynajmniej na trzech.

- Dwóch!

Ich kłótnie zwykle zaczynały się w podobny sposób i ciągnęły tygodniami. Przestałam zwracać na nie uwagę i pogrążyłam się w rozmyślaniach o Willu. Od poniedziałku widziałam się z nim i rozmawiałam przez telefon ponad dziesięć razy i ani słowem nie wspomniał o Winnie. Byłam ciekawa, co między nimi zaszło, ale czułabym się niezręcznie, pytając go o to. Gdyby chciał mi powiedzieć, zrobiłby to. Staralam się postępować z Willem bardzo ostrożnie, tak samo jak on ze mną.

Nawet jeśli nigdy nie będziemy razem, to i tak go kochałam. Chyba od zawsze. Prawdę mówiąc, ta świadomość stała się już dla mnie ciężarem.

Przypomniały mi się jeżozwierze z programu przyrodniczego, który oglądałam z tatą tamtego wieczoru, gdy Will trafił do szpitala. Nie chodzi mi o fragment z sikaniem, tylko ten, kiedy patrzą sobie w oczy. Will i ja nie dotarliśmy jeszcze do tego momentu. (Osobiście miałam też nadzieję, że nigdy nie osiągniemy kolejnego stopnia zaawansowania w godach jeżozwierzy).

Po zajęciach zatrzymałam się przed domem Willa, by powiedzieć mu, że nie zobaczymy się przez najbliższe trzy dni - tata zwolnił mnie w piątek ze szkoły, żebym mogła pojechać do Winnicy Marty na jego ślub z Rosą Riverą. Wiem, że Will przyzwyczył się do moich codziennych wizyt, lecz mimo to dobierałam słowa z wielką ostrożnością. Nie chciałam, by pomyślał, że liczę na to, że przejmie się moim wyjazdem. Z

¹⁴ Francuskie słowo używane w odpowiedzi na czyjaś ciętą lub dowcipną ripostę.

drugiej strony, nie miałam zamiaru po raz kolejny wycinać mu numeru ze zniknięciem.

- Wesele twojego taty - powiedział. - Ale ten czas pędzi, co?

- Mhm.

- Dlaczego mnie nie zaprosiłaś, Szefowo? - Zadał mi to pytanie tak lekkim tonem, że nie potrafiłam stwierdzić, czy mówi poważnie.

- Cóż... Byłeś chory i wątpię, by mama pozwoliła ci ze mną pojechać.

- Masz rację.

- No i... - nie wiedziałam, co chcę powiedzieć, dopóki tego nie zrobiłam — jest jeszcze Winnie.

Will odchrząknął.

- No tak, Winnie. - W jego głosie słychać było rozbawienie. Spojrzał mi w oczy, a ja odwzajemniłam spojrzenie. - Zerwała ze mną. Myślałem, że już o tym słyszałaś.

- Skoro nie dowiedziałam się tego u źródła, postanowiłam nie dawać wiary plotkom.

- Powiedziała, że nie byłem dla niej najlepszym chłopakiem.

- Szczerze wątpię. Moim zdaniem jesteś bardzo obowiązkowy.

- Och, nie w tym rzecz. Zawsze pamiętam o urodzinach i robię to, do czego się zobowiązę. Wiesz o tym. Chodzi o to, że Winnie podejrzewała, że jestem zakochany w kimś innym.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i uniosłam prawą brew.

- Will, jestem w szoku - zdołałam z siebie wydusić.

Wtedy właśnie do domu wróciła pani Landsman - odkąd Will zachorował, wiecznie starała się być w pobliżu.

- Mamo, czy mogę pojechać z Naomi na wesele jej taty?! - zawołał do niej Will.

- W żadnym wypadku.

- Wcale go nie zapraszałam! - odkrzyknęłam do niej.

— Wiedziałam, że byś tego nie zrobiła - odparła pani Landsman. —
Ach, ten mój syn!

Podczas rejsu do Winnicy tata i ja siedzieliśmy pośrodku długiej ławki w towarzystwie chyba miliona obficie pocących się ludzi. Rosa została na pokładzie z Freddie i George. Tata zawsze dostawał na zewnątrz choroby morskiej, więc dotrzymywałam mu towarzystwa w kabinie. Przyszło mi do głowy, że przez najbliższy czas może się nam nie przydarzyć okazja, by pobyć trochę sam na sam. Możliwe, że Rosa, Freddie i George myślały o tym samym, decydując się zostać na górze.

Dzień był jasny i wilgotny. Ubranie kleiło mi się do ciała. Poważnie zastanawiałam się właśnie nad porzuceniem taty na rzecz pokładu (do diabła z ostatnim razem sam na sam), gdzie przynajmniej czuło się powiew morskiej bryzy, kiedy niespodziewanie zapytał mnie, czy cieszę się z powodu wesela. Powiedziałam, że tak. Dodałam także, jak bardzo polubiłam Rosę Riverę i kilka innych rzeczy, o których wiedziałam, że miło mu będzie je usłyszeć.

— A jednak wydajesz się odrobinę rozgorączkowana — zauważył.
Powiedziałam, że jest mi po prostu gorąco.

W kajucie panował gwar i tłok. Z pewnością nie było to najlepsze miejsce do rozmów na poważne tematy, ale tata nie ustępował.

— Co u Jamesa? - zapytał.

Szczerze mówiąc, ostatnio wcale już nie myślałam o Jamesie. Cały mój czas wypełniały sprawy związane z weselem taty, chorobą Willa, samym Willem, fotografią, tenisem i księgą pamiątkową. Jakie to dziwne, pomyślałam. Kilka miesięcy temu wydawało mi się, że nie mogę żyć bez Jamesa.

Najwyraźniej mogłam.

To, że tak łatwo udało mi się o nim zapomnieć, wprowadziło mnie w melancholijny nastrój jeszcze bardziej niż sama jego utrata. Zastanawiałam się, czy mama czuła to samo do taty, kiedy ponownie spotkała Nigela. Zastanawiałam się też, czy moja biologiczna matka żywiła podobne uczucia względem mojego biologicznego ojca, a może nawet względem mnie, skoro mnie porzuciła?

- Rzadko go widuję - powiedziałam w końcu.

- To się zdarza, skarbie. - Tata kiwnął głową i poklepał mnie po ręku. - I tak wszystko zapominamy. Najpierw to, czego się nauczyliśmy - datę podpisania traktatu Hay-Herran i twierdzenie Pitagorasa. A szczególnie szybko wylatują nam z głowy te rzeczy, których tak naprawdę się nie nauczyliśmy, tylko zapamiętaliśmy noc przed klasówką. Zapominamy nazwiska wszystkich nauczycieli poza jednym czy dwoma, które jednak w końcu i tak zapomnimy. Zapominamy rozkład zajęć z pierwszej klasy i to, w której ławce siedzieliśmy, i numer telefonu do swojego najlepszego przyjaciela, i słowa piosenki, której słuchaliśmy pewnie z milion razy. Dla mnie to było któreś z nagrań Simona i Garfunkela. A dla ciebie? I wreszcie, po bardzo, bardzo długim czasie, zaczynamy zapominać o naszych upokorzeniach - nawet te, które wydają się niezatarte, z czasem po prostu blakną. Zapominasz, kto był fajny, a kto nie, kto był piękny, mądry, wysportowany, a kto wręcz przeciwnie. Kto poszedł do dobrego collegeu. Kto wyprawiał najlepsze przyjęcia. Kto mógł załatwić trawkę. Zapominamy o wszystkich. Nawet o tych, których wydawało ci się, że kochasz, a także tych, których naprawdę kochałaś. O nich zapominamy najpóźniej. A kiedy już dostatecznie dużo zapomnimy, zakochujemy się w kimś innym.

Musiałam się chyba rozplakać, bo tata zaoferował mi swój rękaw do otarcia oczu, z czego zresztą skorzystałam. Nie powiedział nic szczególnego, ale poczułam się tak, jakby czytał w moich myślach i wyraził słowami wszystko to, co buzowało we mnie od tak dawna. Naprawdę byliśmy do siebie bardzo podobni.

Chciałam mu powiedzieć, że kocham Willa, ale ten weekend należał do taty, a ja nigdy nie byłam szczególnie skora do zwierzeń. Zresztą może i tak już o tym wiedział. Poza tym głupio byłoby poruszać ten temat, skoro dopiero co przestaliśmy rozmawiać o Jamesie. Nie chciałam należeć do dziewczyn, które zawsze muszą być w kimś zakochane.

- Naprawdę cieszę się twoim szczęściem, tato — powiedziałam tylko. Rosa Rivera nie używała białego koloru. Nie przy dekorowaniu domu, a już na pewno nie podczas organizacji ślubu.

— Nie jestem młoda i nie jestem dziewicą — oświadczyła. — Poza tym kiedyś już szłam do ślubu w białej sukience. Tym razem wystąpię w czerwieni.

Jedynym białym akcentem jej ślubnego stroju była szarfa, którą zawiązała wokół talii, jakby w ostatniej chwili naszły ją wątpliwości, oraz wpięte we włosy róże.

— Ale czy białe róże nie przynoszą pecha, mamó? — zaniepokoiła się George.

Rosa Rivera odparła, że nic na ten temat nie wie i nie chce wiedzieć. Nie przejmowała się także strojem swoich druchen.

— Możecie ubrać się na biało, jeśli chcecie. Jesteście młode, a poza tym będziecie pięknie się ode mnie odznaczać, prawda? — Jej słowa były bardziej sugestią niż poleceniem (choć i tak wszystko, co mówiła Rosa Rivera, brzmiało jak pytanie).

Freddie i George postanowiły uszanować prośbę matki, szczególnie że rzadko je o coś prosiła, i wszystkie trzy założyłyśmy białe, choć różniące się od siebie, sukienki. Tata wpisał się w ten trend i założył beżowy garnitur, który kupił tamtego lata, gdy wędrowaliśmy po Toskanii. Albo zapomniał, albo nie dbał o to, że wybrała go dla niego mama. Przypis do dzisiejszego dnia mógłby brzmieć: „Garnitur wybrany przez byłą żonę”.

Tydzień przed weselem słyszałam, jak tata rozmawia przez telefon z sędzią pokoju.

- Hm - powiedział, kiedy już odłożył słuchawkę. - Muszę zdecydować, którym słowem przypieczętować małżeńską przysięgę: „przrzekam” czy „będę”. Nie wiedziałem nawet, że można wybierać. Która wersja bardziej ci się podoba, skarbie?

- Większość osób mówi przrzekam, prawda? - zapytałam.

Tata kiwnął głową.

- Tak właśnie myślałem.

- Z drugiej strony, może lepiej zabrzmie „będę”. To słowo odnosi się do przyszłości, a „przrzekam” tylko do teraźniejszości.

- Słuszna uwaga - przyznał tata. - Jak to się stało, że jesteś taka mądra?

Wzruszyłam ramionami.

- To pewnie zasługa wszystkich godzin spędzonych na odmienianiu francuskich czasowników.

- Nie wspominając o tym, że już raz powiedziałem „przysięgam”, więc może tym razem powinienem spróbować czegoś innego.

Wypowiedzieli swoje „będę” na plaży o wschodzie słońca, czyli ulubionej porze dnia Rosy i taty. Rosa była rannym ptaszkiem, a tata sową, lecz jakimś cudem każdego ranka udawało im się spędzić tych kilka godzin razem.

Cieszyłam się szczęściem taty, ale też czułam się tak, jakbym go traciła. Znowu byłam tamtym dzieckiem z walizki po maszynie do pisania. Może na tym właśnie polegało życie? Na byciu osierocanym raz za razem? Powinni o tym uczciwie informować zaraz po urodzeniu: miej serce-walizkę, bądź zawsze gotowy do drogi.

Kiedy ja w myślach użalałam się nad sobą, Rosa Rivera rzuciła ślubnym bukietem. Nawet tego nie zauważyłam, dopóki kwiaty nie poszybowały w moim kierunku. Instynkt zawsze podpowiadał mi, by rzucić się i łapać, i tak też zrobiłam.

- Będziesz następna - orzekła Freddie.

- Nie tak szybko - wtrącił tata. - Ona ma dopiero siedemnaście lat. - A później zwrócił się do Rosy, niczym podpuszczany ojciec z komediowego serialu: - Może powinnaś powtórzyć rzut, kochanie?

Odrzuciłam bukiet do mojej babci Rollie, która spała w plażowym fotelu. Rollie nie cierpiała wstawać przed południem. Kiedy bukiet wylądował na jej kolanach, obudziła się.

- O cholera, tylko nie znowu to - powiedziała. Była mężatką już cztery razy, więc cisnęła bukiet w piasek, jakby się palił.

- Czy naprawdę nikt nie chce bukietu? - zapytała Rosa. Jej ton miał być żartobliwy, ale wyczułam w nim lekką urazę.

Przypomniał mi się dzień, kiedy ofiarowała mi swój szalik, a ja odrzuciłam podarunek. I to, co powiedział mi wtedy tata. Nie chciałam ranić jej uczuć w dniu ślubu, więc podniosłam bukiet z ziemi.

- Ja chcę - powiedziałam.

Kiedy wracaliśmy do hotelu na śniadanie, tata szepnął mi do ucha:

- Nie martw się. Wiem, że tak naprawdę miałaś na myśli: „będę chciała”, czyli dopiero w przyszłości. I to bardzo, bardzo odległej przyszłości. - Mrugnął do mnie konspiracyjnie i nie czułam się już jak sierota.

- Kim właściwie jest Marta? - szeptałam w łazience hotelowego pokoju, który dzieliłam z córkami Rosy Rivery - obie już spały. Nie musiałam nawet mówić, kogo mam na myśli. Kiedy wybierałam numer Willa, była już jedenasta i miałam tylko nadzieję, że nie będzie jeszcze spał.

- Zaczekaj - powiedział. - Zaraz sprawdzę.

Słyszałam jego cichy oddech i szybkie uderzenia palców o klawiaturę.

- Matką i córką białego odkrywcy tej wyspy. Obie miały tak samo na imię i obie zmarły - oświadczył Will. - Oczywiście tubylcy nazwali tę wyspę jakoś inaczej.

- Głupi biali ludzie - powiedziałam.

- Dobranoc, Szefowo.

- Dobranoc, Coachu. I dzięki - odparłam.

Zapadła cisza, ale żadne z nas nie odłożyło słuchawki. Trwała może z pięć sekund, choć równie dobrze mogła się ciągnąć przez pięć minut. Nie byłam pewna.

- Jak się udał ślub? - zapytał Will.

- Nie wiem. Wszystko zlało mi się w jedną całość. Musieliśmy przyplłynąć promem i czułam się trochę jak imigrantka. Jakbym należała do tych zmęczonych, biednych... - szepnęłam.

- .. .udręczonych mas, złaknionych wolności - dokończył za mnie Will.

- Właśnie. Rosa ładnie wyglądała. Tata był bardzo szczęśliwy. Ja trzymałam fason. Przez całą ubiegłą noc padało, więc powietrze było tak wilgotne, że nie musiałam prasować sukienki.

- Zrobiłaś zdjęcia?

- Nie. Myślałam o tym, ale uznałam, że nie warto sobie zawracać głowy wyciąganiem aparatu z torebki. Zresztą inni robili.

- Dlaczego nie śpisz?

- Nie mogę zasnąć. Mój iPod padł dziś rano, a Freddie chrapie.

- Kiedy będziesz z powrotem?

- Koło dziewiątej.

Will zaproponował, że po mnie przyjedzie, a ja powiedziałam mu, że przecież nie może się przemęczać.

- Mówimy o zwykłej jeździe samochodem, nie o maratonie - zauważył.

- Chciałabym - powiedziałam - ale tata zostawił samochód na lotnisku, więc muszę go odwieźć do domu. - Rosa i tata wylatywali z Bostonu w podróż poślubną. Wybierali się na Bali, jedno z nielicznych miejsc, do których nie *zawędrowała* moja mama.

- Jedź ostrożnie — powiedział Will.

- Będę.

Leżąc na zimnej terakocie w hotelowej łazience, nagle nabrałam odwagi.

- Chcesz usłyszeć coś głupiego? Przez cały weekend naprawdę za tobą tęskniłam, Landsman. Przyzwyczyłam się do naszych codziennych spotkań.

- Ja też za tobą tęskniłem - odparł po chwili milczenia. - Żałuję, że nie mogłem z tobą pojechać.

Kiedy w niedzielę wieczorem wróciłam do domu, okazało się, że jest pewien problem związany z księgą pamiątkową. Babcia osoby, która miała sfotografować ceremonię rozdania dyplomów, zmarła, więc dziewczynka nie mogła wziąć udziału w ceremonii w poniedziałkowy wieczór. Musiałam ją zastąpić.

Robiłam właśnie zdjęcia zgromadzonym gościom, kiedy w oku obiektywu wypatrzyłam Rainę. Siedziała razem z dziadkiem Jamesa i mężczyzną, który okazał się ojcem Jamesa. Bawiła się aparatem i musiała zauważyć, że się jej przyglądam, ponieważ zrobiła mi zdjęcie dokładnie w tym samym momencie, gdy ja fotografowałam ją. Opuściłyśmy aparaty i wymieniliśmy znużone uśmiechy.

Orkiestra zaczęła grać ceremonialnego marsza, utwór, który zawsze wpędzał mnie w depresję. Łatwo sobie wyobrazić karawaniarzy niosących trumnę w rytm tej pieśni. Kiedy wykonuje ją niedostrojona orkiestra szkoły średniej imienia Toma Purdue, dramatyzm jest jeszcze większy. Powinni zagrać coś weselszego, na przykład *Higher Ground* Steviego Wondera. A jeśli już miało być poważnie, to chociaż *Bitter Sweet Symphony* grupy The Verve. Will miałby pewnie milion jeszcze lepszych pomysłów.

Fotografowałam dwie poprzednie ceremonie rozdania dyplomów i wszystkie wyglądały podobnie: te same granatowe togi, jednakowe birety, taka sama publiczność. Moglibyśmy równie dobrze wykorzystać zdjęcia z ubiegłego roku i nikt nie zauważyłby różnicy. I tak było to oszustwo - zdjęcia, które właśnie robiłam, zostaną opublikowane dopiero w przyszłorocznym *Phoenix*.

Po ceremonii usłyszałam, jak Raina mnie woła:

- Naomi, chodź do zdjęcia!

Odwróciłam się i zobaczyłam Jamesa. W todzie i birecie sprawiał wrażenie jeszcze wyższego. Zastanawiałam się, czy mogę im po prostu pomachać, nie podchodząc, ale w końcu stwierdziłam, że byłoby to niegrzeczne.

- James, obejmij Naomi. A teraz uśmiechnijcie się oboje. To wspaniały dzień!

Pojawił się jakiś problem z aparatem - był to sprzęt starego typu, na film i z ogromnym fleszem. Tata Jamesa powiedział, że nie wie, czy zdjęcie się uda, i może powinniśmy stanąć do niego raz jeszcze. Uśmiechnęliśmy się ponownie i tym razem byłam pewna, że zdjęcie wyszło. Tata Jamesa obiecał, że przyśle mi odbitkę. Nigdy jej nie dostałam.

James spojrział na redakcyjny aparat, który w dalszym ciągu wisiał na mojej szyi. Przejechał palcami po przykrywce obiektywu i zapytał, czy to „ten sam”. Kiwnęłam głową. James chwycił go i lekko podrzucił w powietrze.

- Wytrzymały drań - skomentował.

Miał rację. Ten aparat zniósł wiele. Grawitację. Upadek ze schodów. Przetrwał cały rok szkolny. Dłużej niż mój związek z Jamesem, nie żebym się tym jakoś szczególnie przejmowała.

Podniosłam aparat i zrobiłam Jamesowi zdjęcie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Raz jeszcze mu pogratulowałam.

Był tylko jednym ze stu pięćdziesięciu abiturientów, którym należało zrobić zdjęcia, i musiałam wrócić do pracy.

W drodze do domu zadzwoniłam do Willa.

- *Piosenki na ceremonię rozdania dyplomów* - powiedziałam. - No wiesz, zamiast marsza. Wymieniaj.

- *My Back Pages* Boba Dylana - zaproponował.

- *Friends Forever* Vitamin C - zasugerowałam.

- Może trochę zbyt oklepane. *Bitter Sweet Symphony* The Verve. Wiesz, że nie zarobili na tej piosence ani centa z powodu kontrowersji wokół partii smyczkowych?

- Już o niej myślałam. To był mój pierwszy typ, razem z *Higher Ground*.

- Wersja Red Hot Chili Peppers czy Steviego Wondera?

- Ta druga, ale właściwie można by wykorzystać obie, prawda?

- *Song I Wrote Myself in the Future* Johna Wesleya Hardinga.

- Umieściłeś ją na mojej drugiej albo trzeciej składance — przypomniałam mu. — Wydawało mi się, że nie lubisz się powtarzać.

- Bo nie lubię - odparł. - Ale ostatnim razem wykorzystałem ją nie jako komentarz do systemu edukacyjnego, więc to co innego. I jeszcze *Ghost World* Aimee Mann.

- Nie znam tej piosenki.

- Spodobałaby ci się. Powinienem ci ją kiedyś puścić. Rozmawialiśmy w ten sposób przez całą drogę. Zrobiło się już ciemno i czułam się tak, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi we wszechświecie.

- *At Last* Etty James.

- Dowcipnie.

- *Teenage Spaceship* Smog.

- Albo *Teenage Wasteland*.

- Właściwy tytuł brzmi *Baba O'Riley* - na cześć kompozytora Terryego Rileya.

- Zawsze o tym zapominam. A co powiesz na *Race for the Prize* Flaming Lips?

A później, kiedy szłam ścieżką w stronę domu...

- ...Boba Marleya, prawda? Chociaż istnieją też inne wersje. A może to właśnie jest inna wersja?

I korytarzem...

- .. .rytm jest pewnie zbyt chaotyczny, by do niego maszerować, Naomi...

Zatrzymałam się w kuchni, żeby nalać sobie szklankę wody.

- .. .nie mamy dostatecznie wielu szybkich numerów. Nie chcemy chyba ugrzęznąć w wolnych kawałkach. A może by tak *Praise You* Fat-boy Slima albo *Road to Joy* Bright Eyes?

W moim pokoju...

- A ta piosenka Whitney Houston, użyta w spocie reklamowym z udziałem dzieciaków z Olimpiady Specjalnej? Co to był za tytuł?

Leżałam na łóżku.

- Jestem taka zmęczona - powiedziałam.

- Nie, na pewno jakoś inaczej.

- Chodziło mi o to, że padam z nóg.

- W takim razie powinnaś się położyć, Szefowo.

- Właśnie leżę, ale nie chcę jeszcze kończyć rozmowy.

- W porządku. Jeśli nie będziesz się odzywać przez dłużej niż pięć minut, będę wiedział, że należy się rozłączyć. Zresztą twoja komórka i tak padnie po trzydziestu sekundach.

Wymienialiśmy tytuły piosenek...

- *Me and Julio Down by the Schoolyard*.

- *The Only Living Boy in New York*.

- Czy to nie nazbyt melancholijne?

- Właśnie dlatego doskonale się nadaje na ceremonię rozdania dyplomów.

.. .dopóki nie zasnęłam.

Po dziesięciu miesiącach i jednym lub dwóch zyciach później wróciłam do punktu wyjścia: znowu stałam sama przed redakcją *Phoenix* około godziny siódmej w środowy wieczór. Przez kilka tygodni po rozkolportowaniu ksiąg pamiątkowych niewiele jest do zrobienia. Właśnie zastanawiałam się nad tym, jak nienaturalnie ciche i opuszczone zdawało się biuro, kiedy nikogo w nim nie było, gdy zadzwonił mój telefon. To był Will.

- Jesteś w biurze?

- Właśnie je zamykam.

Powiedział, że może mogłabym do niego później wpaść, i odłożył słuchawkę, co było do niego niepodobne.

Kiedy wyszłam z redakcji, Will stał na szczycie schodów ze słodkim, zakrzywionym uśmiechem, podobnym do tyldy. Po raz pierwszy od trzech tygodni zjawił się na kampusie. Był szczupły, ale wyglądał o wiele lepiej niż tamtego dnia, kiedy odwiedziłam go w szpitalu. Za to ubrany był znacznie gorzej — miał na sobie kraciaste „staruszkowate” spodnie, które pewnie pożyczył od dziadka. W spodniach od szkolnego mundurka prezentował się zdecydowanie lepiej. Ale cóż poradzić? Taki już był mój Will.

— Cześć! Dlaczego nie wszedłeś do biura? — zawołałam do niego.

— Drzwi wejściowe były zamknięte, a ty masz klucze. Postanowiłem tu na ciebie poczekać.

Podbiegłam do niego.

— Czemu zawdzięczam ten honor?

— Dawno temu chodziłem tu do szkoły. Redagowałem nawet księgę pamiątkową.

— Jakoś sobie tego nie przypominam — powiedziałam, marszcząc brwi.

Podał mi ramię.

— Słyszałem, że te schody potrafią być zdradliwe - zauważył.

— Myślę, że poradzę sobie bez niczyjej pomocy.

— Po prostu włóż mi rękę pod ramię, Szefowo. Tak będzie bezpieczniej. Czy nie sądzisz, że wystarczy nam już nieszczęść, jak na jeden rok szkolny? Jeśli znowu spadniesz...

— Ja nie spadłam, ja *runęłam* — weszłam mu w słowo.

— W porządku. Niech ci będzie. *Runęłaś*. W każdym razie, jeśli znowu mnie zapomnisz, chyba już tego nie zniosę. — Odwrócił mnie tak, byśmy mogli sobie spojrzeć w oczy. Po chwili odezwał się niskim głosem. — Weź mnie pod ramię, Naomi. Zaproponowałbym, że poniosę ci książki, ale wątpię, byś mi na to pozwoliła.

Roześmiałam się i zrobiłam to, o co prosił. Byliśmy dokładnie tego samego wzrostu i nasze ramiona idealnie się krzyżowały.

Szliśmy powoli przez parking, gdzie Will zostawił swój samochód. Nadal martwiłam się o jego zdrowie, ale była to też prawdopodobnie

najmilsza godzina najmilszego dnia w całym ostatnim roku. Dwadzieścia trzy stopnie ciepła, słońce właśnie zachodziło, a w powietrzu unosił się zapach trawy z lekką nutą olejku do opalania i jakiejś odległej

woni, rozkosznie słodkiej, której nie potrafiłam rozpoznać. Jedno z nas, nie pamiętam które, powiedziało w końcu:

- Czy to nie zabawne, że parę miesięcy temu rzucaliśmy monetą, by wymigać się od identycznego spaceru?

A drugie odpowiedziało:

- A dzisiaj żałuję, że nie jest dłuższy. Moglibyśmy tak iść bez końca.

Przez bardzo długą chwilę żadne z nas się nie odzywało. Nie byłam przyzwyczajona do takiego milczenia, ale też nie miałam nic przeciwko niemu. Wiedziałam o Willu prawie wszystko, a on wiedział prawie wszystko o mnie, dzięki czemu cisza między nami zamieniła się w coś na kształt piosenki.

Takiej, którą nucimy pod nosem, nie znając tytułu i nie zastanawiając się, dlaczego w ogóle to robimy. Takiej, którą znamy od zawsze.